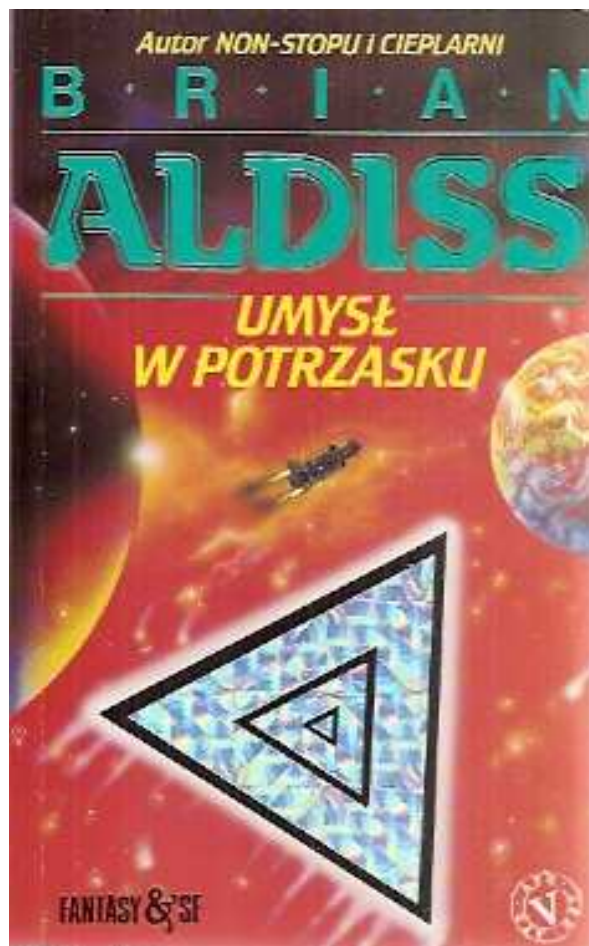


BRIAN ALDISS

UMYSŁ W POTRZASKU

TYTUŁ ORYGINAŁU: CRACKEN AT CRITICAL
PRZEKŁAD: EWA DOMAŃSKA



WYDAWNICTWO „VARIA – APD” WARSZAWA 1993

*Na początku rzeczy po prostu się unosiły
Potem niektóre nauczyły się przebijać powierzchnię wody
Nektóre rzeczy nauczyły się pływać
Nektóre rzeczy nauczyły się żyć na bagnach
Nektóre rzeczy nauczyły się żyć na łądzie
Nektóre rzeczy nauczyły się pęzać
Nektóre rzeczy nauczyły się biegać
Nektóre rzeczy nauczyły się latać
Nektóre rzeczy nauczyły się używać ogień
Nektóre rzeczy nauczyły się opowiadać historie
Jedna z nich mówi o odmiennej przyszłości
Kiedy wszyscy będą mogli chodzić
I nikt nie będzie musiał uciekać*

SYMFONIA MANNERHEIMOWSKA (I)

Głosy psów poszczekujących w nocy, kiedy wszyscy prócz ciebie pogrążeni są we śnie. Zapach nocnego powietrza. **Tchnienie** nocy przenikające ciało jakby szczególnym zmysłem. Nawet własne kroki brzmią dziwnie.

Dawno temu, pewnej bezksiężycowej nocy, mój starszy brat uciekł z cygańską dziewczyną. Czy jeszcze żyje? Musi być specjalne niebo i specjalne piekło dla ludzi takich jak on. Często tęsknię za obojgiem.

Ktoś, kogo dziadek znał Sibeliusa, zacytował mi słowa mistrza: „Istnieje codzienny świat pozorów i czarodziejski świat życia wewnętrznego. Mostem między nimi jest muzyka”.

O tym właśnie myślałem idąc do domu i wdychając spokojne nocne powietrze. O tym oraz o wielu innych rzeczach. Znajdowałem się w stanie swoistego podniecenia - uradowany, a jednocześnie pełen podejrzeń. Z powodu tego nastroju trudno było mi początkowo stwierdzić czy martwa dziewczyna pochodzi ze świata pozorów, czy też ze świata życia wewnętrznego.

Ucieczka mojego brata w świat miłości erotycznej, w świat wolny od politycznych nacisków, nie dawała mi spokoju. Kogoś innego może prześladować wspomnienie kwiatu wręczonego niegdyś czułym gestem. Nawet w tej chwili moje myśli krążą wokół tamtej martwej dziewczyny. Włączyłem latarkę spostrzegłszy coś na skraju drogi. Leżała tam potargana i brudna, z nogami pobłyskującymi jak nagie konary drzewa, z zadartą po pas spódnicą, obnażonymi wszystkimi intymnymi częściami ciała, z ufnością wpatrująca się martwymi oczami w niebo. Nawet tutaj, na wygnaniu... tamto wspomnienie powraca, dręczy i sieje spustoszenie

w moim sercu.

I, jeśli mogę cofnąć zegar o godzinę czy dwie, była to dla mnie godzina triumfu lub czegoś porównywalnego do triumfu. Być może takie chwile przyciągają tragedię, tak jak Furie składają wizytę ludzkiej dumie. Moja symfonia odniosła sukces. Wracalem do domu z Oulu, gdzie dyrygowałem podczas premiery mojej drugiej symfonii w miejskim centrum. Na sali był nawet obecny wybitny krytyk Jalkirouka. Posępne, zwycięskie tony ostatniej części dzieła, które jak nigdy przedtem rozwinęły mroczne akordy mojej palety tonicznej, wciąż czarodziejsko dźwięczały mi w uszach, toteż powtarzałem sobie bez ustanku: „Przynajmniej to osiągnąłem, przynajmniej tego dokonałem”.

Faktem jest, iż nie byłem w pełni zadowolony ze sposobu odegrania drugiej części. Nie poszła tak jak sobie tego życzyłem.

Po koncercie w Oulu wydano przyjęcie na moją cześć. Przed odjazdem na lotnisko, skąd miałem polecieć do Kuusamo, wygłosiłem krótkie przemówienie. Moja żona nie czekała w samochodzie na lotnisku w Kuusamo, ale też nie byłem całkiem pewien czy przybędzie. Cierpiała na artretyzm i coraz więcej czasu spędzała leżąc pod kocami na wielkiej, wiklinowej sofie w naszym salonie oraz czytając francuskie powieści.

Nasz dom, oddalony o około pięć kilometrów od lotniska, stał przy wiodącej z niego autostradzie. Była piękna noc. Z jakiegoś powodu - może winę powinienem przypisać wewnętrznej niepokoju - postanowiłem nie korzystać z taksówki, którą brałem zwykle gdy Sinnikka nie wychodziła po mnie na lotnisko, ale pójść na piechotę. Wyjąłem z bagażu buty podbite futrem i ruszyłem energicznie dostosowując krok do rytmicznej frazy: „Dobrze, że przynajmniej to zrobiłem”. To nie była zła muzyka. Powiedziała coś moim rodakom o fatalnych czasach w jakich żyliśmy. Potomność z pewnością odda mi za to hołd. Potomność i współczesna krytyka.

Jednakże druga część, wolniejsza, wciąż mnie martwiła. Ku czci mojego brata włączyłem do niej motyw z Janaczka, składający się z permutacji wznoszących się i opadających ruchów ćwierćnut z sekundą wielką, co zapożyczyłem z kameralnego dzieła Janaczka „*Zapisnik zmizeleho*”. Ten utwór na zespół wokalny opowiada o młodzieńcu, który zakochuje się w cygańskiej dziewczynie i ucieka z nią ze swojej rodzinnej wsi. Są w nim słowa: „Gdy coś jest twoim przeznaczeniem, ucieczka nic nie zmieni”; w mojej orkiestracji główny motyw namiętności i przeznaczenia płynął wolno i niewyraźnie, a w Oulu w sali koncertowej urywał się kilkakrotnie. Powinienem być jeszcze popracować nad tym fragmentem i przeklinałem sam siebie, że tego nie zrobiłem.

Gdy wyruszyłem do domu, była w przybliżeniu druga nad ranem - „Już na niebie pojawia się brzask” - przychodzą na myśl słowa jednej z pieśni z „*Zapisnika*” Janaczka - a zza zasnutego chmurami horyzontu przebijał się blask wschodzącego słońca. Latem ciemność jest w tym kraju jedynie pewnym rodzajem nieudanego dnia.

O tej porze nie było żywego ducha. Na dalekim przedmieściu ujadały psy, trudno powiedzieć - domowe, czy też dziczące. Jednostajny krajobraz za miastem urozmaicała jedynie wstęga drogi. W jaki sposób dziewczyna dotarła w to miejsce? Skąd przyszła śmierć? Ale motyw zbrodni był jeszcze kwestią przyszłości, a ja wciąż przebywałem w czarodziejskim świecie moich myśli. Na razie niewidoczne jezioro leżało gdzieś przede mną, nad jego brzegiem stał mój dom, a w nim Sinnikka. W odległości zaledwie kilku kilometrów drzemały pod posępnymi tumanami chmur brzegi naszego gigantycznego, przerażającego sąsiada ze wschodu, jednocześnie groźby i inspiracji. No i ja obok rowu, w połowie mojej drogi życiowej.

Symfonia spotkała się z pewną rezerwą ze strony pierwszych słuchaczy w Oulu. Mogłem się tego spodziewać: muzyka nie docierała do ludzi natychmiast, ale też nie to było moim zamiarem. Poza tym, jesteśmy ludźmi powściągliwymi, ukształtowanymi przez klimat i historię. Krytyk Jalkirouka siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy w łoży na parterze. Gdziekolwiek bym nie mieszkał, to odwieczne przeznaczenie naszego ludu wciąż mnie nie

odstępuje - podobnie jak człowieka wielkiego duchem. Rzeki naszej ojczyzny zawsze biorą swój początek w strumieniach mleka matki.

Moje myśli stały się ciężkie, kroki wolniejsze. Kiedy jestem sam i nie komponuję, moje myśli częstokroć są jak z ołowiu. Krok po kroku starałem się pomniejszyć moje osiągnięcia, chociaż trochę zlekceważyć to, czego dokonałem. Chociaż proces ten przerażał mnie i bezsilnie obserwowałem jak wdziera się w moją dumę, równocześnie witałem go z radością, podobnie jak każdy artysta, który zawsze na dnie serca powinien kryć rozczarowanie, który musi być surowy, musi być beznamiętny, nie może zaznać spokoju. Jedynie ta fala pogardy przyniesie mi oczyszczenie, abym potem spróbował raz jeszcze i być może stworzył dzieło głębsze, wiekopomne.

„Rozdrabniasz się, twierdzisz że tworzysz dla swoich czasów, dla swoich rodaków... Co za prowincjonalizm! Tylko drugorzędni kompozytorzy wyznaczają sobie takie cele!”. Tak więc skarciłem się mówiąc, iż powinienem wystrzegać się popularności. Muszę wyzbyć się chęci zysku, nie wolno mi gonić za nagrodą - to droga do upadku artysty. Muszę żyć tylko dla muzyki. Jej muszę poświęcić wszystko, nawet kosztowną opiekę lekarską, której wymaga moja biedna żona.

W jakim innym sposobie artysta może zachować godność i iść z podniesioną głową? Te klaszczące dłonie w sali koncertowej w Oulu... Z chwilą wygaśnięcia oklasków, w umysłach które wydały rozkaz dłoniom, ucichła moja muzyka. Muzycy, artyści, pisarze, każdy z nich miał swój dzień, ale byli niczym w porównaniu z politykami mogącymi w dowolny sposób manipulować ich przeznaczeniem.

Szczekanie psów zostało teraz w tyle. Przy akompaniamencie głuchych stąpnąć przerywających ciszę, pogрузyłem się w rozmyślaniach nad śmiercionośną historią tego stulecia; rozmyślałem o tamtych brutalnych ludziach, których kariery nadały kształt temu światu.

* * *

Tamci ludzie... ich cienie przemykające przez *andante* mojej drugiej symfonii. Był wśród nich porywczy Szwed, Karol XII, który nie wiedział co to porażka, który wojował pod kamienistymi ścianami Narvy; wokół szalała śnieżycyca, a jego ludzie zadali druzgoczącą klęskę wojskom Piotra Wielkiego. Później ten szaleniec z rozwianymi na wietrze włosami, w wysokich żołnierskich butach, poległ podczas ataku na ponurą twierdzę w Norwegii. Przez swój szaleńczy zapal stracił Imperium Szwedzkie, a Piotr Wielki rzucił się jak lew na bałtyckie prowincje Karola.

Goście z cywilizowanych ziem ocenili naród Piotra dawno temu. Carowie dysponowali nieograniczoną władzą. Chłostali swoich bojarów, bojarowie batożyli pańszczyźnianych chłopów, biskupi chłostali księży, a wszyscy tłukli swoje żony, dzieci i kochanki. Ubóstwo, przesady, pijaństwo i rozpusta - oto znajoma wszystkim manifestacja tej wędrówki Orientu na północ. Buntowniczy, a jednocześnie konserwatywny, ten straszliwy lud przeżył tysiąc lat pod rządami Rurykowiczów i Romanowów, czcząc swoich ciemieżycieli, deprawując i będąc deprawowanymi, nie czyniąc ani jednego kroku w stronę cywilizacji. Któż byłby w stanie przeciwstawić się udręczonemu narodowi? Nie ja!

Pod jarzmo tego narodu mój kraj dostał się w 1809 roku, aby w nim pozostać przez ponad sto lat. Wtedy nasze noce były najczarniejsze, zimy najdłuższe. Tajna policja, bomby, groźba zesłania na Syberię - oto instrumenty sprawiedliwości, które znaleźliśmy. Cóż z tego, że byliśmy krajem na obrzeżach Europy, gdzie prócz ryb, reniferów i niedźwiedzi, nie było niczego do jedzenia? Cóż z tego, że egzystowaliśmy na skraju ubóstwa, niezdolni do utopijnych marzeń, które zaczynały wstrząsać Europą, a nawet samą Matką Rosją? Od czasu gdy sprośny awanturnik, moskwiczanie Piotr ustąpił miejsca innym zbirom, aż po srogiego ciemieżcę Aleksandra II, którego pomnik stoi dumnie w naszej stolicy dlatego, że batożył nas łagodniej

od swoich poprzedników, nasze życie niewiele się zmieniło; nasi potomkowie w Oulu żyli w chatach z drewnianych bali, pozostawali na diecie składającej się z kartofli oraz surowych śledzi, wcześniej umierali z powodu gruźlicy, pijaństwa lub podczas porodu. Naszym dziedzictwem było zło.

Małym hołdem złożonym naszemu krajowi była pewna dawka niepodległości. Nawałnica dwudziestego wieku wdarła się nawet do posępnego serca Rosji, gdzie ster rządów przejęli dwaj pozbawieni skrupułów awanturnicy - Żydzi Bronstein i Uljanow, którzy zmienili potem nazwiska na Trocki i Lenin. Naród, nękanym bezprecedensowymi huraganami kłamstw i okrucieństwa, wyzywał się swojej gorliwości i dziecinnej lojalności. Ród Romanowów został zmieciony jak żdźbło na wietrze, podobnie jak nikomu niepotrzebny Mikołaj - ostatni, najłagodniejszy członek dynastii. Jego bezskuteczne prawa, policja, więzienia i tajne dekrety zostały od tej chwili poparte przez nowych właścicieli narodu. Lecz tamta godzina przewrotu była dla mojego kraju godziną wyzwolenia się spod jarzma i ogłoszenia niepodległości.

W świecie wciąż zdominowanym przez obrzydliwą, starą ideę nacjonalizmu, niepodległość jest uważana za coś najbardziej zaszczytnego. Dziesiątki krajów zdobywały niepodległość, aby potem z winy złych rządów pograć się w długach i niewolnictwie. Rolnictwo, przemysł, handel - wszystko cierpiało w imię nacjonalizmu. My, Finowie, poradziłyśmy sobie w inny sposób. Uczciliśmy naszą nową wolność wojną domową 1918 roku. Chociaż trwała krótko, zginął w niej milion moich rodaków - w kraju liczącym cztery miliony ludzi. Po tej rzezi zostaliśmy republiką pod przewodnictwem naszego bohatera narodowego, Mannerheima - wielkiego żołnierza i, naturalnie, nie mniejszego opoja i dziwkarza. Moją symfonię zatytułowałem na jego cześć.

Rozmyślając o opowieściach, które słyszałem na temat Mannerheima oraz jego babiskich podbojów, doszedłem do ostatniego zakrętu drogi prowadzącej do domu. Słońce podniosło się już nad horyzontu i pobłyskując zza chmur rozświetlało okolicę pomarańczowym blaskiem. Przede mną leżało jezioro, nieciekawie wyglądające za rzędem skarłowaciałych brzoź, a na tle jego brzegów stał mój dom. Po jednej stronie drogi znajdował się rów, którym płynął niewielki strumyk. Kobieta leżała na wpół zanurzona w rowie, wpatrując się w niebo martwym wzrokiem, z głową i ramionami pod wodą. Sweter i spódnica były porwane. Zadarte wysoko odsłaniały oczom przechodnia intymne części ciała ofiary. Układ ciała sugerował, iż kobieta została wyrzucona z samochodu.

Gdy przyklęknałem próbując wyciągnąć ją z rowu, spojrzałem na to, co zwykle miewała przysłonięte, i przyszła mi do głowy myśl banalna, myśl która mogłaby przytrafić się każdemu mężczyźnie, iż to jest właśnie ta kryjówka, dzięki której świat kłamstw i ucisku stał się dla mężczyzn znośny, która rodziła miłość, o ile miłość miała zaistnieć, i która leżała u podstaw większości inspiracji muzycznych. Z trudnością uniosłem ociekającą wodą głowę. Obciągnąwszy spódnice kobiety położyłem ciało na skraju rowu.

Początkowo przypuszczałem, iż została zgwałcona i zamordowana, byłem jednak zbyt wrażliwy, aby przedsięwziąć jakiegokolwiek śledztwo i sprawdzić tę teorię. Taka zbrodnia nie jest czymś nieznanym, nawet w moim spokojnym kraju. Znalezienie zamordowanej ogromnie mnie przygnębiło i pozbawiło jasności myślenia. Wiedziałem jedynie, iż nie wolno pozwolić aby leżała tu do świtu, rzucona na pastwę dzikich psów. Zniosłem ją do domu, potem zadzwoniłem na policję. Byłem jednak świadom, że w takiej bliskości granicy nieprzyjaciela, policja prawdopodobnie każe mi długo czekać.

Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, iż kobieta została ugodzona czymś ostrym. Pod plecakiem, który miała na sobie, poła płaszcza była poszarpana w miejscu gdzie ciało przebił nóż lub sztylet. Spostrzegłem, że na ziemi czerwień się odrobina krwi.

Martwa dziewczyna była na tyle lekka, aby stanowić znośne brzemień. Przerzuciłem ją przez ramię, tak że jej dłonie obijały się o moje łydki i pomaszerowałem równym krokiem w stronę domu.

W oknie mojego domu przeblyskiwało światło. Czy byłem w domu, czy też nie, Sinikka zawsze zostawiała światło na noc. Odbijało się jak kosmyk złotych włosów w ciemnej, nieruchomej wodzie strumienia. Przed domem kołysała się przycumowana łódź; za nim, niby szereg żelaznych prętów, stał rząd brzoź. Położyłem na ganku swoje brzemię, potem torbę, a następnie wyprostowałem plecy. Zadrżałem ogarnięty wątpliwościami. Na filmach grozy, które dość rzadko oglądałem, dzwiganie zwłok wczesnym rankiem było fraszką. W świecie rzeczywistym, gdzie motywy są bardziej niezrozumiałe, a niejasności nie tak łatwo dają się wytłumaczyć, aby być nieuchronnie powiązany ze śmiercią, wystarczy zaledwie się o nią otrzeć.

Istniała potęga żywych, którą należało brać pod uwagę: reakcja Sinikki, reakcja nieznanych osób, reakcja moich przyjaciół, publiczności, ale też istniały mroczne siły rządzące naszym światem. Siła umarłych jest także pewnym czynnikiem. Dziewczyna odeszła, ale jej historia, to co mogłoby się nią okazać, pozostała i może wypuścić korzenie, które wrosną w moje życie. Dźwięki tamtego złowrogiego „Valse Triste” Jeana Sibeliusa, fragment przypadkowej muzyki do sztuki „Kuolema”, wkraść się do mojego udęczonego umysłu.

Podczas gdy chmura nadal snuła się nad horyzontem, w górze niebo przejaśniło się; wędrował po nim bezszelestnie jeden z sowieckich promów marsjańskich, jakby przypominając mi o historii świata, której częścią byliśmy w równej mierze zarówno ja sam, jak i martwa dziewczyna - nieważną częścią w kronice, w której nie proponowano żadnego rozwiązania, żadnej ucieczki. Wbrew wszelkim naciskom, Finlandii udało się rozkwitnąć pod rządami Carla Gustava Mannerheima. Jego niezłomnego ducha nie osłabiły nawet mające nadejść niebawem tragedie. Na przykład w roku 1935, zaledwie w szesnaście lat po odzyskaniu przez Finlandię niepodległości, Mannerheim zaprosił pięciu polityków z Anglii, której względy miał nadzieję sobie zaskarbić, aby odwiedzili nasz kraj i na własne oczy ujrzeli nasze postępy. W samym centrum stolicy, przed budynkiem parlamentu, eksplodowała bomba zabijając na miejscu trzech delegatów angielskich, w tym Winstona Churchilla, który akurat wypowiadał się na temat niebezpieczeństw związanych z komunizmem. Winą za incydent obarczono bolszewików, Mannerheim oczyścił z podejrzeń elementy wywrotowe, ale ani na jotę nie zmienił swojej polityki.

Gdy bandycki reżim Adolfa Hitlera zaczął rozprzestrzeniać się na pozostałe części Europy, Mannerheim zachował dobre stosunki z Niemcami i jakoś zdołał uniknąć inwazji Hunów po Wiktorii nad Słowianami. Powoli, rok po roku, Hitler zajął całą Europę. Francja - rok 1940. Wielka Brytania - 1941. Nikt na tej niegdyś wspaniałej wyspie nie potrafił wskazać przywódcy, który wznieciłby w Brytyjczykach płomień ducha walki. Irlandia, Portugalia – rok 1942. *Und so weiter...*

Sowieci, walecznie stawiający czoła faszystom, podążyli na wschód przez terytorium Korei i na południe przez Afganistan, aby następnie zająć dawne kolonie brytyjskie, Birmę i Indie. Pod przywództwem przebiegłego Zinowiewa, który zamordował swojego rywala Józefa Stalina, Sowieci zawarli sojusz z Japonią. Japonia, pomnażając swoje sukcesy w dziedzinie przemysłu, rozszerzyła strefę swoich wpływów na cały Wschód, przejmując, włącznie z Australią, większość dawnych kolonii tych potęg europejskich, które zostały rozpuszczone w sokach trawiennych germańskiego pytona. Jako łapówka dla Ameryki nietknięte pozostały jedynie Chiny i Sumatra.

Amerykanie, wierni swej doktrynie izolacjonizmu, z przerażeniem obserwowali jak Europę, tę niegościnną ojczyznę, którą porzucili albo oni sami, albo ich ojcowie, spowijają ciemności. Przyglądali się, ale nie kiwnęli palcem. Nawet gdy wyspiarskie królestwo języka angielskiego ugięło kark pod swastyką, a w Stanach Zjednoczonych obchodzono Święto Żałoby, w powietrze nie wzbił się ani jeden samolot, aby polecieć na zachód i stawić czoła rozlewającej się fali represji.

Trudno powiedzieć dlaczego świat Skandynawii, ze swoimi bezkresnymi przestrzeniami i niewielką liczbą ludności, uniknął rzezi, ale ogólnie rzecz biorąc nieporozumieniem jest

przypisywanie światowym liderom racjonalizmu. Wszystkie kraje skandynawskie podnosiły bandery na swoich okrętach, podpisywały traktaty i tajne porozumienia o ekstradycji. I przetrwały, każdy na swój sposób. Przetrwała kultura nordycka. Wszędzie indziej kultura umarła, została upodlona, stała się zwykłym kaprysem, propagandą czy też bezmyślną rozrywką ujarzmionego proletariatu. Tak zwana Muzyka Wszech - Rzeszy jest gwałtownym i sentymentalnym militarystycznym, niezdolnym ani do harmonii, ani do dysonansu - plemiennym, prymitywnym jazgotem. Na szczęście zabronionym na terenach sowieckich.

Wszystko to jest oczywiście historią utrzymywaną w tajemnicy. Opowiedział mi ją mój ojciec, co jest obowiązkiem wszystkich ojców w Skandynawii. Podręczniki przedstawiają wszystko w całkiem innym świetle, spryskując odświeżaczem do powietrza to gnojowisko historii. Przeczytanie podręcznika do historii autorstwa przerażonego tchórza, obawiającego się by kogoś, zawsze bezimiennego, nie urazić, oznacza wkroczenie w świat alternatywny.

* * *

Przewyciężywszy złe przeczucia wszedłem do pogrążonego we śnie domu. Sinnikka śniła swój pigułkowy sen w sypialni pełnej gobelinów. Spojrzałem na nią i, uświadomiwszy sobie jak się postarzała, w zmarszczkach jej twarzy odczytałem swoje własne minione lata. Nie poruszyła się. Podczas gdy ja zaangażowałem się w sprawy narodu, Sinnikka wycofała się w spokojny świat życia domowego, urozmaicany jedynie wyjazdami do odległych sanatoriów, gdzie poddawała się kuracjom związanym ze swoją tajemniczą chorobą. Dzieci nie mieliśmy.

Ponownie podnosząc młodą kobietę - teraz z większą niż poprzednio niechęcią - wniosłem ją do mojej sypialni i położyłem na łóżku. Przyglądając się twarzy dziewczyny studiowałem jej wzruszającą delikatność. Chociaż zastygła w przerażeniu, nie szpeciły ją najmniejsze oznaki starości. Przez moment odniosłem wrażenie, iż w tej apoteozie młodości spostrzegam rysy kobiety, którą ostatnio spotkałem, ale młodość, tak jak starość, bywa do siebie podobna. Doszedłem do wniosku, że zmarła mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Miała długie, kasztanowe włosy i zdecydowanie nie była przedstawicielką rasy nordyckiej, ani słowiańskiej.

Aby kobieta leżała zupełnie płasko, zdjąłem jej plecak ze skórzanymi paskami. Zawierał parę sztuk bielizny, niewielkie poobijane jabłko, dwie książki w miękkiej oprawie, grzebień, szczoteczkę do zębów, kieszonkowe słowniki angielsko - fiński i angielsko - rosyjski oraz dokumenty, a wśród nich wizę - być może fałszywą - zezwalającą jej właścicielce na wjazd i wyjazd ze Związku Radzieckiego w takim to a takim terminie. W rubryce „zawód” wpisano „agronom”. Zamordowana nazywała się Carol-Ann Crutchley Cracken, była Amerykanką ze stanu Georgia.

Spojrzałem na kobietę z zainteresowaniem. W Europie rzadko spotykało się ludzi z Ameryki. Ja sam, chociaż nie przepadam za komercjalizmem w ich sztuce, myślałem o Ameryce jako o kraju, gdzie w relatywnie czystej formie nadal istnieje wolność. Jak by nie pa-trzeć, państwo to zbudowali wygnańcy, a tych darzyłem szczególnymi względami. Któż więc zabił Carol-Ann Crutchley Cracken? Może agenci wroga Rzeszy, tego ogromnego, ogarniętego przerażeniem kraju na wschodzie? A może zrobił to ktoś z naszych? Jeśli tak, być może w grę wchodziły kwestie natury politycznej, od których powinienem trzymać się z daleka. Zatem najlepiej byłoby gdybym zostawił to martwe ciało tam gdzie dokonałem odkrycia. W rowie.

Powinienem był wziąć taksówkę, powinienem był bardziej popracować nad drugą częścią symfonii...

Nie czekając aż zawładną mną złe przeczucia, podszedłem do telefonu i wystukałem numer policji w Kuusamo. Usłyszałem sygnał, a na ekranie wyświetlił się symbol policji. Gdy

kobięcy głos spytał czego sobie życzę, nadal nie było wizji, ale w przypadku policji nie jest to niczym niezwykłym. Opowiedziałem co się wydarzyło. Po krótkim przesłuchaniu i chwili oczekiwania, w trakcie której policjantka zdała raport przełożonemu, poinformowała mnie, że samochód policyjny przyjedzie za mniej więcej dwie godziny. Do tego czasu miałem nigdzie się nie ruszać i nie dotykać ciała.

* * *

Cóż, głupku, teraz... Nie dokończyłem myśli. Zza okna sączyło się światło dzienne przeciskając się przez liście roślin stojących na szerokim parapecie. Do drzwi stukał kolejny dzień. Wkrótce obudzi się Sinnikka. Wszystko na świecie potoczy się swoim utartym torem, a mnie bez wątpienia zabiorą na policję na przesłuchanie. Na moment owładnęło mną poczucie jedności ze wszystkimi tamtymi wygnańcami, wszystkimi więźniami, którzy w tym stuleciu i wcześniej, byli osadzeni w więzieniach i już nigdy nie mieli ujrzeć promyka wolności.

Przegnawszy ten podły nastrój wszedłem do kuchni i zaparzyłem sobie kawę. Zjadłem kilka kromek żytniego chleba z żółtym serem i salami, i zaspokoivszy pierwszy głód, nadal przeżuując wróciłem do sypialni. Na krzesle leżała złożona kołdra. Delikatnie ją rozpostarłem i nakryłem ciało Carol-Ann Crutchley Cracken. Teraz, gdy wiedziałem jak się nazywa, nie miałem już ochoty na nią patrzeć. Utraciła tę surową anonimowość, która przystoi zmarłym.

Nastawiłem koncert wiolonczelowy Lutosławskiego i usiadłem, żeby wypić kawę. Słowniki i powieści położyłem na krzesle, którego siedzenie moja żona ozdobiła haftem. Leniwie podniosłem do oczu jedną z powieści w miękkiej oprawie.

Krzykliwa okładka była powycierana i nieco naddarta. Książka przeszła przez wiele rąk. Nie zagłębiłem się zbyt w rozważania na temat literackich gustów Carol-Ann, jako że najwyraźniej utwór należał do gatunku zwanego w Skandynawii Niby - Mitami, w których w przeszłości lub przyszłości dzieje się mnóstwo nieprawdopodobnych rzeczy. Okładka przedstawiała stygmaty typowe dla tego gatunku: prom międzyplanetarny podążający w stronę Księżyca, gigantyczną wielofunkcyjną maszynę, człowieka w skafandrze rzucającego kosmosowi gniewne spojrzenie, i w tle, nagą kobietę trzymającą śmiercionośną broń.

Książka nosiła tytuł „Niesamowity uśmiech”. Nazwisko autora nieprzypadkowo natychmiast przyciągnęło moją uwagę. Jael Cracken. Przekartkowałem książkę w poszukiwaniu jakiegokolwiek informacji, która naprowadziłaby mnie na trop z pewnością istniejącego pokrewieństwa między autorem a Carol-Ann Crutchley Cracken.

Książkę opublikowano w Nowym Jorku w 1995 roku, chociaż akcja utworu, jak to często bywało w przypadku Niby - Mitów, została osadzona pół wieku wcześniej, w roku 1945. Na odwrocie okładki wyczytałem, iż Jael Cracken pisywał również pod nazwiskiem Kyril Bonfiglini oraz Malcolm Edmunds. Była to trzydziesta dziewiąta powieść fantastyki wydana pod nazwiskiem Cracken. Była w niej mowa o możliwej do przyjęcia przeszłości Brytanii - koncepcji, która jak wywnioskowałem, pociągała Amerykanów, jako że Cracken pisał wcześniej na ten sam temat, a jego „Szyfry Planety Buldoga” przyniosły mu jakąś nieznaną mi nagrodę Frederika.

W drugim pokoju moja żona westchnęła przez sen. Zdjąwszy marynarkę przerzuciłem ją przez oparcie sąsiedniego krzesła. Nie zakłócając spokoju zmarłej położyłem nogi na skraju łóżka i bez większego entuzjazmu zacząłem czytać. Przy akompaniamencie posępnych tonów Lutosławskiego wkroczyłem w krainę szmiry.

NIESAMOWITY UŚMIECH

napisał Jael Cracken

1

Mdławy powiew rewolucji

1 czerwca 1945 roku. Ulice Nowego Jorku skąpane w słońcu, wszyscy spokojni i prawomyślni jak zawsze. Zewsząd dobiega muzyka z głośników, regularnie kursują taksówki, piękne kobiety stoją na rogach ulic. Prezydent Truman uśmiecha się dobrotliwie z podobizn na wszystkich budynkach.

W dowództwie Pan-Amerykańskiego Wywiadu Międzynarodowego, wysoko nad Fifth Avenue, praca wre jak co dzień. Randolph Hurst Shoesucker, szef PWM, odbywa właśnie odprawę z jednym ze swoich najlepszych agentów, który siedzi przed wielkim mężczyzną po przeciwnej stronie mahoniowego biurka.

- Polegamy na tobie - rzekł wielkolud. - Zrzucimy cię po cichu na teren Brytanii - planujemy zrobić to w górach północnej Walii, gdzie zajmie się tobą podziemna siatka. Potem musisz zdać się tylko na siebie i nawiązać własne kontakty. Naturalnie wesprą cię prawi Brytyjczycy. Faszystowski wróg zaciska obręcz, kraj ma teraz nową konstytucję wiążącą Brytanię ściślej z nazistowskimi Niemcami. Oficjalnie Wyspy Brytyjskie nazywają się teraz Narodowymi Socjalistycznymi Republikami Brytyjskimi, rządzone są przez przywódcę występującego pod przybranym nazwiskiem Jima Bulla. Oto jego zdjęcie. Ani na jotę nie przypomina Harry'ego Trumana.

Święta prawda. Zdjęcie, które trzymał Shoesucker, przedstawiało krępego, różowego na twarzy młodego człowieka o łakomych ustach i błękitnych wyłupiastych oczach, z grzywą kręconych kasztanowatych włosów. Wyglądał na apodyktycznego i nie zasługującego na zaufanie. Dla wielu ludzi był idealnym wyobrażeniem typowego Brytyjczyka.

- Oto Jim Bull. Mamy powód, by uważać, iż jest Niemcem. Być może, jak to przedstawiają raporty PMW, jest gauleiterem Pomorza. Twoim zadaniem w Brytanii jest wsparcie spisku mającego na celu zamordowanie tego człowieka. Rozumiesz?

Agent przytaknął z zaciśniętymi ustami.

- Kapuję.

- Więc złap się za to. Twoim najważniejszym zadaniem jest wsparcie finansowe brytyjskiego patriotycznego podziemia poprzez przekazanie mu sumy miliona dolarów. Głównym działaczem podziemia jest facet o nazwisku Dorgen. Jest amerykańską wtyczką, którą miejscowi biorą za Brytyjczyka - to niezły aktor. Ale pieniądze musisz przekazać niejakiemu Wyvernowi. Powtórz.

- Wyvernowi. Dziwaczne nazwisko.

- Brytyjczycy miewają dziwaczne nazwiska - rzekł Shoesucker.

- Dobra. Wyvern.

- Tak jest, Wyvern. Mamy powód, aby uważać, że Wyvern dysponuje telepatyczną siłą dorównującą twojej. Tak donosi Dorgen. Skontaktujesz się z nim na hasło „Czy można zatuszować romans?” Właściwym odzewem jest „O niczym innym nie marzę”.

Powtórz.

- „Czy można zatuszować romans?” „O niczym innym nie marzę”. Nieco ckiwe, nie-

prawdaż sir?

- Dostarczył to wywiad. Jakby kawałki z brytyjskiej listy przebojów, czy coś takiego. Jakies pytania?

Agent zawahał się i Shoesucker zmierzył go baczny spojrzeniem.

- Nie, sir.

- Bardzo dobrze. No to daj mi buziaka.

Agent, dawno spostrzegłszy rodzącą się w głowie Shoesuckera myśl i doskonale wiedząc, że nie należy przeciwstawiać się przełożonemu, już wcześniej przeszedł na drugą stronę mahoniowego biurka.

Pocałunek był krótki.

Randolph Hurst Shoesucker przerwał go i stanął na baczność.

- Niech Bóg cię prowadzi.

- Dziękuję, sir.

Agent zawahał się zaledwie przez chwilę, potem odwrócił się i marszowym krokiem opuścił długi pokój.

Chociaż odczytała inne myśli, które kielkowały w umyśle Shoesuckera, nie zaprotestowała nawet jednym słowem – Eileen South była w każdym calu profesjonalistką.

* * *

3 czerwca 1945 r. Norwich, stolica Republik Brytyjskich.

Ulicami pięknego starego miasta, nad którym górował historyczny zamek, prócz wojskowych lub służbowych pojazdów nie jeździło prawie nic. W czwartym roku okupacji kraju przez Trzecią Rzeszę, stolicę ze względów bezpieczeństwa odgradzano murem. W przyszłości farmerom pozwoli się przywozić płody rolne pod bramy miasta, ale ani kroku dalej.

Wykorzystując głównie sprowadzaną z zagranicy siłę roboczą, przede wszystkim francuskich niewolników, na równinach pod Norwich budowano eksperymentalną elektrownię atomową.

Ciszę opustoszałych ulic miasta przerwał warkot porsche. W zielonkawym z powodu ulewnego deszczu wieczór, samochód powoli piał się pod wzgórze w stronę koszar Britannia. Siedzący obok kierowcy zdenerwowany człowiek w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym co dwie sekundy zerkał na zegarek. Bezustannie przełykał ślinę starając się przebić wzrokiem kurtynę deszczu. Wymamrotał coś gdy w końcu wyłoniła się ściana koszar.

Koszary, po pośpiesznych przeróbkach, przekształcono w pałac-fortecę Jima Bulla, Naszego Ukochanego Przywódcy.

Ongiś w tym ponurym miejscu szkolono żołnierzy, którzy poszli walczyć w okopach Wielkiej Wojny. Obecnie wysiłek Żydowskiej Odnowy przekształcił chłodne sypialnie w sale komitetów i prywatne apartamenty. Za sztukaterią jednej z nowo udekorowanych sal tkwił skulony mężczyzna. Sala stanowiła łazienkę wchodzącą w skład kompleksu apartamentów Przywódcy. Mężczyzna był uzbrojony.

Przez czterdzieści dwie godziny czekał w swojej szerokiej na dwie stopy kryjówce. Drzemał nie odważywszy się zasnąć, bał się przebić cieniutką sztukaterią. Miał przy sobie zapasy jedzenia, fluorescencyjny zegarek i rewolwer. Usłyszał kroki kogoś wchodzącego do łazienki.

Przyłożywszy oko do wąskiej szpary czekał i obserwował. Człowiek w łazience na razie pozostawał poza zasięgiem wzroku, ale wnioskując z odgłosów, zdejmował ubranie. Wykrzywiając usta w dziwnym uśmiechu zabójca rozruszał mięśnie nóg. Wkrótce, daj Boże, będzie musiał szybko się poruszać.

Morderca odrzucił na bok kruchą sztukaterię i trzykrotnie wystrzelił. Jim Bull, alias Walter von Offnungszeiter, przyjaciel Hitlera, gauleiter Pomorza Wschodniego, bohater

Ordnung von Nacht und Nebel, padł martwy. Leżał jak długi pod strugą letniej wody z prysznica. Woda zabarwiała się na ciemny kolor, po czym znikwała w kratce odpływowej.

Z rewolwerem w dłoni zabójca prześlizgnął się do swojego zakamarka w starym szybie windowym. Skoczył z piętra na parter i wylądował na materacu, który tam wcześniej położył. Zasunął drzwi dźwigu, do których jakiś czas temu przymocowana była zardzewiała kłódka. Znalazł się na kamiennym korytarzu na tyłach koszar.

Stojący kilka metrów w głębi korytarza żołnierz w koszuli z krótkimi rękawami, odwrócił się i drgnął, gdy morderca rzucił się do okna i zniknął w mroku deszczowego wieczoru. „Hej!” krzyknął ponieważ zaskoczony wartownik.

Przeklinając sztywne mięśnie nóg zabójca obiegł umywalnię, przeciął opustoszałą kuchnię, wyminął pojemniki na pomyje i popędził w kierunku zamkniętych drzwi prowadzących do sali gimnastycznej. Z naprzeciwka nadchodzili dwaj sierżanci.

Zaskoczeni wytrzeszczyli oczy, ale morderca miał na sobie mundur kaprała. Mijając żołnierzy mrugnął do nich i sierżanci bez pośpiechu podążyli dalej.

Odryglował drzwi sali gimnastycznej, skręcił w lewo do NAAFI i, przeskoczywszy niski płatek odgradzający kwatery oficerów, zniknął za wiatą dla rowerów.

Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu pralni; o tak późnej porze maszyna stała wyłączona. Przed sobą miał tak zwane Wyjście Snoggersa, wąską drewnianą bramę w wysokiej ścianie koszar. Przy bramie stał wartownik.

Uciekinier zatrzymał się i wycelował, a kiedy wartownik pośpiesznie podniósł lekki karabin maszynowy, wystrzelił. Zanim wartownik zwałił się na kamienie, mężczyzna już gnał co sił w nogach. Ponaglało go dochodzące z tyłu pogwizdywanie kul.

Dobiegał do bramy gdy drewniane wrota rozpadły się na kawałki. Na zewnątrz, na szosie na wzgórzu, stał sportowy samochód. Kierowca, który wysadził bramę, wskoczył za kierownicę. Jego towarzysz, niespokojny mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym, odchylił do tyłu siedzenie, skinął na mordercę i tuż za nim wsiadł do środka. Porsche ruszyło.

Pędzili wzdłuż wysokich ścian koszar z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Samochód zwolnił przy skręcie w dół; zrzucając tyłem i przebijając się przez mokry gąszcz lawirował między rzadko rosnącymi drzewami. Na otwartej przestrzeni ponownie przyspieszyli, śmignęli obok zniszczonej estrady i wypadli na żwirową drogę.

Gdy w dwie minuty później wzięli ostry zakręt w lewo i znów ruszyli pod górę, rozpadało się jeszcze bardziej. Kręta droga między sosnami doprowadziła ich do wykopu w kredowej glebie, który dawniej służył jako strzelnica.

Na środku strzelnicy czekał z otwartym włazem niewielki pasażerski statek kosmiczny.

Zabójca wypadł z samochodu i pognął do statku. Wspiał się po wąskiej drabince. Siedzący na obrotowym fotelu pilot odwrócił się i trzymając przybysza na muszce, uważnie przyjrzał się jego twarzy. Potem opuścił rewolwer i zajął się pulpitem sterowniczym. Pomiedzy śmiercią brytyjskiego dyktatora, a pierwszymi słowami pilota padały jedynie monosylaby.

* * *

Stratton Hall, wielki osiemnastowieczny budynek, znajdował się kilka mil od Norwich. Gmach, wzniesiony w kosztownym stylu królowej Anny, został niestety zeszpecony wiktoriańskimi dodatkami; bądź co bądź niewielu przejmowało się takimi sprawami w Brytyjskiej Rzeszy. Pośrodku porośniętego zielskiem dziedzińca stały budynki stajni. Od strony pagórkowatego torfowiska zbliżał się jeździec, bezszelestnie poruszając się w gęstej ulewie. Przy wrotach stajni jeździec zsiadł z Czarnego Nicka i wprowadził go do środka. To zerwało psychiczną więź ze zwierzęciem, nagle fantastyczne, nieme światłocienie wizji zniknęły i mężczyzna powrócił do swoich zmysłów.

Conrada Wyverna opuściło uczucie świeżości. Natychmiast ponownie pomyślał o śmierci swojej siostry Lucie. Wtarał Czarnego Nicka mniej dokładnie niż zazwyczaj, napoił go i wyszedł.

Wyvern był opalonym, pięknie zbudowanym mężczyzną koło trzydziestki. Szczupła twarz i szare oczy czyniły go atrakcyjnym dla kobiet, których miał wiele - zarówno kochanek, jak i przyjaciółek. W zachowaniu Wyverna przykuwała uwagę pewna powściągliwość, do czego bez wątpienia przyczyniał się stan rzeczy w kraju.

Przyjechał z East Hingham jak zwykle na oklep. Wybrał drogę przez las, tak, by nie podkuty Nick mógł swobodnie galopować. Sam wybrał się bez butów i bez żadnej broni, jedynie w spodniach ściągniętych kawałkiem sznurka. Skrzydlaci Szpiedzy, których eskadry pokrywały niebo nad całym krajem, znakomicie wykrywali metal, Wyvern starał się utrzymać swoje wycieczki do East Hingham w jak największej tajemnicy.

Była jedenasta w nocy, gdy Wyvern zapatrzył się z wnętrza stajni w zapadający zmrok czerwcowego wieczora. Deszcz lał jak z cebra; owoce zmarnieją jeszcze na łądych i zbiory przepadną. Zerknąwszy ukradkiem na zachodni szczyt domu Wyvern dostrzegł Skrzydlatego Szpiega spoczywającego z nieruchomymi śmigłami na dachu Stratton Hali na stanowisku ładowania akumulatorów. Łopaty wirników zaczęły pracować i obły korpus maszyny uniósł się nad metalowego gniazda szybując nad budynkiem niczym zmęczona sowa po zjedzeniu myszy.

„Skrzydłaci Szpiedzy nie są rewelacyjni”, pomyślał Wyvern. Oczywiście, urządzenia potrafiły wykryć wszelki metal będący w ruchu, lecz dawało się je z łatwością wyprowadzić w pole. Mimo, że maszyna unosiła się w pobliżu, Wyvern bez wysiłku przeszedł na tył Stratton Hall. Oczy metalowego szpiega - kamery telewizyjne - były w tym świetle bezużyteczne.

Wślizgnął się bezszelestnie tylnymi drzwiami i pobiegł do swoich pokoiów schodami dla służby. Umył się i przebrał, a następnie przeanalizował tragiczne wydarzenia tego wieczora.

Opuszczona stacja metra w East Hingham samoistnie przeobraziła się w czarny rynek. Można tam było kupić wszystko, począwszy od kartonu papierosów za parę dolarów, po bilet na prom kursujący na Księżyc (bez górnego limitu ceny). Jednym z organizatorów rynku była siostra Wyverna, Lucie. Potajemny czarny rynek przeżywał rozkwit. Władze Republiki, która po Inwazji rozpaczliwie potrzebowała rąk do pracy, zostawiły go w spokoju.

Tego wieczoru Wyvern ujrzał na stacji krwawe jatki.

W kasie biletowej znalazł dogorywającą staruszkę. Podał jej łyk wody i wysłuchał strzępów relacji z pogromu.

- Żołnierze... żołnierze Naszego Przywódcy przyjechali ciężarówkami. Otoczyli stację. Zastrzelili każdego kto próbował uciekać. Potem brutalnie wtargnęli! Przesłuchiwali nas, no wiesz... zadawali pytania. Ja wybrałam się tu tylko po koc... Myślałam, że będą tańsze o tej porze roku.

- Co z Lucie?

- Pańską siostrę i innych też otoczyli, proszę pana... Wzięli ich w krzyżowy ogień pytań, postawili pod tamtą ścianą. Później gdzieś ich pognali, chyba do ciężarówki. Ale Lucie podała jakąś kartkę, pewnie do pana...

- Komu ją podała? - spytał pospiesznie Wyvern.

- Jeszcze odrobinę wody... proszę... Dała ją... Nie mogę się skupić... Dała ją Birdie Smithowi, który prowadził pocztę, gdy jeszcze istniała. Ale chyba go zabili. Wszystkich nas pozabijali... Och, gdyby pan to widział... Nie mieli rozkazu strzelać. Oficer krzyczał, żeby przestali, ale to były szczeniaki - postrzeleńcy. Wariaci! Same świry. Nigdy nie zapomnę...

Urwała kaszląc ciężko; kaszel przeszedł w rżenie. Pięć minut później wydała ostatnie tchnienie.

Wyvern rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu starego poczmistrza Smitha. Znalazł

go w końcu przy linii kolejowej prowadzącej do Stratton. Stary człowiek leżał martwy z twarzą w kępie szczawiu. W sztywnej dłoni tkwiła kartka:

CON - SZUKAJĄ TELEPATÓW DO BIG BERKA
MUSISZ UCIEKAĆ. KOCHAM CIĘ - LUCIE.

Conrad ze łzami w oczach zmiął kartkę. Wiedział, że już nigdy nie zobaczy swojej siostry.

Wiadomość była dla niego całkowicie jasna. Pod powszechnie stosowaną nazwą Big Berk krył się BRK I - wyprodukowany przez nazistów Brytyjski Komputer Radiotroniczny - gigantyczna konstrukcja, na którą składały się termioniczne tuby i gęstwina układów scalonych. Wszystko to znajdowało się w Sektorze Republik Brytyjskich na Księżycu. Wyvern domyślał się, dlaczego Nasz Ukochany Przywódca i jego banda oprychów szukają telepatów: podsłuchali tajemnice państwowe i ludność zaczęła się burzyć.

Informacja powiedziała mu coś jeszcze. Powiedziała, że Lucie nie zapomniała jak potworną mocą dysponuje jej brat. Gdy oboje byli dziećmi, Wyvern jeden jedyny raz zdradził swój sekret. Nieopisane przemieszanie jaźni przeraziło oboje, Wyvern nigdy nie ośmielił się powtórzyć tego eksperymentu i żadne z nich więcej o tym nie wspomniało. Ale Lucie nie zapomniała.

Gdy Gestapo Jima Bulla zabrało się za nią, czy - prawdopodobnie pod wpływem narkotyków - dała za wygraną i zdradziła tajemnicę? Jeśli tak, Wyvern był zgubiony.

Lucie miała rację: trzeba uciekać. Ale dokąd? Do Ameryki, dziś kraju izolującego się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, liżącego swoje rany, kraju stojącego w obliczu narodzin lokalnego faszyzmu? Do Chin, gdzie zamieszki są świadectwem tego, że górę wzięła anarchia? Do Skandynawii, o ścisłej kontroli granic, wrogo nastawionej do całej reszty świata? Do Turcji, rozszalałego kraju, który podźwignął się dzięki upadkowi generałów? Do pogrążonych w nie mającej końca wojnie republik afrykańskich?

Wyteżając umysł Wyvern wytarł się do sucha w swoim spartańskim pokoju. Telepaci zdarzali się równie rzadko jak całkowite zaćmienie słońca i bez wątplenia Rzesza zechce skorzystać z pomocy jednego z nich. Oprócz Lucie Wyvern nie wykrył tajemnicy swego przerażającego daru nikomu na świecie. Ukrywał go w hermetycznie szczelnej przegródce swego mózgu. Gdyby spróbował „czytać w ludzkich umysłach” (powiedzenie popularne, aczkolwiek nieco mijające się z prawdą), jaźń podglądanego człowieka natychmiast odkryłaby obecność Wyverna, tak jakby sam oznajmił to na głos. I choć jego moc miała ograniczony zasięg, emanowała we wszystkich kierunkach, tak że Wyvern nie był w stanie skupić się na jednym określonym odbiorcy. Dar zdradzał swoje kaprysy przez całe dzieciństwo; Wyvern wciąż doskonale pamiętał szok, gdy w wieku trzech lat uzmysłowił sobie, iż porozumiewa się z kotem i dzieli z nim smak dopiero co schwytanego ptaka. W okresie dojrzewania jego moc stała się nieco mniej nieokiełznana. Wyvern wykorzystywał ją do oczarowywania dziewcząt, które miał ochotę poderwać.

Podczas rozpaczliwych dni inwazji Wyvern zatrzaskał swój talent w szczelnej kasetce traktując go jako symbol młodzieńczej nieodpowiedzialności. Teraz tylko od czasu do czasu ośmielał się go użyć, ale zawsze towarzyszyło mu poczucie winy, jakby otrzymał dar, na który nie zasłużył.

Oczywiście... był jeszcze ten człowiek w Londynie. Tuż przed przeniesieniem stolicy Wyvern znalazł się w Londynie na przepustce. W dole Praed Street wpadł na niego jakiś pijak. W chwili wściekłości umysł pijaka nagle otworzył się, obaj zamarli w sekundzie przytłaczającej jedności, by następnie błyskawicznie się rozłączyć. Ale Wyvern wiedział, że gdy ponownie spotka tego człowieka, rozpoznają się i jeden będzie próbował zabić drugiego.

Prawdopodobnie mieszkańcy nieomal całej Praed Street instynktownie odebrali to niesamowite spotkanie, lecz gdy w górze rozległo się warczenie silników, wszyscy rozpierz-

chli się w poszukiwaniu schronów.

Dręczony tym wspomnieniem Wyvern powiesił mokre ubranie na sznurku i zaczął wycierać głowę.

Rozległo się donośne stukanie do drzwi. Na zewnątrz ptaki wyśpiewywały swoje wieczorne nokturny. Nie licząc śpiewu ptaków, w domu panowała tak głęboka cisza, że Wyvern nieomal zapomniał, iż nie jest zupełnie sam w Stratton Hali. Instynktownie napiął mięśnie, po czym odprężył się. Nie, jeszcze za wcześnie.

- Proszę wejść - rzekł na głos.

To Plunkett - pryszczaty, pełen entuzjazmu młodzieniec, jeden z uczestników prowadzonego przez Wyverna kursu.

- Proszę pana, niech pan szybko idzie do studia – wyrzucił z siebie Plunkett. - NUP dostał za swoje! Kaput!

Skrót NUP był lekceważącym określeniem Jima Bulla, Naszego Ukochanego Przywódcy.

Wyvern biegiem ruszył za chłopcem schodami w dół. Zlecone przez rząd zadanie Wyverna polegało na przekazywaniu dwunastoosobowym grupkom młodych mężczyzn własnej pomysowości, umiejętności koncentrowania się na rzeczach najistotniejszych, wiedzy na temat trójwymiarowych punktów odniesienia, początkowo stosowanych w przestrzeni kosmicznej, a później także podczas stratosferycznych. Lubił tę pracę, pomimo że służył w ten sposób zniechęconemu reżimowi. Zmieniające się co pięć tygodni grupki młodych ludzi wносиły odrobinę życia do podupadającego dworu - z jego odpadającą ze ścian farbą, dwoma wiekowymi służącymi i starożytną instalacją hydrauliczną.

Na przykład to właśnie Plunkett wynalazł Przynętę na Skrzydlatych Szpiegów. Chwytał gołębie i owijał im nogi folią aluminiową. Wypuszczone gołębie wzbijając się w powietrze przyciągały uwagę miniaturowych żyrokompasów, które kierowały na nie swoje kamery i obłąkańczo wysyłały sygnały alarmowe wzywając na pomoc straż miejską.

Plunkett poprowadził Wyverna do studia telewizyjnego. Dębową boazerię tego wytwornego niegdyś salonu, na której dawniej wisały ryciny o tematyce sportowej, teraz przyozdabiały przyczepione pinezkami fotografie Deanny Durbin i Idy Lupino. Jedenastu młodych ludzi skupiło się wokół rozświetlonego ekranu telewizora. Podekscytowani wykrzykiwali coś podniesionymi głosami do swojego instruktora.

Na ekranie maszerowali ludzie. Wyvern zamyślił się przez chwilę, jak często widywał nieomal identyczne migawki podczas lat wojny, rozejmu lub zrywanego pokoju. To cud, że jeszcze są jacyś ludzie, którzy są w stanie maszerować. Mężczyźni na ekranie, wychudli i obdarci, paradowali przed wejściem do hallu ratusza miejskiego, nad którym górowała asymetryczna wieża zegarowa.

- Nasza bezpośrednia relacja pokazuje wam zrozpaczonych żołnierzy, którzy napływają do stolicy na mający odbyć się jutro pogrzeb Naszego Ukochanego Przywódcy. Morderca zostanie ujęty lada chwila, nie ma takiej osoby w całej Republice, która z ochotą nie podjęłaby się wykonania egzekucji!

Podczas gdy metaliczny głos mówił dalej, na ekranie pojawiły się obrazy z innych części kraju: z Yorku, Glasgow, Hull. Krzyczące, maszerujące tłumy, ostentacyjna żałoba, pochylanie sztandarów, flaga Zjednoczonego Królestwa z królującą pośrodku swastyką.

Zbliżenie pokazało kochankę Bulla, Verę Lynn, która tonęła we łzach stojąc obok pokrytej wieńcami trumny.

- A teraz przekazujemy wam bezpośrednią wiadomość od pułkownika H - rzekł niewidoczny komentator. - Przyjaciele, oto pułkownik H! Szef Nowej Policji, Naczelnny Opiekun Kraju, Przyjaciel Naszego Byłego Ukochanego Przywódcy!

Przed kamerami pojawił się pułkownik H. Naśladując dawny stary styl pruski przystrzygł włosy na krótkiego języka, tak, że wyglądał jakby był na granicy furii. Miał drobne,

niecو ściągnięte rysy twarzy, a ich niedostatek podkreślały ciężkie brwi i wystająca szczęka. Cieszył się jeszcze mniejszą popularnością od Jima Bulla, ale wzbudzał więcej strachu.

- Mieszkańcy Republiki! - zaczął tak jak ktoś inny wyrzekłby „kundle”. - Nasz Ukochany Przywódca został zabity, zastrzelony przez komunistycznego zgniłka. Brzemie tej tragedii ciąży na każdym z nas. Powinniśmy byli być czujniejsi. Wszyscy straciliśmy przyjaciela! Pozwalając mu umrzeć zdradziliśmy jego samego i jego wielkie ideały. Musimy cierpieć! Musimy sami się ukarać! **Będziemy** cierpieć i **poznamy** smak chłosty. Byliśmy zbyt beztroscy, a nie czas na beztroskę, kiedy wśród nas wciąż żyją szaleńcy!

- Proszę pana, dlaczego na tego palanta mówią pułkownik H? - spytał Tom Merry śmieiej niż zazwyczaj, jako że kurs dobiegał końca.

- Halliday - odparł Wyvern. - To Irlandczyk. Znany niegdyś pod nazwiskiem Bernard Bracken. Poprzednio minister edukacji, odpowiedzialny za zamknięcie uniwersytetów.

H wciąż mówił.

- Obejmę przywództwo dopóki, przy pomocy republikańskich metod, nie zostanie wybrany nowy Ukochany Przywódca. Zamierzam załatać dziury w naszej kurtynie bezpieczeństwa. Droga będzie ciężka, rodacy, ale wiem, że podobnie jak ja, z radością będziecie cierpieć w imię prawdy. Tymczasem z przyjemnością pragnę was powiadomić, że właśnie przed chwilą nasza Policja ujęła dwóch morderców Naszego Ukochanego Przywódcy. Przypatrzcie im się teraz i **napawajcie się wstrętem**. Kara zostanie ogłoszona w późniejszym terminie.

Groźne oblicze zniknęło.

Na ekranie pojawił się podziurawiony kulami sportowy samochód. Leżał do góry kołami niedaleko przydrożnego garażu. Wokół kręcił się pstry tłumek żołnierzy i cywilów. Jakiś oficer stojąc na cysternie wrzeszczał w tubę megafonu ile sił w piersiach, jednak nikt nie zwracał na niego uwagi. Mżył szarawy deszcz.

Kamera lawirowała wśród tłumu. Obok samochodu stało dwóch przerażonych mężczyzn. Pierwszy, kierowca, w milczeniu ścisnął zmiażdżone ramię; drugi mężczyzna, niski człowiek w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym, stał prosto jak struna i płakał.

- Oto opętani żądzą krwi reakcyjni mordercy! - grzmiał komentator. - Zabójcy z bloku wroga.

- Kurczę! - wykrzyknął Plunkett. - Przecież oni wyglądają na gości, którzy nie daliby sobie rady nawet ze zrealizowaniem lipnego czeku!

- Poczekajcie na przekaz z Brytyjskiego Sektora Republikańskiego na Księżycu - rzekł komentator.

Na ekranie pojawiły się znajome kopuły przywodzące na myśl wielkie kielichy roślin. Praktyczna architektura, wieże i przewody wentylacyjne, jednolite emblematy władzy, prymitywne zdobienia, ludzki motłoch przemieszczający się z miejsca na miejsce, wymachujący kijami, zaciskający pięści.

- Ci prawi obywatele Republiki demonstrują swoją lojalność w stosunku do nowego gubernatora, pułkownika H - ryczał komentator. - Opłakują niewyobrażalną utratę Naszego Ukochanego Przywódcy!

- Akurat - oznajmił jakiś chłopak z grupki Wyverna. - Przecież widzę: oni się buntują!

W rzeczy samej tak właśnie to wyglądało. Kolonia żywiła niewielki szacunek dla powagi Ziemi, ale powiadano, że Jim Bull to doskonały kosmonauta, wskutek czego do jego słów przykładano większą wagę. Włączono podkład dźwiękowy i uszy widzów wypełniły nieprzyjemne wrzaski. Właśnie w tym momencie Wyvern nagle doświadczył czegoś niesamowitego. Kamera zrobiła szybki najazd i objęła kotłującą się cizbę. W tle mignęła postać jakiejś dziewczyny, która przeszła obok agitatorów nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

Jej myśli powędrowały prosto do Wyverna.

To telepatka! Błyskawicznie spojrział na pozostałych dwunastu obserwatorów, ale najwyraźniej niczego nie zauważyli. W jakiś sposób jej myśli zostały przefiltrowane przez

sygnał cyfrowy tak, aby dotarty wyłącznie do drugiego telepaty. Panował w nich całkowity chaos.

Wyvern z niedowierzaniem wbił wzrok w dziewczęcą postać.

Przygnębiona dziewczyna myślała: „Muszę go śledzić. Cel: Aleja JJ nr 108. Rany boskie, ja nadaję! Muszę się wyłączyć!”

To wszystko, ale wraz z myślą „ja” nadeszło niewyraźne nazwisko telepatki - Eileen... coś tam. Chyba Eileen South – pomyślał Wyvern. Wrażeniu towarzyszył zapach cytryny, ananasa i... mdławy powiew rewolucji.

Przestała nadawać. W chwilą potem zniknęła za kolumną. Wyvern zmusił się do odetchnięcia. Nie zdołał pojąć kim był ten „ktoś” kogo musiała śledzić Eileen, ale otoczenie zaimka preistoczyło się w mózgu dziewczyny w kolejną frazę: „niesamowity uśmiech”.

2

Zderzenie z pijanym telepatą

Jak śmieci okalające odbity na piasku ślad fali, tak nowe osiedla domów z płyt prefabrykowanych skupiały się wokół sąsiadujących ze stolicą Republiki fabryk i zniszczonych budynków mieszkalnych, których historia datowała się od lat trzydziestych dziewiętnastego wieku. Uciekinierzy i handlarze z Londynu oraz podbitej środkowej Anglii mieszały się tutaj w dzikim rozgardiaszu orientального bazaru.

Właśnie tam następnego dnia rano z piskiem hamulców zajechał wehikuł Wyverna. Mężczyzna ścisnął pod pachą kilka płócien - Dufy'ego, Sutherlanda i dwa dzieła Paula Nasha - ostatnie obrazy ze wspaniałej kolekcji ojca. Wyvern zdawał sobie sprawę, że nie istnieje żaden inny sposób, aby szybko zdobyć pieniądze na prom księżycowy. W tej dzielnicy handlarze skupowali wszystko - ale po własnej cenie.

Po półgodzinie Wyvern wyłonił się z pięcioma i pół tysiącami funtów w wytłuszczonych i pomiętych banknotach - jedną dziesiątą tego ile wart był sam obraz Dufy'ego - ale można było za nie kupić bilet na wyruszający nazajutrz w południe prom kosmiczny „Akwalung”.

Miał przed sobą dwadzieścia cztery godziny czekania. Łudził się, że zdoła do tego czasu pozostać na wolności. Urzędnicy na kosmodromie Thorpe'a nie byli przesadnie gorliwi - bez słowa sprawdzili paszport Wyverna i przejrzeliby dokumenty. Pojechał do domu z uczuciem skromnego triumfu.

O czwartej po południu, wkrótce po powrocie do Stratton, Wyvern został aresztowany przez Nową Policję.

O czwartej trzydzięci, po podróży którą spędził przykuty kajdankami do ramy odkrytej, podskakującej na wybojach ciężarówki, znalazł się z powrotem w Norwich.

* * *

Nowa Policja przejęła we władanie wielki dom handlowy mieszczący się przy placu targowym. Teraz roziło się tu jak w ulu. Skutego kajdankami Wyverna poprowadzono bocznymi drzwiami na drugie piętro, po czym zostawiono go z kapitanem Runtonem, który na widok przybysza skinał z roztargnieniem głową i powrócił do instruowania pracujących wewnątrz robotników.

Kondygnację cały czas przystosowywano do potrzeb policji. Ongiś znajdowała się tutaj przestronna restauracja, teraz lekkie przepierzenia przekształciły ją w skupisko niewielkich biur.

- Zobaczmy... po co pan tu się znalazł? - łagodnie zadał pytanie kapitan.

- Pytanie mnie o to nic nie da: nie wiem.

- Nie... co?!

- Nic wiem. Po prostu nie wiem.

- Przepraszam, straszny tu łoskot! Trzeba uważać na tych cwaniaków, bo inaczej od razu bumelują. Chyba podejrzewają, że nie dostaną zapłaty za tę robotę.

Rozkołysana deska śmignęła o włos od ucha Runtona. Kapitan skulił się pod szkieletem przegrody.

- No więc - wrzasnął usiłując przekrzyczeć wściekłe walenie młotków. - Z czasem doszliśmy do przekonania, że najmniej czasu zabiera przyznanie się od razu. Bez kombinowania.

- Przyznanie się do czego?

- Do zbrodni.

- Jakiej zbrodni?

- Jakiej coo? Aha, jakiej zbrodni? No człowieku, zbrodni z powodu której zostałeś tutaj przywieziony.

- Będzie pan musiał najpierw powiedzieć mi co to za zbrodnia - ponuro rzekł Wyvern.

- Psiakrew... zdaje się, że będę musiał zabrać pana na dół i zerknąć w pańskie cholerne papiery - powiedział cierpko kapitan Runton. - Odmawianie współpracy nie opłaca się, rozumie pan...

Skinął na robotników, żeby pracowali dalej i poprowadził Wyverna do windy. Zjechali na parter i Runton wepchnął więźnia do ciasnej klatki. Zadarłszy nogę na blat biurka, Runton uważnie przestudiował rojący się od błędów maszynowych raport, który ktoś położył na jego skoroszybie.

Wyvern rozejrzał się. Powitały go zmatowiałe tafle luster oraz regały z popękkanymi szybami. Na regałach leżały pudełka kartonowe i wielkie kauczukowe piłki dla dzieci. Zauważył także małe łopatkę z drewna, czapeczki marynarskie i zakurzony plakat „Wspaniałe wody hrabstwa Norfolk”. „Nic strasznego, czemu więc ogarnęło mnie przerażenie?”, pomyślał Wyvern.

Obserwował go kapitan policji.

- Więc to pan jest Conrad Wyvern, jeden z odkrywców teorii kluczości? - zadał pytanie kapitan.

- Czy to dlatego zostałem aresztowany?

Runton usiadł ciężko na jedynym krześle w pokoju. Mężczyzna łysiał i zaczynał tyć w biodrach. Ciekawe jak facet zdołał tego dokonać na szczupłych racjach żywnościowych. Z pewnością stracił rodzinę i spędzał długie wieczory popijając i użalając się nad samym sobą. Wyglądał jak typowy mężczyzna w jego wieku: nerwowy i niesympatyczny.

- Dlaczego zniemacka zapragnął pan wybrać się na Księżyc, panie Wyvern? - spytał kapitan.

- Nie ma w tym żadnego pośpiechu - odrzekł Wyvern. - Już od jakiegoś czasu planowałem tę podróż.

- Po co?

- Ooch... Chciałem się oderwać.

- Od czego?

- Od rutyny.

- Nie lubi pan rutyny?

- Lubię, ale po prostu potrzebowałem odmiany.

- Zdaje pan sobie sprawę, że wykonuje pan odpowiedzialną pracę, panie Wyvern?
- Oczywiście. Pomyślałem, że zmiana...
- Rząd nie lubi tracić swoich wartościowych ludzi.
- Przecież zarezerwowałem powrót, prawda? Będę z powrotem za jedenaście dni, przed rozpoczęciem następnego kursu w Stratton.
- Rząd nie lubi tracić swoich wartościowych ludzi nawet na jedenaście dni.
- Raczej nie mam wyjścia, prawda? - rzucił Wyvern. Czuł jak zaczyna go ponosić.
- To złe czasy, panie Wyvern.
- Czy musimy je jeszcze pogarszać?
- Dalej słychać ten przekłety hałas, nawet stąd... – westchnął głęboko Runton. Podniósł słuchawkę.
- Z Pałacem - rzekł bez śladu ironii. - Połączcie mnie z pułkownikiem H - znowu chwila ciszy. - Tu kapitan Runton, dawniej z Leicester, pułkownik będzie pamiętał.

Po chwili.

- W porządku, niech będzie sekretarz.

W końcu połączono rozmowę.

- Halo? Mówi kapitan Runton... Dobrze. Mamy tu Conrada Wyverna.... Tak, to on. Odpowiadał dość nieuprzejmie na uprzejme pytania... Tak... Czy mogę przywieźć go do pana? Cóż, po pierwsze - mamy tu dekoratorów, robią straszliwy hałas... A po drugie miałem nadzieję, że ponownie będę miał ogromną przyjemność... no, hm... ewentualnego ujrzenia pułkownika... Och, tak, tak, z pewnością musi być... Tak, cóż... jest jeszcze jedna sprawa. Słyszałem, że ma pan tam rewelacyjnego Inkwizytora, nieprawdaż? Nie, och nie, pułkowniku, oczywiście nie, to był tylko taki sobie żarcik. Przepraszam. Naturalnie miałem na myśli Śledczego... Dziękuję.

Runton odłożył słuchawkę wypuszczając powietrze z policzków. Najwyraźniej ktoś po drugiej stronie nie przepadał za nim.

- Dalej, Wyvern - rzucił ciężko kapitan. - Przejedziemy się popatrzeć na wielkich szefów w koszarach.

Przejazd zarekwirowanym furgonem pocztowym do koszar, w których zastrzelono Naszego Ukochanego Przywódcę, zajął dziesięć minut. Po następnych dwudziestu minutach koniecznych do sforsowania wzmocnionego systemu bezpieczeństwa kapitan Runton był bardziej zdenerwowany od swojego więźnia.

Pomimo, że Wyvern był zaabsorbowany własnymi sprawami, osoba kapitana Runtona bardzo go intrygowała. Facet najwyraźniej wykorzystywał Wyverna jako pretekst, aby wkraść się w łaski tych na górze. Fakt, że Wyvern był kimś ważnym wystarczał, aby się go ucześcić. Obojętny sposób bycia - na wpół przyjacielski, na wpół bezczelny był, zdaniem Wyverna, cechą narodową którą nowy reżim będzie musiał dopiero wykorzenić; był pozą, która stała się drugą naturą. W umyśle Eileen South Wyvern wychwycił coś bardziej stanowczego, coś żarliwego.

Twarz Runtona odzwierciedlała pewność, że gdyby wystawiono go do wiatru, to raczej nie ma co liczyć na gratulacje, a na solidnego kopniaka w tłusty zadek. Pomogło mu to pozbyć się skrupułów co do znalezienia jakiegoś haka na Wyverna. Wszystko leżało w rękach losu i Wyvern miał jedną jedyną nadzieję, że komunikacja międzyministerialna w państwie jest kiepska i że ci ludzie nie wiedzą o aresztowaniu Lucie na East Hingham.

Wątpliwości Wyverna zostały częściowo rozwiane, gdy w końcu pozwolono im opuścić wartownię i Runton burknął:

- Trzeba by tu sporo zmienić - każdy urzędnik siedzi w wodoszczelnym pudełku; żadne z ministerstw nie ma pojęcia czym zajmują się pozostałe. Niczego nie można załatwić. Normalne.

Koszary roily się od policji i wojska. Na dawnym placu do musztry stały w równym

szeregu czołgi pobłyskując w słońcu pancierzami niczym stalowe nosorożce.

- Lepiej zdejmę panu kajdanki - powiedział Runtón. – Za bardzo rzucają się tutaj w oczy. I na miłość boską, proszę niczego nie próbować, bo inaczej zastrzelę jak psa i przysięgnę, że to pan zamordował NUP - a. Ostrzegam, potrafię być prawdziwym skurwysynem.

- Wydawało mi się, że już złapali morderców - stwierdził lekko zaskoczony Wyvern.

- Trzymaj gębę na kłódkę skoro daje ci się szansę! – wrzasnął Runtón w nagłym wybuchu wściekłości.

Ramię w ramię weszli do głównego budynku, gdzie powitał ich uzbrojony wartownik, który następnie towarzyszył im po schodach w górę. Podkute buty wartownika głośno stuknęły na kamiennych stopniach. Wysoko w górze zegar wskazywał prawie szóstą.

„Osiemnaście godzin do odlotu mojego promu”, pomyślał pośpiesznie Wyvern.

Wepchnięto ich w drzwi, na których lśnił mokry od farby napis: Płk H i Sekr.” W pokoju pierwszą rzeczą, która przykuła wzrok Wyverna, była puszka białej farby. Prawie pusta stała na biurku; w środku tkwił pędzel. Ktoś odnawiał ramy okienne i cały pokój cuchnęła farbą.

„Stary republikański pieprznik”, pomyślał Wyvern, ale osoba sekretarza pułkownika H kazała mu o tym zapomnieć.

Sekretarz był mężczyzną koło sześćdziesiątki, szczupły i schludny jak obgryzione do czysta udko kurczęcia. Nieskazitelnego munduru nie hańbiła najmniejsza plamka, siwe włosy dzielił prosty jak brzytwa przedziałek. Mężczyzna miał zimne, rybie oczy. Wysunął smukły, arystokratyczny palec i wyłączył stare radio Busha, z którego płynęła lekka muzyka klasyczna. Gestowi towarzyszył zrezygnowany grymas ust.

- Hmm, witam... jesteśmy umówieni na spotkanie z pułkownikiem H - rzekł Runtón, lekko zaniepokojony brakiem dystynkcji na mundurze sekretarza. - Jestem kapitan Runtón. Geoffrey Runtón.

Pod oknem, zasłaniając widok, stało dwóch żołnierzy, którzy trzymali karabiny maszynowe. Mieli wąsy, szerokie, błękitne od zarostu szczęki i krzaczaste brwi.

- Pan nazywa się Conrad Wyvern? - spytał sekretarz ignorując Runtóna.

-Tak.

- Ma pan spotkanie z pułkownikiem H - rzekł sekretarz. - Będzie musiał pan poczekać. Dziękuję za przyprowadzenie Wyverna, kapitanie. Ma pan jego raport? Dziękuję, wspaniale. Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

Wziął raport i nie spuszczać oczu z Wyverna czekał, aż powłóczący nogami Runtón wycofa się z pokoju. Wyvern z zakłopotaniem stwierdził, że jest zdenerwowany i niespokojnie zerka na podłogę. Postanowił bronić się poprzez atak.

- Mam nadzieję, że zostanę oficjalnie przeproszony za to jak mnie potraktowano - oświadczył. - Zostałem skuty i doprowadzony tutaj pod błahym pretekstem.

- Nasi niżsi oficerowie nadrabiają brak manier entuzjazmem - odrzekł sekretarz.

- To mają być przeprosiny?

Sekretarz wstał. Chłodnym gestem wskazał na krzesło w rogu pokoju. Wyvern zawahał się na moment, po czym przeszedł przez pokój i usiadł. Mijały minuty. Jacyś ludzie wchodzili i wychodzili, przeważnie wysokiej rangi oficerowie. W przerwach zza ściany dochodziły zagniewane głosy.

Minęła godzina gdy sekretarz, do którego zwracano się Bradley, ponownie zwrócił uwagę na Wyverna przesywając go lodowatym spojrzeniem.

- Państwo nie przeprasza nigdy. Przywieziono tu pana na przesłuchanie. To są dopiero początki Republiki, nie możemy pozwolić sobie na sentymenty. Nie wie pan, że droga do sukcesu wybrukowana jest złamanymi charakterami setek ludzi? Jeśli czuje się pan z tym źle, to dlatego że pan nas nie lubi. Dlaczego pan nas nie lubi, panie Wyvern?

- Nie sądzę... - zaczął Wyvern, po czym umilkł. Na to pytanie odpowiedź w zasadzie nie

istniała.

- Jest pan ważnym człowiekiem, Wyvern - lub może pan być. Powinien pan być członkiem partii. Dlaczego nie jest pan członkiem partii, Wyvern? - Bradley wycedził nazwisko jakby to był jakiś świński wyraz.

- Jestem zajęty - uczę waszą młodzież.

- I?

- To praca na cały etat.

- Dostaje pan jedenaście dni wolnego po każdym kursie, nieprawdaż?

- Zawsze jest mnóstwo do zrobienia - papierkowa robota, przydziały. Zabrano mi mojego sekretarza kiedy...

- Och, doprawdy? Ale wszystko odkłada pan na bok z powodu swojej wycieczki na Lunę, co?

- Czy może mi pan powiedzieć jak długo to potrwa, zanim pułkownik będzie gotowy, żeby spotkać się ze mną? - spytał Wyvern. - Może w tym czasie mógłby pan zająć się malowaniem swojego biura?

Sekretarz pochylał się i wymierzył Wyvernowi policzek. Potem wstał, wszedł do sąsiedniego pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

Wyvern skoczył na równe nogi, bardziej z powodu wściekłości niż bólu. Wąsaci spod okna spojrzeli na niego czujnie mając nadzieję na jakieś mordobicie.

Mijały minuty, ciężkie jak kroki pijaka.

Wyvern z całego serca pragnął użyć swojej ukrytej mocy, przekonać się co ci ludzie zamierzają z nim zrobić. Niestety, to niemożliwe. Miał taką samą szansę na skomunikowanie się z agresywnym, małym sekretarzem pułkownika H nie powiadamiając przy tym jego jaźni, jak na poproszenie go do tańca.

Bradley ponownie pojawił się w pokoju w towarzystwie człowieka pełnego przeciwnieństw: masywnie zbudowanego, z wąskimi ramionami, wielką głową i drobnymi rysami twarzy. Mężczyzna ubrany był w mechaty garnitur z tweedu i ogromne niemieckie półbuty do kostki, miał wąsy a la późny Józef Stalin i na żywo bardziej niż w telewizji przypominał plebejusza. Był to bez wątplenia pułkownik H, były minister edukacji. Wrażenie wywołane przez pułkownika H potęgowali dwaj goryle, którzy wkroczyli za nim do pokoju.

W lewej dłoni pułkownik dzierżył gomółkę soczystego, żółtego, norfoldzkiego masła, które wytwornic zjadał łyżeczką.

- Widzicie, znowu produkujemy masło - rzekł ni to do Wyverna, ni do pozostałych. - Zapewnienie równości powinno być naszą troską numer jeden. Żywność dla ludu - pod warunkiem, że na nią zapracuje. Zetrzeć stary system na proch. „Myśmy lud Anglii, który po dziś dzień nic przemówił”, jak słusznie powiedział poeta T. S. Eliot. Sam jestem produktem szkoły publicznej - wielce szacownego Framlingham College - ale... dajmy sobie z tym spokój, teraz swoją szansę mają zwykli zjadacze chleba. Narodowy Socjalizm pokazuje nam cel, nasz führer pokazuje sposoby... To przyzwoitość, uczciwość. Kłopoty będzie miał każdy kto wejdzie nam w drogę.

Wyglądało na to, że jak przystało na faceta, który ongiś udzielał się w resorcie edukacji, zawiły wykład pułkownika H miał jeszcze potrwać dobrą chwilę. Wyvern wstał.

- Chciałbym, jeśli można, dowiedzieć się po co zostałem tutaj przyprowadzony?

Odrobina masła spadła na biurko sekretarza. Bradley spojrział surowo bez najmniejszego drgnienia mięśni.

- Nikt z nas nie ma dziś za grosz godności - ciągnął pułkownik. - To srogi świat, pełen wrogów. Najlepsi atomiści niemieccy pracują nad bronią nuklearną. I to jest ważne, a nie godność. Istnieją pewne priorytety i ja zamierzam wprowadzić je w życie. Nie może pan polecieć na Księżyc, Wyvern. Jaką mamy pewność, że natychmiast po wylądowaniu nie zdezerteruje pan do Amerykańskiego Sektora? Potrzebujemy pana tutaj, aby wpajał pan nowemu

pokoleniu teorię kluczowości. Jak powiedział profesor Joad, muszą być ofiary, bo w przeciwnym wypadku przyszłość nigdy nie stanie się naszym udziałem.

- Skąd ta myśl, że zamierzam uciec z Republiki? - zapytał Wyvern.

Pułkownik H roześmiał się.

- **Nikom**u nie można ufać. Zapowiada się, że najbliższa dekada będzie dla Brytanii bardzo trudna i ci, którzy nie potrafią stanąć w obliczu tej perspektywy, zdradzą nas. Za kawałek chleba brat bratu poderżnie gardło. Dopiero co rozprawiłem się ze spekulantami w East Hingham - lista więźniów będzie gotowa lada chwila. Tacy ludzie zasługują tylko na kulę w łeb.

Pułkownik zatopił się w wymownej ciszy i zaczął dłubać łyżeczką w maśle.

- Gdyby tylko istniał jakiś sposób, aby **naprawdę dowiedzieć** się co się dzieje w ich głowach, tu w środku - pułkownik łupnął pięścią w swoją szczeciniastą czaszkę. - Naprawdę się dowiedzieć... I taki sposób istnieje, jeśli tylko będziemy umieli do niego dotrzeć. Mów co chcesz, Wyvern. Prawda jest pięknem, Wyvern, uwierz mi, prawdziwym pięknem. I właśnie tutaj opracowujemy sposób dotarcia do Prawdy.

- Nie wydaje mi się, aby ta idea była odpowiednim tematem do rozmowy z podejrzanym - oświadczył pruderyjnie sekretarz Bradley.

- Czemu nie? - rzucił pułkownik i roześmiał się. - Widzi pan, akurat myślałem, żeby wysłać go do podziemi, na spotkanie z naszym nowym Śledczym, więc najpierw powinien dowiedzieć się o co tu chodzi.

Sekretarz również wybuchnął śmiechem, po czym oblizał wargi i poprawił krawat.

- Lepiej niech pan mu o tym powie - polecił pułkownik. Zlizął z opakowania resztki masła, wrzucił papier do kosza na śmieci i schował łyżeczkę do kieszeni munduru.

- To nie potrwa długo - oświadczył lapidarnie sekretarz. - Słyszał pan o Big Berku. To najbardziej skomplikowany komputer, jaki kiedykolwiek istniał nie licząc Fall Guy'a, amerykańskiego komputera na Księżycu. Przez szereg lat z powodu braku obsługi Big Berka praktycznie nie wykorzystywano, pomimo że potencjalnie jest najpotężniejszą bronią Republiki. Cała elektronika procesów myślowych mieści się w systemie przewodów, a nasi eksperci wyposażają teraz Berka w tajną zdolność czytania w umysłach.

Wyvernowi zwilgotniały dłonie. Oparł je delikatnie o biurko, tuż obok plamy po maśle, startej dyskretnie przez Bradleya.

- Kiedy... kiedy wydarzy się ten cud nauki? - Wyvernowi jego własny głos wydawał się nierealny.

- W tym sęk! - wykrzyknął pułkownik. - Tylko telepata wie czym naprawdę jest telepatia. Był taki jeden gość we Framlingham, który potrafił powiedzieć co ci się śniło zeszłej nocy. Musimy dorwać jakiegoś telepatę tak szybko jak to tylko będzie możliwe.

- **Mieliśmy** jednego - wtrącił sekretarz. - Facet o nazwisku Grisewood zgłosił się na ochotnika. Ale zaistniały - teraz już przewyciężone - pewne trudności **chirurgiczne** w podłączaniu tego fenomenu do maszyny. Grisewood zmarł. Teraz potrzebny nam jest ktoś taki jak on. Wyvern, nie słyszał pan przypadkiem o jakimś wolnym telepacie w okolicy?

Bawią się ze mną w kotka i myszkę? Wiedzieli przez cały czas?!

- Gdybym jakiegoś spotkał i tak bym go nie rozpoznał - rzekł Wyvern.

Pułkownik H podszedł do drzwi.

- Big Berk twierdzi, że telepatia jest swego rodzaju produktem ubocznym inteligencji, tak jak inteligencja była produktem ubocznym współpracy plemiennej - imbecyl by się do niej nie nadawał. Toteż sprawdzamy każdego kto imbecylem nie jest. Wkrótce rozpoczniemy nagonkę jak Republika długa i szeroka. Skoro już pan tu jest, Wyvern, to lepiej będzie jeśli sprawdzimy pana teraz.

Pułkownik odwrócił się i kładąc dłoń na kłamce spojrzął na Wyverna. Z jego oczu wyzierało jakieś ohydne podniecenie. Żądza krwi - rozpoznał Wyvern i zrozumiał, że jego

życie i reputacja dla tych ludzi są niczym.

- To ma być sprawiedliwość? - spytał Wyvern.

- Oczywiście, że nie, drogi chłopcze - odparł sekretarz, w którego głosie pobrzmiwało niedowierzanie wywołane naiwnością pytania. - Jesteśmy tylko policjantami i jako takich obchodzi nas prawo, a nie sprawiedliwość. Po sprawiedliwość musisz zwrócić się do rządu - o ile do niego dotrzesz!

- To wy jesteście rządem! - zdenerwował się Wyvern.

- Dobry Boże, jeszcze nie! - oświadczył pułkownik H. - NUP zmarł ledwie dwa dni temu. Dajże nam z tydzień!

Wybuchnął swoim bezsensownym śmiechem i otworzył drzwi.

- Kapralu, zaprowadźcie tego cywila na dół do Parrodyce'a - rozkazał.

Natychmiast pojawił się kapral w towarzystwie szeregowca.

- Parrodyce jest naszym nowym Śledczym - szeptnęła konspiracyjnie sekretarz. - Zobaczysz pan, to niezła sztuka. Prawdziwy zboczeniec.

Wyvern został skuty i wyprowadzony na korytarz. Nie opierał się, to nie miało sensu. Owładnęła nim nagle mentalność więźnia, rezygnacja ślepa na przejawy życia. Poczępali ciężko po schodach, potem dwa piętra w dół, a następnie korytarzem. Przeszli przez zamknięte na klucz stalowe drzwi i podążyli kolejnym korytarzem. To paradoksalne, ale w miarę jak schodzili w głąb fortecy, w Wyvernie rodziła się nadzieja. Ten Inkwizytor, Parrodyce... Nie ważne jak okrutne okażą się jego metody, Parrodyce nic będzie rozumiał telepatii bardziej od kogokolwiek innego, nic będzie wiedział czego ma szukać, nie uda mu się i Wyvern wyjdzie na wolność.

Kapral wepchnął Wyverna do małego pokoju.

- Rozbieraj się - rozkazał i z zainteresowaniem obserwował zdejmującego ubranie Wyverna.

- Papiery - warknął.

Wyvern wręczył mu komplet dokumentów. Protestowanie nie zdałoby się na nic. Do kieszeni kaprala powędrowało świadectwo zdrowia, paszport, karta identyfikacyjna i bilet na „Akwalung”.

- Jak długo tu będę? - spytał Wyvern.

- Zegarek też. To zależy od pana.

- Muszę wyjść jutro.

- Naprawdę? W takim razie lecę powiedzieć trumniarzowi, żeby zabrał się do roboty, mam rację? - zarechotał.

Kapral i szeregowiec zniknęli zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wyvern usiadł na ławce i rozejrzał się wokół siebie. Pokój był wilgotny i cuchnął pleśnią. Nie wyróżniał się niczym. Ścianę z cegieł dawno temu pobielono; teraz wapno odłaziło płatami. Od metalowego włącznika przy drzwiach prowadził kabel do gołej żarówki na suficie, która dawała światło o mocy mniej więcej dwudziestu watów.

Wyvern uspokoił się rozmyślając o swojej siostrze Lucie i znajomych dziewczętach. Tak wiele z nich miało w sobie absolutne zaufanie i lojalność, które - odczuwane telepatycznie - były jak kwiaty wyrastające ponad wysoką trawę. Zwłaszcza jego siostra była pod tym względem absolutnie niezwykła. Ponownie przyszła mu na myśl tajemnicza Eileen South z ekranu telewizora oraz jej nieprawdopodobne możliwości.

Chyba pierwszy raz w życiu Wyvern zaczął poważnie zastanawiać się nad darem lub przekleństwem telepatii. Do tej pory - była darem; stanie się przekleństwem jeśli państwo wykorzysta ją do własnych celów. Ludzie zawsze dysponowali określonymi zdolnościami a przynajmniej potencjał ten tkwił w dzieciach. Prawdopodobnie telepatia wykształciła się w drodze ewolucji, podobnie jak niegdyś powstała mowa - opanował ją tylko człowiek. Jego krewniakom - zwierzętom - nie było to dane. Być może wkrótce pojawi się homo telepathos,

tak różniący się od innych, jak dziś człowiek różni się od zwierzęcia.

Zatracił się w barwnej panoramie myśli. Wykwitły pąki kwiatów, platanina zieloności, cudowne zwierzęta pełne wdzięku i nieznanej siły. Z ciała Wyverna wystrzeliły wnętrzości oślepiając swoimi tajemniczymi kolorami. Wszystko stało się otworem. Żarówka rozbłysła. Był lśniącym w słońcu życia fragmentem krajobrazu, fontanną natury.

Drzwi celi otworzyły się. Kapral jednym krokiem przekroczył progi celi i... zamarł. Krzyknął, przerażony pięknem i niesamowitością odkrycia, a potem odwrócił się i wybiegł. Wystraszony hałasem Wyvern powrócił do zmysłów, do codzienności i na koniec do swojej celi.

Po chwili wsunęła się lufa pistoletu, a za nią czujny szeregowiec.

Żołnierz wskazał drogę gestem i przeprowadził Wyverna przez wahadłowe drzwi. W pomieszczeniu było gorąco, wokół unosił się zapach eteru i środków antyseptycznych.

- To tutaj robią operacje - rzekł ścisłym głosem szeregowiec. - Dzieją się tu straszne rzeczy.

Minął ich jakiś człowiek w białym kitlu pchający pacjenta na wózku.

- Widział pan to? - wyszeptał szeregowiec. - Biedaczysko nie miał dolnej szczęki! Jak długo pana zdaniem będzie żył z czymś takim?

Nie czekając na odpowiedź wpełznął Wyverna w następne drzwi, a sam został po drugiej stronie i zasunął rygiel. Wyvern zorientował się, że oprócz niego w pokoju znajduje się jedynie biała pielęgniarka z haczykowatym nosem.

- Moim obowiązkiem jest ostrzec pana, że każdy przejaw przemocy, każde podniesienie głosu lub wrzaski zostaną potraktowane bardzo stanowczo - oświadczyła takim głosem jakby powtarzała zadaną lekcję. - Teraz proszę za mną. Weźmie pan prysznic. Tędy.

- Nie muszę brać prysznicy - oświadczył Wyvern.

- Proszę wziąć prysznic. Jest pan brudny. Pan Parrodyce ma specyficzny sposób traktowania tych, którzy cuchną.

Prysznic to pestka. Fakt, że przez kilka sekund Wyvern związał się z bólu pod ścianami kabiny - pewien że za moment skona z poparzeń. Lecz nagle ukrop ustal i lodowaty strumień wody przywrócił Wyverna do ponurej rzeczywistości. Prawdopodobnie już się za niego zabrano.

- Teraz wygląda pan jak zdrowiutki prosiaczek - stwierdziła przyjacielsko pielęgniarka.

Skuła mu ręce na plecach kajdankami z długim łańcuchem, po czym przeszli do drugiego pokoju. Wyvern spostrzegł bardzo grube ściany i drzwi; prawdopodobnie pokój jest dźwiękoszczelny. Na umeblowanie pomieszczenia składały się stalowe szafy, duże krzesło przypominające fotel dentystyczny z zainstalowanymi po bokach cylindrami z gazem oraz jasny stół, za którym złożywszy dłonie na blacie, siedział tustawy mężczyzna. Podniósł wzrok na Wyverna i błysnęły szkła okularów.

- To jest pan Parrodyce - powiedziała pielęgniarka i wyszła.

„Muszę zabić tego diabła”, pomyślał Wyvern. Czegoś podobnego nie odczuwał nigdy; emocja nadeszła wraz z falą obrzydzenia która zaskoczyła go swoją intensywnością.

Jednakże Parrodyce nawet go nie tknął. Przeszedł tylko wokół stołu, popatrzył, ponownie obszedł stół i usiadł złożywszy dłonie jak przedtem. Siedział drżąc lekko.

Wyvern nienawidził go z całego serca.

Nagle zdał sobie sprawę, że w jego umyśle spokojnie spoczywa moc wystarczająca do zamordowania człowieka. Wstrząs spowodowany połączeniem jaźni był straszny, a połączony z nienawiścią i doprowadzony przy pomocy metalowych wyprowadzeń do nieprzygotowanego mózgu mógł okazać się śmiertelny. „Całkiem klawo”, pomyślał Wyvern.

- Co by tu panu zrobić na początek - rzucił niby do siebie Parrodyce.

W tym momencie zmuszony byłem przerwać lekturę. Muzyka Lutosławskiego umilkła. Przerzuciwszy parę kartek do przodu stwierdziłem, że Jael Cracken wypełnił cały rozdział opisami tortur, których nie miałem zamiaru czytać.

Na świecie istnieje wystarczająco wiele nieszczęść i bez takich pisarzy jak Cracken, którzy wymyślają historie pełne okrucieństw i przemocy. Odłożyłem książkę i zrobiłem sobie filiżankę świeżej kawy, a następnie podszedłem do okna i spojrzałem czy przyjechała już policja. Zwłoki martwej dziewczyny leżały pod kocem.

Z pokoju żony, śpiącej na swoim wiklinowym łóżku, dobiegł jakiś odgłos. Zakradłem się po cichu, żeby sprawdzić czy jest jej wygodnie. Spała. Dostrzegłem ciemny profil twarzy na tle wzorzystych zagłówek, dłoń pod policzkiem, zgięty najmniejszy palec - różowy i delikatny niczym jakaś morska istota. Pomimo całej swojej udręki Sinnikka w moich oczach była nadal piękna.

Gdy tak zastanawiałem się w jaki sposób Sinnikka wzbogaciła moje życie, myśli zaczęły ponownie krążyć wokół wyczytanych w książce naiwnych uwag na temat telepatii. Moim zdaniem telepatia nie jest warta funta kłaków - uważam, że jeśli coś nie zostało dowiedzione, to nie istnieje. Tym mniej miałem cierpliwości do crackenowskiej pseudorewolucyjnej teorii, że telepatia jest być może kolejnym krokiem na drodze rozwoju ludzkości. Ale złapałem się na marzeniu, że chciałbym być obdarzony taką cudowną mocą choćby tylko na godzinę, aby przed przyjazdem policji z Kuusamo wkraść się do umysłu mojej drogiej Sinnikki i zatracić się wśród jej myśli i wspomnień, a może nawet uleczyć smutek, który nagromadził się z mojej winy przez te wszystkie wspólnie spędzone lata... I dowiedzieć się co naprawdę o mnie myśli.

Jakże wspaniale byłoby uwolnić się raz na zawsze od brzemienia ograniczonej osobowości, pogalopować przed siebie jak dziki renifer przez pustacie innego żywota, aby ujrzeć w końcu odbity niczym w tafli jeziora świat istniejący równoległe do naszego. Ale naturalnie to jedynie daremne, pełne uroku pragnienie. Dziecinny sen - marzenie, z którym trzeba się pożegnać.

Sinnikka, jakby zdając sobie sprawę z mojej obecności, poruszyła się i odwróciła głowę. Spojrzała na mnie swoimi błękitnymi oczyma. Uśmiechnęła się. Podszedłem i wziąłem ją za rękę. Mruknęła coś niewyraźnie, ale nadal była pod wpływem środków usmierzających ból. Zamknęła oczy i w chwilę później spała jak zabita.

Puściłem jej dłoń, która bezwładnie opadła na tkaninę.

Lekko rozczarowany wróciłem do mojego pokoju. Jako że póki co nie miałem nic lepszego do roboty, zacząłem ponownie czytać książkę. Chciałem przekonać się czy Conrad Wyvern zdoła zabić torturującego go prześladowcę.

* * *

Ludzki umysł, podobnie jak ciało, kryje w sobie nieznanne, tajemnicze zakamarki. Po między szaleństwem, bólem i krzykiem Wyvern na mgnienie oka stał się absolutnym panem samego siebie i postąpił zgodnie ze swoim wcześniejszym postanowieniem zamordowania Parrodyce'a. Otworzył umysł na maksimum tak, że telepatyczny strumień wystrzelił z całej mocy wylewając z siebie niechęć i odrazę nieomal do granic wytrzymałości. W odpowiedzi nadeszła odbita telepatycznie fala myśli!

W trakcie nagłego zjednoczenia jaźni Wyvern dowiedział się wielu rzeczy. Bez cienia wątpliwości, tak jak rozpoznaje się własnego brata Wyvern pojął, że Parrodyce to tamten pijany telepata z Londynu... i pogrążył się w nieświadomości.

Tak, tak, jestem podły

Eugene Parrodyce wyrzucał z siebie potoki słów.

Na czole Parrodyce'a perlili się pot, przypominał krople tłuszczu na nieco przybrudzonym pergaminie. Koncentrując się na własnych słowach, Parrodyce trzymał przy ustach Wyverna miseczkę z gorzkawym płynem. Strumień cieczy spływał Conradowi po brodzie. Parrodyce, mimo że gonił go czas, nie zdjął więźniowi klamer z szyi i kostek, ale zamiast stać nad Wyvernem, teraz przed nim klęczał.

- Wyvern, otwórz się jeszcze raz - wyszeptał. - Na miłość boską otwórz jeszcze raz swój umysł i pozwól mi wejść. Dlaczego zatrzymujesz go przede mną? Wiesz przecież jak ryzykuję mówiąc w ten sposób do ciebie. O ile mi wiadomo, to pewnie wszędzie zainstalowali pluskwy, chociaż... na razie są prawdopodobnie zbyt dezorganizowani, żeby o tym pomyśleć. H może tu zejść. Już raz tak się zdarzyło. Gdybyś tylko otworzył się na sekundę, moglibyśmy sobie wyjaśnić wszystko, lepiej niż w jakiegokolwiek rozmowie.

- Ani mi się śni! - rzucił Wyvern.

Gorzki płyn wygasił płomień szalejący w jego ciele.

- Zdejmij mi klamry z szyi i dłoni i posadź mnie - polecił.

- Nie... nie będziesz próbował zrobić nic głupiego, prawda?

- W takim razie nie rozkuwaj mi nóg, skoro boisz się, że cię zaatakuję.

Bąkając przeprosiny i kłaniając się przymilnie Parrodyce zdjął kajdanki z poobcieranych przegubów Wyverna oraz klamrę z szyi, jednakże tak jak sugerował Wyvern, nogi pozostał skute. I ponownie wybuchnął potokiem słów.

- Musimy się porozumieć, Wyvern! Bądźże rozsądny! Tylko my dwaj dysponujemy tym darem - tym wielkim darem. Musisz mnie wpuścić: mam tak wiele do powiedzenia i wyjaśnienia...

- Zapomnij o tym! - odparował Wyvern. - Nie otworzę ci ponownie mego umysłu. Chyba bym zwymiotował. Jesteś chodzącą kloaką.

- Teraz łatwo mnie obrażać, teraz - kiedy znasz moją tajemnicę...

- Słuchaj Parrodyce, leżałem tutaj nieprzytomny. Dlaczego więc nie zabiłeś mnie?

Pulchny mężczyzna nie wyrzekł ani słowa. Potrząsnął bezradnie głową wpatrując się poprzez łyzy w zamazaną postać Wyverna. Próbował przebić się przez telepatyczną osłonę Wyverna, który odczuwał to jakby niewidomy krążył wokół domu i grzebał w zamkach.

- Przestań! - krzyknął. - Nie wejdziesz. Jesteś zbyt podły, Parrodyce!

- Tak, tak, jestem podły - skwapliwie przytaknął tłuszczoch. - Ale czy nie pojmujesz, że w tym jesteśmy prawdziwymi braćmi? Musisz pomóc mi wydostać się stąd. Musisz...

- Och, nie - odrzekł Wyvern. - To ty musisz pomóc mi stąd uciec. A przede wszystkim jest parę rzeczy, których muszę się dowiedzieć.

- Połączmy nasze umysły i dowiesz się wszystkiego!

- Pytania i odpowiedzi w zupełności mi wystarczą, ty wszarzu! W jaki sposób zdobyłeś tę pracę?

Parrodyce odchylił się na kolanach z nieszczęśliwą miną. Tarł dłonie jakby je mył. Wyvern czytał kiedyś o takim gościu, ale nigdy nie miał okazji widzieć go na własne oczy. Na domiar złego, prócz cierpienia jakiego nie zaznał nigdy w życiu, Wyvernem wstrząsnęła nagła metamorfoza Parrodyce'a. Z kata Parrodyce przedzierzgnął się w zanoszącą się łyżami szmatę - Wyvern odzyskał świadomość i stwierdził, że obśliniona kreatura wisi mu na szyi.

- Telepata jest idealnym śledczym - rzekł Parrodyce. - Czy nie rozumiesz, że gdy mam

już kogoś w tym pokoju, tak że nikt z zewnątrz nie jest w stanie zorientować się co robię, mogę badać mózg nafaszerowanych narkotykami więźniów i poznawać ich wszystkie tajemnice. A kiedy przychodzą do siebie, nawet jeśli pozwala im się ujść stąd z życiem, nie mają pojęcia co się z nimi działo. A... a ja zawsze dostarczałem towar pułkownikowi H. Nie mogłem go zawieść. I nie zawiodłem...

- Ale **dlaczego** to robiłeś?

- Ja... ja... Pozwól mi wejść do swego umysłu! Wtedy ci wytłumaczę.

- Ty obleśny wampirze! Nie, nie pozwolę ci wejść – odparł Wyvern. Nie potrzebował wytłumaczenia. Sekunda zjednoczenia ich jaźni wyjawiała prawdę: Parrodyce to patologiczny tchórz – sam pełen obaw - mógł egzystować wyłącznie dzięki strachowi innych.

Jednakże to nie bezwstydnny pokaz strachu wzbudził odrazę Wyverna, a odkrycie, że jego współtowarzysz telepata tak bardzo oddalił się od uczciwości, honoru, człowieczeństwa. Odseparowany od takich jak on sam, Wyvern niejasno wyobrażał sobie, że środowisko telepatów (zakładając, że istnieje lub istniało) wolne jest od wszelkiego występku. Środowisko dysponujące tak potężnym darem zrozumienia, tak łatwo asymilujące uczucia współtowarzyszy, z pewnością zawsze będzie mieć dla nich wzgląd. Dostrzegł teraz kruche podstawy swoich założeń - telepatia była darem, który był taką samą cechą jak inne, dobre lub złe. Nie mogło zaistnieć prawdziwsze braterstwo telepatów od prawdziwego braterstwa ludzi.

- Zdejmij mi to z nóg - rozkazał Wyvern. - Wypuścisz mnie stąd.

- Nie! Och, nie... nic pozwolę ci odejść teraz, kiedy cię znalazłem!

- Czekaj! Bradley wspomniał, że był jeszcze jakiś telepata. Jak mu było - Grimslade? Co mu zrobiliście?

- Masz na myśli Grisewooda? Nigdy nie znalazłem się dostatecznie blisko, żeby się z nim skontaktować... Nic przypominaj mi go - skonał w strasznych męczarniach gdy próbowali podłączyć go do Big Berka. To musiał być najokropniejszy ból na świecie. Modłę się, żebym tak nic skończył!

- Zdejmij mi te kajdany! - zniecierpliwiał się Wyvern.

Z oczu Parrodyce'a wytrysnęły łzy, okrągłe szkła okularów zaszyły mgłą. Pogmerał przy kostkach Wyverna i otworzywszy zamek opadł bezwładnie obok krzesła.

- Zdradzisz mnie przed H! Zdradzisz mnie - bełkotał w kółko.

- Gdybym cię wydał, wydałbym samego siebie - rzucił ostro Wyvern. Napiął mięśnie - ledwo stał na nogach. Parrodyce również powoli wstał spod krzesła.

- Faktycznie - rzekł z namysłem. - Jeśli wydasz mnie, wydasz i siebie.

Natychmiast poprawił mu się humor. Nabrał rumieńców, na twarzy pojawiła się nadzieja.

- Potrafię wydostać cię stąd. Zaraz to zrobię.

Odwrócił się i zbliżył powoli do szaf. Szczeknął coś w swoim dawnym stylu do słuchawki ukrytego telefonu. Potem ukrył telefon, przeszedł przez pokój i położył dłoń na ramieniu Wyverna.

- Już panuję nad sobą. To szok wywołany tym, że w końcu spotkałem drugiego telepatę. Muszę się napić. Pozwól, że i tobie postawię jednego. Tylko na tyle dziennie mi pozwalają, bo inaczej pewnie topiłbym smutki w alkoholu.

Wyvern odmówił drinka. Parrodyce wypił i nalał sobie następnego.

- Trzymają mnie tu na dole - oświadczył. - Wyvern, mówię ci, co ja mam za życie - tragedia. Ostatnio przydzielono mi asystenta, faceta o nazwisku Joe Rakister. Towarzystwo dobrze mi robi. Rozumiesz, po prostu jest do kogo otworzyć gębę. No, i kapujesz, na swój sposób polubiłem tego Rakistera. Ale cały czas żyję w strachu, że tak naprawdę to może on jest człowiekiem pułkownika H, że przysłano go na przesłuchanie. Wyvern, ja nie jestem naziścią. Jestem kłębkim nerwów, nigdy tak się nie czułem, nawet podczas Inwazji. Myślę, że te tortury wychodzą mi bokiem. Nie sprawiają mi żadnej radości, a już po wszystkim... hm...

robi mi się przykro. Rzygam tym, rozumiesz? Śni mi się, że oni wracają i robią mi to wszystko, co ja im robiłem.

Ręce Parrodyce'a zaczęły drżeć. Odstawił szklanę, zagryzł wargi i nagle odwrócił się do Wyverna.

- Na miłość boską, zrób coś dla mnie - wyszeptał.

- Co takiego?

- Gdy będziesz miał okazję... chcę, żebyś skontaktował się ze mną. Och... wiem co to dla ciebie znaczy: taplanie się w dole z gównem. Ale, Wyvern, ty musisz dowiedzieć się co jest ze mną nie tak. Musisz zejść na dół, na sam dół, znaleźć to i spróbować naprawić. To musi być pogrzebane gdzieś w moim ego, nie mam pojęcia co to takiego. Coś, co ktoś mi zrobił gdy jeszcze wierzyłem nogami w wózku. Psychiatrzy nie mogą nic poradzić. Ale ty możesz! Wyvern, ty jesteś telepatą! Mógłbyś doprowadzić mnie do porządku.

Tak, Parrodyce miał rację. Był jednym z tych wstrętnych śmieci których rojem człowiek zanieczyścił swój świat. Trzeba je uprzętać, nawet jeśli koniec końców nic z tego nie wyjdzie.

- Dobrze, Parrodyce. Jeśli zdołam, zrobię to - obiecał Wyvern. - Teraz chcę już iść.

Parrodyce podziękował bez przekonania i powierzył Wyverna opiece pielęgniarki.

- Rozmawiałem z sekretarzem H - brzmiały ostatnie słowa Parrodyce'a. - Wypuszczają cię główną bramą.

Wrócił do swej cichej izby tortur czyszcząc okulary i potrząsając głową.

Pielęgniarka przekazała więźnia kapralowi. Ten oddał Wyvernowi ubranie i obserwował ubierającego się mężczyznę.

- No, no. Tylko parę siniaków - stwierdził z niedowierzaniem. - Przestraszyłeś mnie, człowieku.

- Gdzie moje rzeczy? - spytał Wyvern.

- Zaraz je dostaniesz.

Kapral przyniósł wszystko w starej puszcze po toffi. Wyvern przejrzał je pospiesznie; było wszystko oprócz biletu na Lunę i paszportu. Spojrzał gniewnie na kaprała.

- Czegoś brakuje? - spytał wojskowy. - Tak brzmiały rozkazy sekretarza pułkownika. Powiedział, żeby to panu dać.

Dobry z kieszeni munduru stłamszoną kopertę. Był w niej bilet na „Akwalung” i paszport - porwane na strzępy.

Jakiś szeregowiec zaprowadził Wyverna na górę, a następnie na zewnątrz przez dziedziniec koszar. Było ciemno i cały czas padał deszcz. Wyvern nie miał na sobie płaszcza, ale nie zwrócił uwagi na wilgoć. Po zredukowanych do minimum formalnościach wyszedł przez bramę na wolność - przestali się nim interesować.

Wyczerpany i niewyspany, nic miał innego wyjścia, jak wrócić do domu. Przed świtem deszcz ustał i zza chmur wyjrzało słońce. Okolica była piękna i spokojna; drzewa pochylały ku ziemi bujne, rozrosłe latem korony drzew, z liści skapywały kropelki deszczu. Trawy lśniły metalicznie niczym nieszkodliwe włócznie, ranne powietrze wypełniło się głosami ptaków.

W końcu na horyzoncie pojawił się Stratton Hall. Nie licząc dwóch służących, dom stoi teraz całkiem pusty. Tak pusty, jak pusty czuł się sam Wyvern. Stracił jakąkolwiek nadzieję. Gdzieś tam, tysiące mil stąd, była dziewczyna, która mógłby pokochać. Teraz nigdy do niej nie dotrze. Dokąd indziej miałby pójść? Co innego zrobić?

Gdy skręcał do bramy wjazdowej, rozległ się dźwięk pracującego silnika. Mężczyzna cofnął się instynktownie. Czyżby znowu po niego przyjechali? Może w ogóle nie powinien był tu wracać; mógł wyrzucić kartę identyfikacyjną i stać się jednym z wielu nomadów, którzy wędrowali po kraju.

Ale kierowca samochodu nie miał na sobie munduru. Zatrzymał się rozchlapując błoto i krzyknął:

- Czy to jest Stratton Hall?

Wyglądał na osiemdziesięciolatka, ale miał młody i donośny głos.

- Tak.

- Jestem Państwowym Poczmiistrzem! - oznajmił donośnym głosem. - Proszę, niech pan w moim imieniu odda to panu Conradowi Wyvernowi i zaoszczędzi mi w ten sposób pół mili drogi.

Zniknął. Wyvern spojrział pustym wzrokiem na zieloną kopertę. Wcisnął ją do wilgotnej kieszeni i poczłapał aleją. Boczne drzwi beztrąsko pozostawiono otwarte na oścież. Wyglądało na to, że służba jeszcze śpi; nawet Skrzydlaty Szpieg nie wiercił się w swoim metalowym gnieździe.

Znużony Wyvern nie otwierając koperty rzucił się na łóżko. Po chwili usiadł, przypomniał sobie niezadowolony głos kapitana Runtona: „Trzeba by tu sporo zmienić - każdy urzędas siedzi w wodoszczelnym pudełku; żadne z ministerstw nie ma pojęcia czym zajmują się pozostałe”. Wyvern uśmiechnął się, a potem roześmiał. Tarzał się po łóżku pękając ze śmiechu.

Otrzymał właśnie rządowy nakaz stawienia się dziś o godzinie 12:00 na statku SS „Akwalung” w celu pracy na stacji Luna. W nakazie zlekceważono takie formalności jak paszport czy bilet.

4

Biała klacz pływając pływająca dostojnie

Pierwszą część podróży na Księżyc Wyvern przespał. Nawet gdy doszedł do siebie, prawie nie opuszczał swojej małej kabiny.

Pomimo raportów o zamieszkach w Brytyjskim Sektorze, nasilających się po śmierci Naszego Ukochanego Przywódcy, na statku był prawie komplet. Pasażerowie lecieli przeważnie służbowo i nawet gdyby chcieli, nie mogli już anulować swoich biletów. Kręcili się nerwowo przed odlotem na Thorpe Field - szarzy, nijacy ludzie, rzucali kiepskie dowcipy jak to za wszelką cenę udało im się uciec od angielskiego dżdżu. Wyvern nie chciał mieć z nimi nic do czynienia, celowo przybył spóźniony i unikał współtowarzyszy podróży.

Wyposażenie statku stanowiło bolesną próbę naśladowania ery przedrepublikańskiej - przy barze oferowano bogaty wybór drinków, w kiosku sprzedawano coś w rodzaju „Marsz!” - nieśmiertelnej, szarostronicowej, oficjalnej gazety reżimu. Wyvern kupił nowoczesną powieść turecką. Sama Turcja, neutralna w czasie wojen, zachowała ślad międzynarodowej kultury. Będąc przystanią i schronieniem uciekinierów ze wszystkich zakątków świata, kraj szczylił się bogatą literaturą i sztukami telewizyjnymi we wszystkich językach. Tak jak przed tysiącleciem, Stambuł ponownie zyskał miano „niezrównanego miasta”.

Powieść rozweseliła Wyverna. Była sprawnie napisana, śmieszna i absolutnie nijaka; osadzeni w apolitycznym tle książki bohaterowie radośnie stąpali przez życie. Wszystko to pomogło Wyvernowi odzyskać równowagę. Skierowało także jego myśli ku Eileen South.

Nie wiedziała nawet, że Conrad Wyvern istnieje; nigdy się nie spotkali. Jednak była mu ogromnie bliska i znał ją lepiej, niż niekiedy zwykły człowiek zna własną żonę. Pochwylił istotę jej duszy jak winne grono zbiera esencję słońca z promienia słonecznego.

Znajdzie ją. W zamkniętych społecznościach Księżyca i z jego umiejętnościami nie będzie to trudne. A wtedy? Wtedy być może uciekną razem do Amerykańskiego Sektora; dzięki

Bogu teraz nie ma nakazu ekstradycji, a prawo międzynarodowe to przeszłość. Być może zdoła jakoś pomóc swoim rodakom.

Niewykluczone, że Nowa Policja rozkazała przez radio zaarrestować go po zaraz po wylądowaniu „Akwalunga”. Gdyby chcieli, mogliby to zrobić - brak paszportu był wystarczającym, jeśli nie jedynym powodem. Ale, o ile Wyvernowi było wiadomo, nie mieli na niego żadnego haka, a podarcie biletu było niczym więcej jak złośliwym gestem. „Ani chybi”, dumiał ponuro Wyvern, „mój Dufy zdobi teraz ścianę sekretarza pułkownika H”.

Minęło cztery i pół doby, nim w dole zajaśniały wielobarwne światła sygnalizacyjne kosmodromu. Stery promu przejął komputer pokładowy i w oślepiającym słońcu statek wylądował z ledwo wyczuwalnym wstrząśnięciem.

Wyvern zszedł z promu. Powitał go jakiś człowiek, przedstawił się jako Szef z Rządowego Ministerstwa Wojny. Z szacunkiem uściśnął dłoń Wyverna. Wyvern nadal był wolnym obywatelem - w granicach, które w tych czasach wyznaczał termin „wolny”. „Akwalung” osiadł z dala od kręgu kopuł mieszkalnych i kompleksu ciepłarni brytyjskiej społeczności na Lunie. Poprzez otwory ładunkowe rozciągał się widok na niesamowite miasto, duszące się w promieniach słońca. Ze statku przesiedli się w niewielki samochodzik, którego wchłonęły gigantyczne trzewia śluz powietrznych. Następnie przeszli przez nudny proces odkażania: infekcje nie miały prawa wstępu do zamkniętego systemu Sektora, w którym z łatwością mogłyby się rozprzestrzeniać.

Szef po stokroć przeproszał za przedłużającą się zwłokę w odprawie.

W końcu oficjalnie zakończyli odprawę i pozwolono im przejść dalej.

Pojechali do hotelu pracowników cywilnych lanerem, niewielkim jednotorowym pojazdem szynowym kursującym wzdłuż alei, jak zwano wąskie ulice Brytyjskiego Sektora. Wyposażenie hotelu było wystarczające i - jak cała reszta na Lunie - bardzo praktyczne. Szef przeproszał za to wszystko, biorąc na swe wątłe barki winę za całą strukturę gospodarczą Luny.

- Wezwę pana punktualnie jutro rano, panie Wyvern - oświadczył uśmiechając się ulegle. - A propos, stosujemy dwudziestoczerogodzinny czas ziemski, jak zapewne panu wiadomo. Podejrzewam, że czeka nas ciężki dzień, toteż teraz pana zostawię. Niech pan porządnie wypocznie, z pewnością jest pan zmęczony po podróży. Wodę powinni włączyć jakoś pod wieczór.

Po paru minutach dalszych gorących przejawów troskliwości o wygodę Wyverna, Szef wyszedł.

Jego gadanina o porankach i wieczorach była zwykłym konwenansem - w przyszłym tygodniu będzie słońce, a kopuły miały na górze zainstalowane ekrany biegunowe.

Gdy tylko Wyvern został sam, zawładnął nim niepokój. Gdzieś w pobliżu znajdowała się Eileen, może zaledwie milę stąd. Ogolił się i pojechał windą na górną kondygnację budynku, gdzie mieściła się sala gimnastyczna i sauna. Nadal czuł się kiepsko; wszedł do sauny i wypocił się trochę.

Na dole po hotelowym foyer kręciło się parę osób, przeważnie mężczyzn, tak szarych i oficjalnych jak pasażerowie statku. Do baru weszła wytworna, jasno ubrana kobieta - prawdopodobnie Turczynka. W foyer rozbrzmiewały dźwięki „Atomistyki” ze „Suity dyrektorskiej” Dinkuhla.

Napotkawszy wzrok piękności, która omiotła spojrzeniem całe foyer, Wyvern podszedł do niej i nawiązał rozmowę. Zwróciła na niego ogromne, ciemne oczy, uniosła lekko brwi i uśmiechnęła się.

- Byłoby wspaniale - odrzekła gdy zaproponował drinka. - Bez alkoholu, oczywiście.

Usiedli przy niewielkim okrągłym stoliku, na którym mieściły się akurat dwie szklanki.

Kobietę spowijał jednolity pas oślepiająco miedzianej polifolii, pasującej odcieniem do pantofli i szminki. Nieznajoma miała wysokie kości policzkowe, pociągłą twarz i szerokie

brwi. Bezsparnie odzwierciedlała wizerunek Nowej Tureckiej Kobiety. Nazywała się Descant Mahood.

- Naturalnie znam **pańskie** nazwisko - odrzekła gdy Wyvern przedstawił się. - Udoskonalili pan teorię trójwymiarowych punktów odniesienia w n-wymiarowej rozmaitości jaką jest przestrzeń kosmiczna. Te idee mogą być dalej opracowywane w Sektorze Tureckim, gdzie - o czym z pewnością panu wiadomo - pracujemy w rewolucyjnym z punktu widzenia nauki para-zespole matematyczno-behawioralnym. Powinien pan przyłączyć się do nas.

- Pani zajmuje się matematyką? - zapytał podekscytowany przesuając się o cal bliżej.

- Jestem kochanką Fezzi Forty, tego muzyka. Pracuję także nad projektem nowej orgiastycznej kabiny do holopatycznej symulacji jednoosobowego lotu.

- Doszły mnie słuchy, że gra tutaj jakiś turecki zespół. Pani jest z nimi?

- Błędne założenie, Conradzie. Po prostu przypadek. Przyjechałam na własną rękę z Amerykańskiego Sektora. W Amerykańskim Sektorze jest więcej życia, więcej w nim nowości niż w Sektorze Brytyjskim, chociaż generalnie rzecz biorąc nie zachodzi żaden proces odnowy myślenia. Podobnie jak tutaj, przeważają stereotypy, znamienne dla sposobu, w jaki Zachód stacza się w myślenie kategoriami militarystycznymi. Ich były prezydent, Roosevelt, odwiedził Lunę - uroczyście przebiegł pięć kilometrów i zainaugurował otwarcie nowego stadionu sportowego. Wybrałam się, żeby go zobaczyć. Sympatyczny, pełen dobrej woli. Żaden intelektualista. Istnieje pewien rodzaj energii psychicznej, którą, jak znicz olimpijski, jedna rasa przekazuje drugiej.

- Na długo pani przyjechała? - spytał Wyvern, na którym Turczynka wywarła ogromne wrażenie.

Wstała z uśmiechem pełnym ciepła i indywidualności.

- Trudno powiedzieć. O, idzie Fezzi.

Odeszła od stolika z gestem matematycznego uroku i wyszła powitać postawnego mężczyznę, który właśnie wkroczył do foyer i rozglądał się wokół siebie. Przygnębiony Wyvern dokończył swojego drinka. Turecki cud był ogólnie znany. Pierwszy raz w życiu Wyvern sam poczuł się częścią wymierającej kultury. Rozglądając się ukradkiem dostrzegł Fezzi Fortę i Descant Mahood jak cali w miedzianozłotym poblasku kroczą majestatycznie przez foyer i wchodzi do windy. Jeśli spodziewał się, że piękność odwróci się i da mu jakiś znak, to czekało go rozczerowanie.

Zmusił umysł do zajęcia się pilniejszymi sprawami. Przystudiował wiszącą na ścianie foyer mapę Brytyjskiego Sektora. Przy Alei JJ serce skoczyło mu do gardła - to przecież tam wybierała się Eileen South. Zamówił obiad w znacznie lepszym nastroju.

Posiłek był prosty: zupa, dwa drugie dania do wyboru, coś słodkiego, lody i jakaś ciec pod nazwą „kawa” - nieudana podróbka. Jedynym tchnieniem egzotyki był sos marsjański podany do ryby w śmietanie. Oprócz materiałów rozszczepialnych nowa kolonia zaczęła eksportować i inne towary. Dziś na świecie żywność stała się rzadsza od uranu.

Po jedzeniu Wyvern stanowczo zdecydował położyć się do łóżka. Ale gdy na zewnątrz wygasło światło i za oknem zapanowała spolaryzowana ciemność, Wyverna ogarnął niepokój. „Jutro może być już za późno”, pomyślał. „A co będzie gdy Nowa Policja przyjedzie w nocy?” Wstał i ponownie się ubrał.

O ile było mu wiadomo, opuścił hotel niepostrzeżenie.

* * *

Do Alei JJ nie było daleko. Postanowił, że zamiast łapać lanera, lepiej będzie jak się przejdzie. Sektor Brytyjski został zaplanowany z matematyczną dokładnością jeszcze przed pierwszym lądowaniem na Księżycu hitlerowskiej floty rakiet V9 von Brauna. Arterie komunikacyjne wiodące ze wschodu na zachód ponumerowano i nazwano „promenadami”, a drogi

prowadzące z północy na południe zyskały miano „alei”. Oznaczono je początkowo jedną, a później, gdy nazwano w ten sposób dwadzieścia sześć dróg, dwiema literami alfabetu.

Niestety, do planu wkradł się iście brytyjski, idiotyczny pomysł utrudnienia sobie życia. Podczas gdy sektory niemiecki i amerykański z pedantyczną dokładnością stosowały się do wytyczonych planów, Brytyjczycy nie oparli się uświęconej tradycją miłości do krętych alejek. W rzeczywistości peryferyjna Aleja JJ przecinała Piątą Promenadę w dwóch miejscach. Ogólny plan sfuszerowano ponadto dobudowywaniem domów po niewłaściwej stronie miasta, tak, że przykładowo hotel Wyverna znajdował się w sektorze Minus Dziewięć. Pomimo tych komplikacji po około dziesięciu minutach Wyvern skręcił w Aleję JJ. Nawierzchnię ulicy wylano betonem księżycowym. Wyvernowi przyszło nagle na myśl, że po tych ulicach nigdy nie stąpało żadne zwierzę.

Eileen South zamierzała śledzić kogoś do numeru 108. Maszerując aleją Wyvern zebrał myśli i zastanowił się co wie o tej sprawie. Po pierwsze, Eileen musiało coś niezłe zaskoczyć, że przerwała własną blokadę mentalną i zaczęła nadawać. W jej myślach Wyvern nie znalazł żadnej wzmianki o kontakcie z innym telepatą, co z pewnością wyszłoby na jaw. Znaczyłoby to, że kimkolwiek był nieznajomy, którego Eileen South zamierzała śledzić - nie-telepata - z pewnością emitował z niesamowitą siłą, aby nawiązać z Eileen mentalny kontakt. Kimkolwiek był, myśli Eileen ujawniły, że był dla niej obcy, a jakieś o nim wspomnienie wywołało w jej umyśle niezwykle słowa: „niesamowity uśmiech”.

Nagle Wyvern doszedł do wniosku, że chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym nieznajomym, do którego właśnie podążał. Nieznajomy był jedynym ogniwem łączącym Wyverna z Eileen, ponadto skrywał tajemnicę burzącą jego własny spokój do tego stopnia, iż przypadkowo zaczął nadawać do Eileen, mimo iż jej moc była zablokowana.

Wyvern doskonale znał to uczucie. Gdyby otworzył swój umysł, aby odbierać krążące wokół myśli, wszyscy mieliby świadomość jego obecności, a myśli Wyverna przechwytywałyby zwykłe radio. Toteż nawet gdy blokował umysł, cały czas zachowywał niezwykłą czujność, którą uaktywniało jakiegokolwiek poruszenie wokół jego osoby. Takie kłopoty materializowały się w umyśle Wyverna jako pograżone w gęstej mgłę budynki unoszące się na falach oleju: niektóre ratusze miejskie, większość zwykłych podmiejskich willi, może jedna katedra troski.

W Alei JJ Wyvern natknął się na tłum ludzi. Wyglądali na ordynarny motłoch. Chwilowo stali w milczeniu słuchając przemawiającego do nich obdartusa. Wyvern wychwycił fragment:

- ...ten reżim skapi na wszystkim. I wcale nie będzie lepiej, moi drodzy. Ani trochę! Będzie gorzej, coraz gorzej... Dostatecznie źle było za rządów Jima Bulla. Ależ to było bydlę, zwykła kanalia! Ale był doświadczonym kosmonautą! Nikomu nie trzeba przypominać, że wraz z Wattletonem brał udział w trzeciej ekspedycji wenusjańskiej. Teraz Jim Bulli nie żyje. I powiem wam, przyjaciele, powiem wam za darmo - jeśli którykolwiek z tej bandy maślaków z Ziemi, która drze koty o miejsce po Jimie Bullu, spróbuje mieć nad nami władzę, to my z miejsca ruszamy do Biura po nasze akty zgonu, a ja będę pierwszy w kolejce!

Wyvern wiedział, że historie o bohaterskiej przeszłości Jima Bulla jako kosmonauty są wysrane z palca, toteż doszedł do wniosku, że mówca to agent-prowokator.

Aleja JJ nie wyglądała zachęcająco. Były tam bloki mieszkalne, świątynie narkotyków i smętne kina, a nawet - ukryty wśród sklepików - burdel, który cieszył się niesłabnącym powodzeniem u złąknionych orgii pilotów. Pod 108 mieścił się „sklep ziemski”, księżycowa odmiana lombardu, zwany tak dlatego że zalegały tu niezliczone niewielkie przedmioty codziennego użytku, ale wyłącznie wyprodukowane na macierzystej planecie. Nad sklepikiem znajdowało się niewielkie mieszkanie. Zbierająca się na dachu i bezustannie ściekająca ze ścian kopały woda spowodowała, że wokół betonowej, prefabrykowanej fasady budynku bujnie rozrosły się zielone algi.

Wyvern pchnął drzwi i wszedł do środka.

Sklepik był ciasny i kiepsko wyposażony. Stały tu kanistry z olejem Castrol, na półkach leżały narzędzia stolarskie, miniaturowe zabaweczki, powieści Dennisa Wheatley'a, kartony Brasso, poduszki, stare radyjka, butelki Vimto, oprawione roczniki „Puncha”, mosiężne drobniaki i przenośne piecyki. Gdyby huknęło się pięścią w kontuar, z pewnością pękłaby okleina, lecz jakiś zirytowany klient wpadł już na to wcześniej. W kącie z tyłu sklepu sprzedawca stał odwrócony do aparatu telefonicznego. Nie zareagował na wejście Wyverna. Coś kapało na podłogę.

Ktoś poza zasięgiem wzroku Wyverna, w butach na miękkiej podeszwie, zbiegł ciężko po schodach i wypadł przez drzwi, które same się zatrzasnęły.

Właściciel ani drgnął.

- Proszę mnie obsłużyć - rzekł ostro Wyvern. - Ma pan zwyczaj ucinąć sobie drzemkę o tej porze?

Nadal brak reakcji.

- Słuchaj pan, chcę kupić pewną wiadomość... - Wyvern zamilkł ujrawszy ciemną plamę na fartuchu w okolicy żołądka. Podniósł klapę kontuaru i wszedł za ladę.

Mężczyzna był martwy, chociaż jeszcze ciepły i nadal krwawił. Patrzył w pustkę oczami o skupionym, wyrachowanym wyrazie. Nigdzie się nie dodzwonił. W księżycowej ziemi nie żyją żadne stworzenia; to zaszytowane ciało pozostanie na wieki takie samo.

Czy to oznacza, że jedyne ogniwo łączące Wyverna z Eileen South zostało przerwane? Myśli Wyverna wirowały rozpaczliwie.

Wtedy przypomniał sobie mężczyznę zbiegającego po schodach; to mógł być morderca - przyszedł po coś do pokoju nad sklepem.

Wyvern pchnął tekturowe drzwi i ukazały się boczne schody. Po chwili wahania wbiegł po trzy stopnie na górę. Natknął się na dwoje drzwi, jedno otwarte. Wpadł biegiem.

Na łóżku konał jakiś człowiek. Leżał zwinięty w kłębek na barłogu z brudnych koców, między żebrami tkwił potężny sztylet. Mężczyzna przekręcił się w agonii na plecy wbijając nóż prawie do oporu. Znużony westchnął, jakby odpoczywał.

Na jego twarzy od ucha do ucha wykwitł niesamowity uśmiech.

Wyvern ukląkł przy łóżku. Najwyraźniej dla umierającego przemoc nie była niczym nowym. Wyglądał jak klasyczny oprych. Od kącików ust aż po kości policzkowe skórę przecinały stare szramy nadając nieznanemu, nawet w chwili cierpienia, wygląd upiornego wesółka. Już nie można mu było pomóc, błyskawicznie tracił siły. Znowu chwyciły go konwulsje, przetoczył się na brzuch i ukrył twarz w kocach.

Oto ogniwo łączące go z Eileen South. Teraz Wyvern mógł zrobić tylko jedno - otworzył swój umysł i połączył swą jaźń z jaźnią umierającego mężczyzny...

* * *

Kaskada głosów, bębniących jak deszcz o dach. Kłębowisko żalu i skruchy, tnące niczym brzytwa. Strach podobny do piany. Gniew. Mściwość, bluźnierstwo, ból: okiennice walące o ściany domu podczas grudniowej zimy. Pamięć. Głupota, światełka latarni, zapalające się co jakiś czas na średniowiecznych alejach jego umysłu. Kręte ścieżki. I, nawet teraz, jeszcze... nadzieja.

Nadzieja jak nietoperz, ból niczym zacinający deszcz ze śniegiem, bombardujący twarz Wyverna klującymi szpileczkami, osłepiający psychiczne zmysły.

Ze wszystkich stron, z wszystkich trzech wymiarów napierają sceny z przeszłości umierającego, przemykają, wynurzają się z ciemności, by zniknąć w jeszcze głębszej czerni. Oto tło – odrażający ściek nieczystości; na pierwszym planie - twarze wykrzywione w nienawiści. Jak lampa rozświetla ciemność uśmiechnięta dziewczęca twarz; zazdrość na obliczu rywala;

wszędzie chamstwo, prostactwo, gruboskórność, pijaństwo. Zmarnowane życie. Wyvern rozpaczliwie tonął w szlamie.

Zupełnie zgubił się w labiryncie, zapędzony w ciemnościach w ciemny zaułek, podczas gdy pięćdziesiąt projektorów kinowych rzucało na niego obrazy z pięćdziesięciu różnych filmów. Obraz drży i ciemnieje. Trzeba się śpieszyć; mężczyzna o niesamowitym uśmiechu oddala się niesiony na falach wieczności.

Niczym łośność pracy niestrudzenie w górę rzeki, tak Wyvern spróbował nadać kierunek galopującemu obrazom. Skręcił w rzeczną odnogę, tam gdzie czerwieniły się szkarłatne plamy, wyczuwając gwałtownie zmysłem powonienia, że jest już blisko. Zobaczył małą celę, skulonego w niej mężczyznę, on czeka... czeka... nazwisko tego człowieka, George Dorgen, czeka na śmierć. Niejasne powody, po części polityczne - świadomość od czasów pełnego przeżycia i bólu dzieciństwa, że jego kraj jest okrutny i bezlitosny w stosunku do tych, którzy nie mają nic; po części egoistyczne - beznadziejna żądza, aby być kimś, coś znaczyć, błyszczeć, trzask fleszów, własne nazwisko w nagłówkach gazet, zobaczyć się w telewizji; po części po prostu wyrachowanie - odebrać zapłatę za zbrodnię i żyć z pełnym brzuchem i bladą kobietą zwaną... Wszystko zniknęło. Powodem był krępy człowiek zdejmujący ubranie po drugiej stronie sztucznej ściany małej klatki. Pojawił się rewolwer, dusząca żądza krwi, na koniec triumfalne przedarcie się przez cienką ściankę, śmierć wielkiego człowieka, tajemniczy władca, zniechęcona postać ojca gdy nagi i owłosiony jak małpa pokazuje trupio blade podeszwy stóp, śliskie cielsko z łoskotem walące się na białe kafelki w strugach wody z prysznicą. Biel. Pustka. Ucieczka. Bezpieczna kryjówka z dala od Norwich, z dala od Ziemi. Biel usiana gwiazdami i arteriami komunikacyjnymi. Wyczerpany, udręczony Wyvern zwał się z łóżka. Oto George Dorgen, zaszlachtowany podczas snu w swojej bezpiecznej kryjówce. Uczynił to nędznik w miękkich butach, po dwakroć morderca.

Wyvern był nadal złączony z tym dogorywającym umysłem. Liche bogactwo mężczyzny, jego skarbnica, jeszcze istniało mimo nadciągających zewsząd chmur. Wyvern spróbował dowiedzieć się kto zapłacił Dorgenowi za zamordowanie Bulla, kto kazał zabić samego Dorgena. Ale w obrazie było coś jeszcze, coś jakby obecność innego telepaty; pojawiła się bardzo ciemna i niewyraźna. Zatoczyła koło między umysłem Dorgena i Wyverna. Teraz Dorgen gnał wstecz, lata jego życia odpływały kanałem energii tam skąd niegdyś przybył - w submolekularny wszechświat. Nagle pojawiły się przelotne migawki jasnych pastwisk, pasących się zwierząt. Potem niski pułap koron leśnych drzew, polowanie, ogromna radość, inni myśliwi i coś przeszytego włócznią, leżącego wśród opadłych liści. A potem - teraz zamglony - obraz kołyszących się tu i tam gałęzi, ustępujących miejsca ornamentowi niezwyklego światła, ornamentowi w kształcie kraty. Wszystko zatopiło się w cichym mroku.

I na koniec nagle przyspieszyło, uniosło go poprzez spienione odmęty, pomknęło niczym wartki strumień wysysając z niego ciało i duszę, z rykiem prześlizgnęło się przez nagie końcówki nerwów organicznego życia. Dorgen był martwy, a Wyvern kłęczał w cuchnącym i dusznym pokoju.

* * *

Wyvern opadł na rozklekotane łóżko. Bezsilny, nie był w stanie unieść powiek, jego umysł był martwy. Istniało jedynie wspomnienie zabójcy, który zamordował mężczyznę na dole, aby potem wejść po schodach na górę i zabić innego mordercę; mordercę, który zabił kolejnego mordercę - Jima Bulla.

Zabić, zabić, zabić. Wyvern powiedział sobie, że nigdy więcej nie użyje swojej siły psychicznej, chyba że...

To przerażające doświadczenie wejścia w umysł umierającego człowieka wiele go nauczyło. Uświadomił sobie w jaki sposób martwy świat Księżyca stał się odbiciem najgorszych

cech człowieka. To miejsce od zawsze znajdowało się poza granicami ogrodu Edenu; ta ziemia nie kryła niczych szczątków, nigdy nie przebiegło tędy żadne zwierzę, nie licząc pełzających dziwolągów, które od czasu do czasu przywozili z sobą piloci. Księżyc, martwe ciało niebieskie, wywarł otepiający wpływ na psychikę. „A może po prostu wymyślam różne bzdury w momencie słabości?”

Wyvern z pewnością nie wymyślił przelotnego obrazu świata minionego, świata przeszłości sprzed powstania homo sapiens, ostatniego sygnału wygasającej duszy. Kontakt był bardziej skomplikowany niż to mu się zdawało, zataczał kręgi na obszary, do których Wyvern nigdy nie ośmieliłby się zajrzeć.

Powrócił do czasów dzieciństwa, do Stratton Hali z czasów jego świetności. Rodzice żyli. Chodzić i jeździć konno nauczył się prawie równocześnie. On i chłopiec stajenny Ken, nierozłączni przyjaciele, kochali starą klacz Daisy, która kończyła żywot pasąc się spokojnie na okolicznych pastwiskach. Potężna, biała klacz stapała delikatnie, była łagodna i mądra. Często króć o zmroku niosła chłopców na swym grzbiecie, światło dnia zmieniało się wtedy w zielony półmrok, a lekko zdenerwowana matka Conrada z niecierpliwością wypatrywała syna z okien domu. Stara klacz zatrzymywała się na dziedzińcu stajennym rżąc donośnie na powitanie, podczas gdy w górze kołowały nietoperze.

Wyvern przestraszył się - to nie była więź telepatyczna. Nagle odkrył inny kierunek, drogę do prawdziwej przeszłości, przechowywanej gdzieś w jego pamięci. Biegł aleją na bosaka, w krótkich spodenkach, obok niego pędził Ken, głośno stawiała ciężkie kopyta mlecznobiała Daisy. Przed nimi szeleścił w zaroślach Spot, biały terier z łatką na jednym oku, szczęśliwy na swój psi sposób.

Jeziora wokół Stratton nie były wielkie i zaczynały powoli zarastać zielskiem. Chłopcy skakali do wody ze starego pomostu pod wierzbami, nurkowali w mętnej, rojącej się od cierników wodzie i godzinami pływali podczas tych trwających całą wieczność, chłopięcych wakacji. Spot również wskakiwał ujadając radośnie, a za nim płynęła dostojnie w ślad za chłopcami mlecznobiała Daisy. Ponad wodę wystawał jedynie łeb i szeroki zad. Kobyła od czasu do czasu skubała trawę, którą zarósł mur starej grobli. Leniwie płynące fale odbijały się złotym ornamentem na liściastym baldachimie unosząc ich wysoko w górę, w oślepiająco złote światło nieba.

Powrót do przeszłości był tak realny, że Wyvern z trudem uświadomił sobie, że znajduje się przecież w nędznej klitce na Księżycu, a obok leży trup zamordowanego mężczyzny.

Wyvern ze wstydem przypomniał sobie jak będąc chłopcem pogardzał swoim dobrodusznym, starym ojcem za to, iż poza wielkim domem i posiadłością nic innego go nie interesuje. Ojciec spędzał całe dnie w towarzystwie zarządców farmy, wieśniaków i ogrodników, a wieczorami zadowalał się czytaniem książek i słuchaniem płyt. Nigdy nie chciał wyjechać ze Stratton Hall, nigdy nie towarzyszył żonie i synowi, gdy ci siedząc w wagonie Wielkiej Wschodniej Kolei Żelaznej jechali do Norwich lub Londynu. A gdy Wyvern dorósł, jakże pogardzał tym samozadowoleniem ojca, w jakże okrutny sposób jako nastolatek zniszczył wszystko co się tylko dało... Czy nie na złość ojcu mienił się najpierw komunistą, a później faszystą; wraz z rozwścieczonymi demonstrantami dał na strzepy godło Zjednoczonego Królestwa na znak protestu przeciwko kolejnym decyzjom chwiejnego rządu koalicyjnego Chamberlaina?

Przynajmniej dobrze, że ojciec zmarł przed nadejściem wroga - odszedł spokojnie, zadowolony że nowa odmiana wczesnego ziemniaka - Cud Wyverna - zostanie nazwana jego imieniem.

„Wybacz mi, ojcze. Dostałem już nauczkę za moją głupotę”.

Wyvern wstał. Musi mieć się na baczności przed swoją coraz potężniejszą mocą, aby go nie zdradziła. Jest w wielkim niebezpieczeństwie, musi strzec się terażniejszości.

Na tyle na ile wyczytał z umysłu umierającego, Dorgen nie miał pojęcia o Eileen South,

nie wiedział kim była ani gdzie jej szukać.

Teraz należało jak najszybciej oddalić się stąd i skryć w jakimś bezpieczniejszym miejscu - może w Sektorze Amerykańskim, nawet u Turków, gdziekolwiek.

Nie spoglądając na zwłoki, Wyvern zszedł na półpiętro.

Na dole schodów, mierząc z rewolwerów, stali ramię przy ramieniu dwaj mężczyźni w mundurach Nowej Policji.

- Złaz na dół - rzekł jeden z nich. - Spokojnie. Mamy rozkaz strzelać.

- Czyście z byka spadli? - obruszył się Wyvern. - Do kogo ta mowa? Wejdźcie na górę i obejrzyjcie ciało. Ile to czasu minęło od kiedy was wezwałem? Gdzieście byli?

Dwaj mężczyźni zbliżyli się równocześnie jak na rozkaz.

- Pośpieszcie się - rzucił rozkazującym głosem.

Gdy policjantów od podestu półpiętra dzieliły zaledwie trzy schodki, Wyvern skoczył błyskawicznie próbując zwalić ich kopniakiem na dół. Byli jednak przygotowani na takie komplikacje, gdyż po chwili Wyvern zleciał po schodach, a na żebrach poczuł ucisk ciężkich buciorów. Podał się i funkcjonariusze Nowej Policji powlekli go do furgonetki czekającej pod domem.

Następne trzy godziny były pełne mundurów, bólu i pytań.

* * *

Po pierwszym przesłuchaniu w Komendzie Głównej Policji Wyverna umieszczono w zwykłej celi. Przesłuchanie prowadził sierżant policji, śledztwu przypatrywał się jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu. Potem Wyverna wyprowadzono z celi i ponownie zadawano pytania, tym razem padały z ust kapitana policji i dwóch cywilów. Następnie Wyverna zamknięto w specjalnej celi - pudełku.

Na ścianie na wprost drzwi przymocowano stalową ławkę. Celę zaprojektowano w ten sposób, że więzień mieścił się w niej pod warunkiem, że siedział na ławce. Wyverna otaczały ściany ze szkła grubego na jakieś pół metra. Siedział w swoich dybach niczym ryba w akwarium.

Spędził tak mniej więcej godzinę, gdy do pustego pokoju za szklaną ścianą wszedł jakiś mężczyzna. Wyglądał w każdym calu jak typowy aparatczyk - ulizany, czyściutki i nijaki; miał kasztanową brodę. Podszedł do szyby i oświadczył:

- Twoja cela jest podłączona do aparatury nagłaśniającej, możemy rozmawiać bez trudności. Ty będziesz mówił. Ja będę słuchał. Masz poważne kłopoty.

Jego głos ciął powietrze jak brzytwa; sprawił, że wszystko naprawdę zaczęło wyglądać bardzo poważnie.

„Och, kurde... - pomyślał Wyvern. - „Ostatnimi czasy pomiatają mną mniejsi i więksi autokraci. Jeśli kiedykolwiek wydostanę się stąd, do końca życia będę cierpiał na manię przesładowczą”.

- Już dwa razy powiedziałem wszystko pańskim ludziom - rzekł na głos. - Niczego nie pominąłem. Tamten gruby sierżant da panu egzemplarz mojego oświadczenia.

Brodacz nie wyrzekł ani słowa, szarpał tylko zarost.

- Jakiś klient wszedł do sklepu ziemskiego i spostrzegł martwego, zasztyletowanego właściciela - powiedział brodacz kamiennym głosem. - Wezwano policję. Policjanci usłyszeli jakiś hałas w mieszkaniu nad sklepem. Pojawił się pan i został pan aresztowany przy próbie ucieczki. W pokoju na piętrze znaleziono czyjeś zwłoki. Nasi eksperci stwierdzili, że obie rany zostały zadane tą samą ręką. To jasne, że jest pan podejrzanym Numer Jeden. Przybył pan na Lunę w wyraźnym celu popełnienia dwóch morderstw. Niech pan poświęci trochę swego cennego czasu i opowie nam wszystko od początku.

- To wszystko zbieg okoliczności - warknął Wyvern. - Czy muszę mówić pańskim

ludziom co należy do ich obowiązków? Dlaczego nie wzięliście moich odcisków palców? Zdejmijcie je i porównajcie z tymi na sztylcie. Zobaczycie, że w ogóle go nie dotykałem. Powiedziałem wam kim jestem, powiedziałem co robię na Lunie - zatelefonujcie i zapytajcie tych z rządu.

Brodaty pozwolił Wyvernowi wykrzyknąć się do woli.

- Wydaje mi się, że powinien pan opowiedzieć jeszcze raz wszystko od początku.

Wyvern westchnął. Dał za wygraną i powtórzył to co poprzednio. Nieco upraszczał, ale mówił szczerą prawdę. Żeby nie wymieniać nazwiska Eileen South, skłamał dlaczego wszedł do sklepu; przedstawił się jako turysta - chodził to tu, to tam, zapoznawał się z lokalnym kolorytem, przypadkowo natknął się na zwłoki itd. itd. Pod koniec treść opowiadania również uległa niewielkiej zmianie.

Oczywiste było, że został wmieszany w morderstwo polityczne; policja przyczepiła się do niego z sobie tylko wiadomych powodów. Istniał jeden jedyny sposób, aby się z tego wyplątać i postanowił to zrobić. Musiał opisać prawdziwego mordercę, którego wizerunek ujrzał w konającym umyśle Dorgena. Gdy złapią tamtego mordercę, jego wypuszczą na wolność.

Przemówił po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Gdy znalazłem Dorgena, mógł jeszcze mówić. Opisał swojego zabójcę - to wysoki mężczyzna, miał okrągłą twarz, niewielkie czarne wąsy, czarne krzaczaste brwi, czarne włosy z wyraźnym jasnym pasmem. Owłosione dłonie i przedramiona, na lewym nadgarstku tatuaż.

- Dorgen powiedział to panu przed śmiercią? - spytał schludny brodaty mężczyzna.

- Przecież mówię - rzekł ze złością Wyvern. Na sto procent nie są w stanie wykryć tutaj obecności telepaty. Jego historia jest całkowicie przekonująca.

- To jest fragment opowiadania, który nas interesuje najbardziej - wycedził brodac. Bawił się obrączką na małym palcu prawej dłoni i przyglądał się twarzy Wyverna z intrygującym podnieceniem. - Wyjaśnijmy to. Twierdzi pan, że Dorgen faktycznie to panu opowiedział, słowami?

- Jak powiedziałem.

Cisza.

- A więc przemówił do pana?

- Umierając Dorgen rzekł: „To ja zamordowałem Naszego Ukochanego Przywódcę”.

Brodacz obszedł pokój dokładnie wymierzonymi krokami. Przesuwając paznokcie po grubej szybie kiwał głową i uśmiechał się sam do siebie.

Niepewność pchnęła Wyverna, aby dodać jeszcze jeden wydobyty z umysłu Dorgena wiarygodny szczegół.

- Wydaje mi się, że miał amerykański akcent.

- Hmm... Rozumiem. Amerykański akcent.

- Czy mogę teraz pójść? - spytał Wyvern. - Wiecie gdzie mnie szukać w razie potrzeby.

- To nie takie proste - oświadczył brodac. - Może pan sobie pogratulować: tworzy się historia, a pan ją obserwuje siedząc w pierwszym rzędzie.

- Fatalne miejsce.

Brodacz wyszedł bez słowa.

Praktycznie równocześnie zgasło światło w zewnętrznej celi. Jedynym źródłem światła była jasna żarówka na suficie. Oświetlała szklaną taflę tak mocno, że Wyvern nie był w stanie obserwować co się dzieje w pokoju. Raz wydało mu się, że ktoś wślizgnął się do celi i przygląda mu się z zewnątrz, ale nie był pewien.

Światło żarówki grzało go w głowę i kark, ścierpły mu nogi. Łudził się, że teraz policja przeczesuje Sektor w poszukiwaniu mordercy Dorgena i stąd to opóźnienie.

W końcu nie mieli żadnego powodu, aby podejrzewać go o zdolności telepatyczne. Gdyby to wyszło na jaw, byłoby z nim naprawdę kiepsko. Przypomniał sobie, co mówił Parrodyce o tym, że H planuje podłączyć innego telepatę do Big Berka: „To musiał być naj-

okropniejszy ból na świecie. Modłę się, żebym tak nie skończył!”

Gdyby **jednak** dowiedzieli się prawdy o Wyvernie, zadanie byłoby dziecinnie proste. Eksperymentalny komputer znajdował się zaledwie sto metrów stąd, w samym sercu Brytyjskiego Sektora!

Zamyślenie Wyverna przerwał zgrzyt otwieranej kraty. Do celi wepchnięto miskę skondensowanego mleka z kaszą. Zjadł i zapadł w sen, w którym rozpaczliwe fantazje Dorgena przeplatały się ze wspomnieniami własnego spokojnego dzieciństwa.

Ocknął się nagle, całkowicie przytomny. Błyskawicznie usiadł, serce skoczyło mu do gardła. Dwie niewyraźne sylwetki za szybą przeobraziły się w znajome postaci - obserwowali go Pułkownik H i jego sekretarz Bradley!

Miał wielką ochotę powiedzieć coś, nawiązać rozmowę, ale zwalczył tę pokusę i milczał zachodząc w głowę co za niesamowity splot wydarzeń przywiódł ich w to miejsce właśnie teraz. Sądził, iż nadal są na Ziemi.

Drobna twarz pułkownika H ściągnęła się w grymasie triumfu, jakby jego cały jad skoncentrował się w koniuszku nosa. Podszedł w końcu i przycisnął dłonie do szyby.

- Co powiedział panu Dorgen? - zapytał niesamowitym głosem.

- Powiedział mi, że to on zamordował Naszego Ukochanego Przywódcę - odrzekł Wyvern.

Cisza. Pułkownik H i Bradley wymienili spojrzenia.

- Ta część pańskiego zeznania interesuje nas najbardziej, panie Wyvern - wycedził sekretarz. - Nie chcemy żadnych nieudomówień. Twierdzi pan, że Dorgen rzeczywiście to panu powiedział - w słowach...

- Słyszeliście, co powiedziałem.

- Postuchajmy jeszcze raz, Wyvern. Dorgen przemówił do pana?

- Tak, mówiłem wam. Rozmawiałem z nim.

Kiedy H ponownie zabrał głos, jego słowa wypełniły duszę Wyverna przerażeniem; po raz pierwszy uświadomił sobie co oznaczał niesamowity uśmiech na twarzy Dorgena, uświadomił sobie że sam się zdradził i zgotował sobie straszliwy los.

- Jesteś telepatą, Wyvern! - krzyknął H. - Ta łajza - Dorgen - był **niemową**: dwadzieścia lat temu wycięto mu język!

* * *

- Nie wyglądasz na zrelaksowanego.

Głos Sinnikki dobiegł mnie z oddali.

Poderwałem się gwałtownie. Moja żona, owinięta kocem, stała nade mną z uśmiechem. Zwalilem się na fotel. Książka wyslizgnęła się z dłoni i spadła na dywan. Na sąsiednim krześle spoczywała, porządnie złożona, moja marynarka. Było mi zimno. Spojrzałem na zegarek - prawie siódma rano. Za oknami skrzyła się złota tafla jeziora.

Wstając z fotela uściśnałem żonę, a ona zarzuciła mi ręce na szyję. Staliśmy tak jakiś czas ciesząc się własną bliskością.

- Przemarzłeś. Zrobię kawę. O której wrócisz do domu? Nie słyszałam jak wchodzisz.

Mówiła beztroskim głosem przyglądając mi się badawczo. Włosy Sinnikki, chociaż tu i ówdzie przeplatane siwizną, nadal były ciemne i gęste. Jak zwykle rano, zebrała je z tyłu w kok. Miała szczupłą, owalną twarz i wąskie wargi. Widok jej twarzy nigdy mnie nie nużył. Oczy Sinnikki to mieszanina brązu i błękitu; otaczały je gęste rzęsy. Pieprzyk pod lewym okiem zawsze przykuwał moją uwagę jakby był trzecim okiem. Uważałem ten pieprzyk za oznakę piękna, a nawet wyróżnienie, jednakże w jakiś sposób nigdy nie pozwalał mi spojrzeć na Sinnikkę otwarcie i przenikliwie, toteż zagadka jej osobowości pozostanie dla mnie na zawsze nie rozwiązana.

Być z Sinnikką znaczyło być zawsze świadomym jej obecności. Nawet kiedy siedziała spokojnie, wydawało się iż coś się porusza; nawet kiedy miała zamknięte powieki, jej pieprzyk jakby wszystko obserwował. W domu często mówiliśmy po szwedzku – Sinnikka pochodziła ze starej szwedzko-fińskiej rodziny; w czym kryło się coś znacznie więcej niż tylko domieszka obłądu. Coś w jej zachowaniu przywodziło na myśl unikanie życia, bardziej - rzecz można - niesmak niż obawę. To nieuchwytnie przyzwyczajenie Sinnikki sprawiało mi radość, potęgowało moją opiekuńczość.

Przeszła sztywnym krokiem do kuchni.

- Jak dzisiaj?

- Nie najgorzej.

Jednak widziałem jak choroba daje się jej we znaki, jak przygina ją do ziemi niczym targane wiatrem pędy bluszczu.

- Jeśli czujesz się dość dobrze, Sinnikko, powinienem przedstawić cię Carol-Ann Crutchley Cracken.

Przystanąła w progu kuchni przytrzymując się klamki i badawczo zerknęła przez ramię dając w ten sposób do zrozumienia, że zauważyła coś pod kołdrą, ale wolała raczej poczekać niż poprosić o wytłumaczenie. Wyraz jej twarzy był jak zwykle nieodgadniony.

Kiedy opowiadałem w jaki sposób znalazłem martwą dziewczynę, słuchała nie komentując. Zakończyłem opowieść. Sinnikka podeszła pomału do łóżka, uniosła kołdrę i z kamiennym wyrazem twarzy spoglądała w oczy martwej dziewczyny.

- Po co ją tu przyniosłeś? To nasz koniec. Chyba że nasz przyjaciel na policji - mam na myśli Hakkennona - wpadnie tutaj i wszystko załatwi.

- Nic o tym nie wiem.

Poprawiając kołdrę Sinnikka spostrzegła książkę, która leżała tam gdzie ją upuściłem. Schyliła się z trudem i spojrzawszy przelotnie na tytuł, cisnęła książkę na łóżko.

- Zasługiwała na kulę w łeb, skoro czytywała taki chłam.

- Nie jest tak źle.

Moja obrona doprowadziła Sinnikkę do jednej z jej rzadkich, cichych furii. Jej wypowiedź była tak nie związana z tematem, że wyglądało jakby zwracała się nie do mnie - swego męża - ale kogoś zupełnie innego.

- Jestem przeciwna każdej formie sztuki, która dodaje otuchy i oszukuje. Hrabia Tołstoj to ostatni poza Francuzami pisarz zasługujący na szacunek. Rola książki ograniczyła się do czystej rozrywki. Podobnie symfonie nie mogą już zachwycić, naturalnie nie mam tu na myśli twojej „Pierwszej”, no i „Mannerheimowskiej”. Tylko w czasach Haydna i Beethovena symfonia faktycznie wzniosła się ponad przyjemną formę spędzania czasu; stąd być może w „Chorale” pobrzmiwają nuty prawdziwej tragedii. Poza tym - dno, Czajkowski i cała reszta. To całe pokrępowanie serc to bzdura i oszustwo.

Przechadzała się cały czas, jakby zapomniawszy o swoim artretyzmie, a może to on o niej zapomniawszy. Fakt, iż mówiła to osoba chora, dodawał jej słowom goryczy.

- Platon doskonale rozumiał powaby sztuki. Jeśli w ogóle sztuka ma istnieć, musi być taka jak my sami, jak nasze życie - bezlitosna i małostkowa. Sztuka powinna dążyć do wzbudzenia w ludziach dreszczu przerażenia, tak jak cmentarze nigdy nie powinny być przyjemnymi miejscami. Powinny raczej być miejscami, w których na wspomnienie tego, iż jesteśmy śmiertelnikami, zastyga krew w żyłach.

- Jesteś zawsze taka surowa, kochanie. I jak zwykle masz rację. Pragnę odczuwać to tak jak ty, chociaż jak ci wiadomo, znajduję pewien rodzaj... hm... **jowialności** w okropnościach tego świata, której ty, zdaje się, nie podzielasz. Tak czy inaczej, nie mam słów na obronę „Niesamowitego uśmiechu”. Po prostu to jest zabawne.

- Na to właśnie zwróciłam uwagę.

Jej pieprzyk spojrzał na mnie lodowato.

- Cóż., właściwie nie zabawne. Po prostu chciałem odpocząć...

- I zasnąłeś czytając książkę zamiast iść do łóżka... – przyjrzała mi się poważnie powstrzymując się od wyrzutów, na które najwyraźniej miała ochotę. Nigdy nie przeczytałaby żadnej niewybrednej szmiry. Dzieła krytyczne, nad którymi pracowała ponad dwa lata, traktowały o jakichś intelektualnych, francuskich powieściach modernistycznych z lat trzydziestych dwudziestego wieku.

- Przyniosę kawę, a potem opowiesz mi o koncercie. Jestem pewna, że był sukcesem, nieprawdaż?

- W drugim fragmencie partia wiolonczeli była zbyt piskliwa.

Sinnikka skinęła głową, odwróciła się i odsunawszy zasłonę zawieszoną na mosiężnym karniszu, poszła do kuchni.

Poszedłem do łazienki umyć twarz i wyszorować zęby. Trąc ręcznikiem twarz usłyszałem jak na podjazd domu wjeżdża furgonetka właściciela pobliskiego sklepu spożywczego i w podkoszulku wybiegłem przywitać się z dostawcą.

Toni przywiózł karton towarów, które Sinnikka zamówiła telefonicznie, ponadto torebkę koziego mleka, różne inne drobiazgi oraz gazetę. Podziękowałem i wniosłem wszystko do domu. Postawiłem karton z jedzeniem na bocznym stoliku i zabrałem się za przerzucanie stronicy gazety.

Kiedy Sinnikka wróciła z kuchni szeleszcząc długą suknią, zastała mnie wpatzonego w okno.

- Powiem ci jaki był koncert - powiedziałem siedząc tyłem. - Krytyk w „Tanaan” pisze, że obnażyłem całą moją słabość, te jazgotliwe pizzicata * i agresywne, ciężkie akordy - czymkolwiek mają być - nie stworzą symfonii. Tworzą natomiast koszmarne spędzony wieczór, w którym sentymentalny, płytki i nudny jak flaki z olejem drugi fragment symfonii był bardzo odległy od energicznego, gorącego militarizmu przypominającego Szostakowicza w jego najzwyczajniejszym socjalistyczno-realistycznym nastroju. Zostałem zakwalifikowany do kategorii kompozytorów Wszech-Rzeszy. I tak dalej, i tak dalej.

-Hm...

Ciężko było ukryć rozczarowanie. Sinnikka nie znosiła, gdy zaczynałem się rozklejać. Pieprzyk bez przerwy miał na mnie oko. Gdybym nie opuścił próby orkiestry w zeszłą sobotę, na pewno moja symfonia wypadłaby znacznie lepiej. Zabrałem kawę do sypialni i położyłem się. Sięgnąłem też po książkę Jaela Crackena...

5

Sfingowana bójka o blondynę

Księżyc powinien być idealnym miejscem do rozwoju reżimu Republiki Brytyjskiej: zarówno w krajobrazie jak i polityce dominowała jałowość i wrogi stosunek do kompromisów. Jedyne faktu, że czas obszedł się szorstko tak z okolicą, jak i polityką potrafił dodać im piękna; istniały dzięki zdarzeniom z przeszłości. Toteż i kolonia księżycowa i państwo policyjne wymagały bezustannego wysiłku, aby utrzymać stan równowagi.

Jednakże reżim nie przeżywał bujnego rozkwitu; hardy upór kolonii zderzał się z bezkompromisowym nieprzejednaniem państwa. Z Luną zawsze były problemy. Odnosiło się

* pizzicato (wł.) - szarpanie struny palcem na instrumentach smyczkowych (przyp. tłum.)

wrażenie, że powietrza wystarcza tu jedynie dla surowego prawa natury, i że na tych kamiennych kosmicznych wydmach polityka nie zapewnia mocnego oparcia dla stóp. Równocześnie ze śmiercią Naszego Ukochanego Przywódcy protesty przeciwko aktualnej władzy wybuchły na nowo. Pułkownik H przybył do Brytyjskiego Sektora, aby zdławić rozruchy.

Pułkownik błyskawicznie wykorzystał fakt, iż jest panem losu Wyverna. A to dlatego, że jeśli baza księżycowa - z Berkiem - Supermózgiem i jego możliwościami podboju militarnego - jest kluczem do przyszłości, to Wyvern daje pułkownikowi H władzę, aby zrobić z niego użytek. Wyvern to telepata. Poprzez umysł Wyverna Berk będzie dokonywał analiz oraz przyswoi sobie umiejętność czytania w umysłach wszystkich ludzi; a kiedy to nastąpi, pułkownika H nikt nigdy nie wysadzi z siodła.

- Zabrać go do BU-X! - rozkazał pułkownik H. - I bądźcie z nim ostrożni. Nie powtórzcie błędu, który popełniliście w przypadku Grisewooda.

Policjanci zabrali wierzgającego Wyverna.

- Dobra - rzekł pułkownik do sekretarza. - Teraz załatwcie z Imbrium, żebym jutro w telewizji punktualnie o czternastej wygłosił przemówienie jako Ukochany Przywódca. Spytaj czy ich zdaniem lepiej będzie o czternastej czy o trzynastej.

Energicznie pochylił się nad stertą raportów leżących na biurku. Wszystkie raporty były upstrzone brudnymi plamami i niezbyt czytelne. Importowane tureckie maszyny do pisania były do niczego pod każdym względem. Pułkownik zapisał w bloczku, aby zbadać możliwości zbudowania w Norwich fabryki maszyn do pisania. Potem ponownie zabrał się za papiery garbiąc się nad stosem dokumentów. Nie był stworzony do pracy za biurkiem.

Sekretarz Bradley wrócił od telefonu tłumiąc w sobie furję.

- Mają lekkie problemy z przeprowadzeniem Wyverna korytarzem - zameldował. - Powiedziałem im, żeby nic mu nie zrobili. To będzie robota dla ludzi z BU-X.

- Te ówki z administracji... - zaczął pułkownik H. Od czasu do czasu pułkownika denerwował przesadnie afektowany styl wypowiedzi podwładnego.

- Wróciłem bo muszę powiedzieć, że o czymś zapomnieliśmy - oświadczył krótko sekretarz. Nie lubił tych ataków na papierkową robotę żyjąc w przekonaniu, że ustawodawcy to niedocenieni poeci tego świata. - Chciałbym panu przypomnieć, że już raz mieliśmy Wyverna, w Norwich. To wtedy powinniśmy stwierdzić, że to telepata - po to oddaliśmy go Parrodyce'owi. Ten dżentelmen ma opinię nieomylnego, jak rozumiem. Czyż nie?

- Jezus Maria! - wrzasnął H i skoczył na równe nogi. - Bradley, ty masz rację! Naturalnie dawno już mi to przyszło na myśl.

H chwycił słuchawkę telefonu.

- Dawać mi tu migiem Parrodyce'a - warknął. - Na szczęście miałem na tyle rozumu, żeby zabrać tego faceta na Lunę - sapnął H. - O ile sobie przypominam, pan był temu przeciwny.

Sekretarz stał - elegancki i milczący - przyglądając się kantom własnych spodni. Doskonale zdawał sobie sprawę kiedy milczenie jest zachowaniem najmądrzejszym, a jednocześnie doprowadza człowieka do białej gorączki.

* * *

Nowa Policja prowadziła Wyverna dość szybko w dół korytarza, kiedy po przeciwległej stronie pojawił się Parrodyce. Gamoniowały Śledczy wyglądał na poruszonego. Wezwany do szefa ruszył natychmiast, ale idąc dygotał jak w febrze. Parrodyce miał wypieki, zaparowały mu okulary. Nagle spostrzegł Wyverna, a Wyvern jego.

Wyvern nie tak dawno przysięgał, iż nigdy więcej nie skomunikuje się z ludzkim umysłem. Integracja jaźni z Dorgenem przyprawiła go o parkosyzmy mdłości; skaziła jego organizm. Mimowolnie zaabsorbował w całości kłębowisko wspomnień konającego mężczyzny i

teraz były częścią niego w takim samym stopniu jak jego własne wspomnienia. Nie, nigdy więcej czegoś takiego. A najmniej ze wszystkiego Wyvern miał ochotę na połączenie jaźni z Parrodycem, doskonale wiedział, że ten umysł jest jeszcze bardziej chory od mózgu Dorgena.

Tak czy inaczej, rozpaczliwe okoliczności wszystko zmieniły. Trudno, pal sześć nudności - stawka jest zbyt wysoka. Nie wahał się. Ignorując otaczający go ciasny kordon policji, Wyvern nawiązał psychiczny kontakt z Parrodycem.

Wystarczyła jedna sekunda.

Ich myśli stały się jednością.

Wyvern: „Odkryli, że jestem telepatą. Wpadłem. To już koniec. Zabierają mnie do jakiegoś BU-X, czymkolwiek to jest”.

Parrodyce: „Boję się o własną skórę. Teraz jasne, dlaczego H i ten przydupas kazali mi przyjść. Koniec z moją tajemnicą, a jeśli nie - to pomyślą, że spieprzyłem sprawę. Tak czy siak: tortury, ból. Ból! Jezu! Może usuną mi dolną szczękę. Wykastrują...”

Wyvern: „Przestań! Słuchaj - moi strażnicy odbiorą większą część tego przekazu. Dotrze nawet do ich zakutych łbów”.

Parrodyce: „No to ja leżę. To twoja wina, Wyvern. Dlaczego nie zabiłem cię gdy byłeś w mojej mocy? Obu nas zabiorą do BU-X, zobaczysz. To tam podłączają ludzi do Berka - Mózgu. To są gorsze kanały nawet ode mnie i mojego asystenta Joe Rakistera. Nie odważę się pójść do H”.

Wyvern: „Parrodyce, przy lada okazji musisz zwiąć. Szybko przedostań się do innego sektora. Powiedz im co się szykuje, Big Berk musi zostać zniszczony, bo gdy pułkownik H doprowadzi swój plan do końca, wtedy będzie panem wszystkiego. Nikt i nic nie powstrzyma telepatycznego komputera. Teraz uciekaj”.

Parrodyce: „Muszę ratować własną skórę. Który sektor jest na tyle silny, żeby przeciwstawić się pułkownikowi?”

Wyvern: „Próbuj wszędzie - może być szwedzki. Najlepszy jest amerykański. W obliczu takiej groźby wszystkie sektory muszą się zjednoczyć, a jeśli będzie trzeba - wyeliminować”.

Parrodyce: „Zabić. Dobra”.

Wyvern: „Zanieś tylko wiadomość. Niech oni osądzą. No a teraz na miłość boską wyłoś się już, ty pokrako”.

Parrodyce: „Brzydę się tobą... Jak już byłeś wolny, mogłeś mnie zbadać, zobaczyć co jest nie tak. Jakiś cierń we wspomnieniu z dzieciństwa. Oh, Wyvern... boję się, boję...”

Wyvern: „Jak uciekniesz, nie będzie się czego bać. I słuchaj, gdzieś na Lunie jest dziewczyna - Eileen South. To telepatka, tyle wystarczy. Powiedz jej... Powiedz jej, że ją Kocham”.

Parrodyce: „Z kobietami to nie tak. Łagodnie, delikatnie...”

Wyvern: „Przekaż wiadomość. Zrób to, a przysięgam, że jeśli kiedykolwiek będę miał taką możliwość, przekopię się przez twój śmierdzący szlam i zrobię z tobą porządek, jeśli jeszcze się da”.

Parrodyce: „Miłość - nienawiść. Idę”.

Kontakt urwał się. Otyła postać w końcu odwróciła się i pobiegła z powrotem drzwiami, którymi wcześniej weszła. Jeden ze strażników, porządnie wystraszony, wymierzył Wyvernowi celny cios w szczękę.

Niepamięć to cała gama doznań. Sam wierzchołek uspiętego umysłu Wyverna wirował... wirował dopóty, dopóki wszystkie kolory nie wymieszały się w oślepiającą biel. Był daleko, bardzo daleko, ale jego serce wciąż biło, w żyłach nadal płynęła krew. Utajona świadomość Wyverna wznosiła się i opadała niczym mleko wrzące na nierównym płomieniu. W dolnych pokładach, dokąd sen nie dociera nigdy, panowała wzmożona czujność; tła się iskierka inteligencji wyczuwała, że zanoszą się na coś, co zagraża jej najgłębszemu, nie zagasa-

jącemu wewnętrznemu żarowi. To coś napływało z zewnątrz, skąd pochodziły wszystkie inne niebezpieczeństwa, ale wdzierało się w głąb równomiernie, zdradziecko, przebiegle i coraz bardziej zuchwale.

Niebezpieczeństwo pobłyskiwało chromowaną jasnością, potem zamieniło się w zdeformowaną dłoń, a może to były igły... Miało niewielki, żarłoczny pysk pijawki, a może końcówki wylotowe lub elektrody. Aby dotrzeć w upatrzone miejsce przyjmowało potrzebny kształt i wkrótce pradawna kraina padła pod naporem tego najeźdźcy o falujących formach, a wrogie ogniska zapłonęły we wszystkich podbitych obozowiskach.

Czas zwolnił bieg, stanął... I teraz ruszył w nowym rytmie. Nadszedł świt: Wyvern ocknął się.

* * *

Nie był w stanie nawet drgnąć. Patrzył na trawiastą ścianę usianą stokrotkami, a może było to zielone niebo z gwiazdami. Powoli, z dziecinną ostrożnością, kalekie mięśnie jego oczu skoncentrowały źrenice na jednym punkcie. Była nim upstrzona niewielkimi wskaźnikami ściana pełna przyrządów i mechanizmów. Znajdowała się od niego w odległości mniej więcej jednego metra. Przyswajał te fakty niczym nowo narodzone dziecko.

Zrobiono mu coś strasznego.

Horyzont widzenia Wyverna przecięli mężczyźni w białych kitlach. Nie zwrócili na niego większej uwagi koncentrując się na przyrządach. Nagle jeden z nich podszedł do Wyverna i wprowadził igłę - może w przedramię, a może w łydkę - tego Wyvern nie potrafił stwierdzić, czuł tylko wszechobecny chłód zdejmujący stopniowo wszystkie blokady z jego ciała.

Wyglądało na to, że zostawiono go w spokoju, obserwowały go jedynie ślepe oczy przyrządów. Wyvern stopniowo odzyskiwał władzę nad ciałem. Odkrył, że leży na brzuchu z poduszką pod lewym policzkiem. Niespiesznie przekręcił się na plecy i podźwignął się z wolna przy pomocy rąk, co powodowała niewielka grawitacja panująca na Lunie. Wysięk oszłomił Wyverna, mężczyzna usiadł z zamkniętymi oczyma. Miał zupełnie sucho w ustach. W końcu zdołał uchylić powieki.

Siedział na ogromnym stole w niewielkiej salce. Ktoś narzucił na niego koc, który teraz ześlizgnął się na bok. Wyvern był nagi, widział się dokładnie w lustrze na wprost stołu. Wpatrzył się we własne odbicie - nie był przerażony, gdyż jego podświadomość zaakceptowała już ten gwałt dokonany na jego osobie.

Z sześciu miejsc na klatce piersiowej oraz z dwóch na nogach wyprowadzono niewielkie końcówki z zaciskami. Od końcówek wiodły kable - a może to jakieś rurki? Przekonał się, że w podobny sposób potraktowano jego plecy.

Ogolono mu głowę. Z czaszki również wyprowadzono mocno osadzone w kości kable zakończone zaciskami. W czaszce tkwiło dwanaście końcówek, a płatanina kabli tworzyła z tyłu głowy Wyverna coś w rodzaju koszyka z drutu, jakby założoną odwrotnie maskę do fechtunku. Z drucianego koszyka prowadził warkocz kabli.

„Ktoś nieźle się naharował”, wymruczał Wyvern sam do siebie. Wymknęła mu się tylko ta jedna błaha myśl.

Pod łóżkiem stalowe ramie zakończone hakami łączyło wszystkie cienkie kable w jeden gruby. Gruby kabel ślizgał się po podłodze na wózku pełnym zaworów i szklanych cylindrów; na wózku umieszczono również pompę mozolnie poruszającą tłokami. Kabel, wyprowadzony po drugiej stronie wózka, łączył się z podstawą zielonej tablicy rozdzielczej.

Wyvern nie miał wątpliwości co to wszystko znaczy. Kontrolnie pociągnął kabel końcówki umieszczonej w lewym sutku i poczuł pod skórą labirynt metalowych połączeń niczym sieć naczyń włoskowatych. Jest cyborgiem. Częścią biomaszyny. Jego najgłębiej ukryty chromosom został wyselekcjonowany, wydobyty, i podłączony do terminala. Czuł go. Były to nie-

zwykle delikatne uczucia - swędzenie porów w skórze nogi, drganie żółci we wnętrznościach - rejestrowane przez mikrowzmacniacze i odczytywane na wskaźnikach. Pozwolił swoim myślom, aby płynęły tranzystorowymi układami scalonymi łącząc się w nowe struktury, tworząc nowe odczucia. Wzmocniła się zdolność myślenia. Wyvern był gotowy do podłączenia do Big Berka.

Położył się z westchnieniem.

Nad siódmym kręgiem wszczepiono mu pod skórę niewielkie plastikowe pudełeczko. Implant został telepatycznie przeanalizowany i Wyvern przekonał się, że jest to wzmacniacz nerwów potęgujący siłę mięśni kończyn.

Do pokoju weszli czterej mężczyźni. Wszyscy mieli na sobie białe fartuchy. Dwaj bardzo uważnie zbadali Wyverna, obmacali go całego, sprawdzili instrumenty, przeanalizowali wykresy na monitorach. Dwaj pozostali stanęli z boku wyglądając na raczej znudzonych i zaczęli rozmawiać. Wyverna dobiegły strzępy konwersacji.

- ...paskudnie pieprznięto na Dwudziestym Pierwszym ubiegłej nocy. Oberwało trzech naszych chłopaków.

- Mój kumpel Alfred był na dole. Pewnie poderwał jakąś francuską kurewkę...

Ten świat dla Wyverna przestał istnieć.

Badanie potrwało dobrą godzinę. Potem zadowoleni wyszli, a po dziesięciu minutach, nadymając policzki i udając ważniaków, wrócili w towarzystwie Bradleya - sekretarza pułkownika H.

Sekretarz zbliżył się do stołu i popatrzył z góry na Wyverna. Z punktu widzenia leżącego na stole Wyverna Bradley wyglądał mniej na autentycznego oficera, a bardziej na pospolitego bandytę - sugerował to charakterystyczny dla prostaków, głupawy wyraz ust.

- No i widzisz, zdołaliśmy cię podłączyć - wycedził drwiąco. - Jak się czujesz?

- Bradley, ty kretynie.

- Żałuję, że pułkownik nie mógł przyjść - rzekł Bradley. - Zamierzamy zaraz zaprząć komputer do roboty, niech cię podraży. Program jest gotowy. Wyniki powinny być gotowe późnym popołudniem, zaraz po tym jak Pułkownik zostanie oficjalnie ogłoszony Ukochanym Przywódcą.

- Nie obchodzi mnie to - powiedział kwaśno Wyvern.

- A powinno - dotyczy właśnie ciebie - oświadczył sekretarz, odwrócił się i jakiś czas rozmawiał ściszym głosem z ludźmi w bieli. Po chwili konsultacji jeden z mężczyzn opuścił pokój, po minucie wrócił i zameldował:

- Tak, wszyscy są w Centrali Komputera.

- Wybornie - ucieszył się sekretarz. - Zaraz włączajcie.

Wyvern sprężył się cały, niepewny czego ma się spodziewać. Obserwował pozostałych leżąc na swoim madejowym łożu. Nie licząc pewnych oznak napięcia, twarze naukowców pozostały nieruchome. „Z puszek Pandory wydostały się wszystkie wichry”, pomyślał Wyvern, a dziś najpotężniej wieje wichra nauki - nie zlagodzony ludzką dobrocią staje się lodowatym powiewem.

Pstryknęło kilka przełączników i nie umarł. Początkowo nie odczuł niczego, po chwili przez ciało przebiegła nieprzyjemna wibracja - fala, mrowie, symfonia - pracująca nad zaszyfrowaną harmoniką, której nie rozumiał. Wibracja przesuwiała się systematycznie przez ciało Wyverna, analizowała każdą komórkę, aż weszła do mózgu.

Wyverna ogłuszyło nieopisane uczucie otwierania się trylionów drzwi. W tej chwili przestał być Wyvernem, stracił własną tożsamość wessany w trzewia gigantycznego komputera. Rozpadł się na tysiące drobinek, jakby był wszystkimi gwiazdami galaktyki, jakby sam Bóg przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. I powrócił, scalony we właściwe komórki, z których ongiś powstał - ogromny, skomplikowany organizm udający zwykłą istotę ludzką.

Mężczyźni w białych kitlach spojrzeli niespokojnie na sekretarza pułkownika H, a

następnie odwrócili się do tablicy rozdzielczej. Bez słowa zaczęli sprawdzać przyrządy.

- O co chodzi? - rzucił ostro Bradley.

- Wysiadło zasilanie - odpowiedział tym samym tonem jeden z lekarzy. Naciskał klawisze. - Kompletnie nic.

Sekretarz energicznie zbliżył się do deski rozdzielczej.

- Chce pan powiedzieć, że... - zaczął.

- Tutaj wszystko jest w porządku - przerwał jeden z naukowców. - Nasze odczyty są w porządku. Berk przyjmuje dane, ale ich nie wysyła. Nie, to nie mogą być ci buntownicy... - zagryzł kciuk i wpatrzył się w podłogę. - To może być sabotażysta, który protestuje przeciwko etyce tego całego eksperymentu. Lepiej skontaktujmy się z inżynierami...

- Sprowadźcie ich tak szybko jak to tylko będzie możliwe - rozkazał sekretarz. W tym momencie zadzwonił telefon, sekretarz odebrał i rzucił parę szczekliwych uwag przeszywając wzrokiem ekran wideofonu.

- Cholerna niekompetencja - odłożył słuchawkę jakby wrzucał wroga do gniazda kobry.

- Dzwonili z Centrali Komputera. Twierdzą, że Berk sam się zablokował. Na razie nie wiedzą co o tym sądzić, ale pracują nad tym problemem. Póki co, nie wykryli żadnych usterek. Idę tam. Uważajcie, żeby ten Wyvern nie wykorkował.

Wyszedł.

Ludzie w białych fartuchach szybko zapalili papierosy. Spoglądali kąpiąco na Wyverna, aż w końcu dali mu zapalić.

- Dziękuję - szepnął Wyvern.

- Pal człowieku póki możesz.

- Chciałem powiedzieć: „Dzięki, że nadal macie mnie za człowieka”.

W duszy Wyverna na nowo zagościła pewność siebie. Jasne było, że komputer nie zamierza go zabić; musiał uczyć się od Wyverna, toteż istniało prawdopodobieństwo, że stoi po jego stronie. Okazało się, że wydobyta z Wyverna jego dawna wiedza, przemieszana, a następnie ułożona na nowo, teraz zawiera element, który Wyvern przeoczył. Kolejnym plusem było to, że nie byli w stanie wysunąć przeciw niemu żadnego zarzutu. Kiedy Berk skończy swoje zadanie, Wyvern będzie znowu wolnym człowiekiem - pod warunkiem, że zdoła się wywinąć od *party* w domu pułkownika H.

- Odpowiedzcie mi szczerze na proste pytanie - rzekł patrząc na jednego z techników. - Co według was zrobiłem, co uspokaja wasze sumienie, gdy przeprowadzacie na mnie te nieludzkie eksperymenty?

Spojrzeli na siebie.

- Myślisz, że nie wiemy coś ty za jeden? - odparował jakiś naukowiec. - Cały sektor wie o tobie!

- Co takiego wie o mnie? - zdziwił się Wyvern.

W odpowiedzi jeden z mężczyzn wydobył z kieszeni egzemplarz „Przeglądu Księżycowego”. Najnowsze wydanie. Widniało tam zdjęcie Wyverna oraz nagłówek:

MORDERCA - EX WYKŁADOWCA TEORII KLUCZOWOŚCI

NIEMOWA PCHNIĘTY SZTYLETEM W TRAKCIE

BIJATYKI O BLONDYNĘ

Zanim odstrzelę Ci stopę

Teraz w pokoju został jedynie strażnik. Strażnik William sam siebie nazywał „męską pielęgniarką”. William był słoniowaty, bardzo młody i miał bladą, ziemistą cerę. Przyszedł na świat na Księżycu, jego ojciec mieszkał z jakąś Japonką i hodował gigantyczne jadalne grzyby na Planetach Zodiakalnych. Matka Williama pracowała w fabryce barwników w Imbrium. Strażnik miał trzy siostry - Catrionę, Joyce i Joy - wszystkie zamężne, oprócz Joy, która zaręczyła się z pewnym żołnierzem.

Tego wszystkiego Wyvern dowiedział się gdy tylko William pojawił się w celi. Teraz potężne chłopisko usadowiło się na krześle obok łóżka i zaczęło na pożyczonym od Joy, kieszonkowym zestawie wideo, oglądać trzecią część czteroodcinkowego serialu zatytułowanego „Czy można zatuszować romans?”

Wyvern położył się na plecach, zadowolony że ma trochę czasu, aby zebrać myśli. Tak wiele się wydarzyło... Stwierdził ze zdumieniem, że nadal jest cały i zdrowy; dało mu to nadzieję, na którą po części składał się fakt, iż poznał tożsamość mordercy Dorgena.

W trakcie rozstrajających i wywołujących niepokój okresów mentalnej jedności z Parrodycem i Dorgenem, w umysł Wyverna wsącżyło się wiele odczuć i impresji. Na razie nie przykładał do nich większej wagi i dał sobie spokój z późniejszym ich sortowaniem - większość tych odczuć była zdecydowanie nieciekawa i niesamowicie pogmatwana, jednakże kryła w sobie pewne informacje. Natknąwszy się na fragment o tym jak wycięto Dorgenowi język, Wyvern przeprowadził wszechstronną analizę danych. Istniały jednakże takie pokłady pamięci, myśli i uczuć, którymi Wyvern nie zamierzał w ogóle zaprzętać sobie głowy.

Big Berk przed tajemniczą awarią dokonał właśnie takiego odkrycia, odsunął jedną z zasłon. Nastąpiło idealne zjednoczenie i ten właśnie precyzyjny proces mógł być odpowiedzialny za zmianę całej struktury organizacji mózgu Wyverna. Mózg umieścił obok siebie dwa istotne fakty: mentalny obraz zabójcy Dorgena i mentalny obraz asystenta Parrodyce'a. Dwa wizerunki przemieszały się i połączyły w jeden: asystent Parrodyce'a to zabójca Dorgena.

Dlaczego? - pytał sam siebie Wyvern. Dlaczego? W jaki sposób? Jednakże prawda spoczywała niezaprzeczalnie w głębi jego umysłu czekając na ujawnienie niczym klisza filmowa leżąca na dnie ciemnej szuflady i czekająca na wywołanie. Wyvern zdołał nawet dopasować do portretów nazwisko. Joe Rakister. Pomimo, że nazwiska nigdy bezpośrednio nie sformułowano podczas procesu zjednoczenia jaźni, twarz i nazwisko składały się na jeden symbol. Joe Rakister.

Gdyby tylko Wyvern zdołał poinformować o tym jakieś bezstronne władze, zostałby oczyszczony z fałszywego zarzutu, w który wrobił go pułkownik H. Mógłby wydostać się z Sektora. Nagle Wyvern zatęsknił za dawnym wolnym, prostym życiem.

Zsunął nogi ze stołu.

- Hej tam, miałeś leżeć - rzekł William zerkając znad kieszonkowego telewizorka.
- Złapał mnie skurcz w nodze. Pozwól mi przejść parę kroków.
- Ta maszyna ma zajmować się twoimi skurczami.
- Drogi Williamie, nauka nie odkryła jeszcze antidotum na mrowienie w nogach. Oglądaj sobie, przecież nie zajdę daleko.

William chrząknął bez przekonania i powrócił do swojego love story. Wyvern przekonał się, że jego nogi są o niebo silniejsze niż się tego spodziewał; wózek rzeczywiście doskonale się o niego troszczył. Powoli przeszedł parę kroków w kierunku wózka. Pojękując i

symulując osłabienie powłókł za sobą kabel. Siedząc już na wózku krzyknął:

- William, ja chyba zemdleję!

Potężny strażnik zerwał się na równe nogi. Wyvern zgiął się w pół i gwałtownie wyszarpnął wtyczkę z gniazdka u podstawy wózka. Tak uzbrojony zakręcił kablem nad głową. Masywna wtyczka potężnie huknęła Williama w okolicę ucha. Strażnik osunął się na kolana i runął na wózek, a Wyvern błyskawicznie chwycił butelkę z moczem i dzielił nią Williama w głowę.

Przez chwilę Wyvern zastanawiał się czy, odłączony od Big Berka, zdoła w ogóle przeżyć. Mimo że serce waliło mu jak oszalałe, czuł się całkiem dobrze. Fatalnie wyglądało tylko odbicie jego czaszki w lustrze na suficie. Zabrał się ostro do roboty.

Przywdział należący do Williama biały fartuch i szpitalne portki. Zdarł z pielęgniarka koszulę i skrępował mu ręce na plecach. Wetknął olbrzymowi w usta miniaturowy magnetowid z love story „Czy można zatuszować romans?” Na wózku leżała rolka plastra. Unieruchomił urządzenie w ustach Williama pomagając sobie kilkoma kawałkami plastra. Na wszelki wypadek okręcił kilkakrotnie plaster nadgarstki i dłonie strażnika.

Efekt nie był może dziełem sztuki, ale plaster powinien na jakiś czas wystarczyć.

- Twardy orzech do zgryzienia, no nie? - zwrócił się dobrodusznie do Williama.

Wyvern zebrał zwisające kable prowadzące od przyssawek na jego ciele, wcisnął cały kłęb do kieszeni, a następnie ruszył w stronę korytarza. Panowała cisza i absolutna ciemność. Z ledwością zauważył dwoje drzwi na obu końcach korytarza. Pełen obaw otworzył pierwsze.

Znalazł się w typowej szpitalnej, pozbawionej okien łaźni połączonej z ubikacją. „Prawdopodobnie ze dwa kilometry pod ziemią”, pomyślał z ciężkim sercem. Jedyne otworami prowadzącymi na zewnątrz, nie licząc muszli klozetowych, była niewielka krata wentylatora i potężny zsyp na odpadki. Wyvern odchylił klapę zsypu, który - zatkany mnóstwem pokrwa-wionych bandaży, gazet, pustych kartonów po papierosach i innymi śmieciami - najwyraźniej nie działał zbyt dobrze. Wzrok Wyverna zatrzymał się na ziemistym, zszarzałym ludzkim palcu. „Pocziwy, stary Grisewood”, pomyślał ponuro, „A może to był Grimshaw...?”

Wrócił na korytarz, zerknął na wybałuszającego oczy Williama i ruszył w stronę dalszych drzwi.

Z lewej strony wiodły w górę schody przeciwpożarowe, na wprost znajdowały się kolejne drzwi. Z łatwością, którą należało przypisać niewielkiej grawitacji, zaczął wspinać się po schodach.

Podłogę rozjaśniał neonowy blask świetlówek. Kondygnacja wyglądała jak część normalnego szpitala. Ktoś gdzieś prowadził rozmowę.

Wyvern ujrzał szereg identycznych, niezbyt zachęcających, zamkniętych drzwi. Na jednych widniała tabliczka „Służbowe”. Poczul jak narasta w nim panika; jedno jest pewne - w tak złowrogim miejscu zabawa w chowanego szybko człowieka wykańczała.

Jego atutem jest przynajmniej element zaskoczenia, który - zważywszy na maszynię doczepioną do czaszki - ma niemałe znaczenie. Naparł na drzwi oznaczone tabliczką „Służbowe” zdecydowany powalić na ziemię każdego, kto znajduje się po drugiej stronie.

Pusto. Biuro kierownika. Sympatyczne, białe mebelki, plastikowe kwiaty, portret Jima Bulla. Zdjęcie Sheffield. Cicho buczy odświeżacz powietrza. Atrapa okna z widokiem kana-dyjskiej części Gór Skalistych.

„Lekkie rozczarowanie”, pomyślał Wyvern. Zauważył kolejne drzwi i otworzył je sądząc, że znajdzie za nimi szafę.

Starsza pani upuściła filiżankę herbaty i podniosła przeraźliwy wrzask. Dłoń Wyverna błyskawicznie zasłoniła jej usta.

- Jeszcze raz pani piśnie, a przysięgam że skręcę kark - skłamał gładko. „Co teraz?”, zapytał sam siebie, „Powiniennem być zabrać z dołu ten przekłety plaster”.

- Ma pani jakiś plaster? - spytał nerwowo.

Zrobiła znaczącą minę i wywróciła oczami. Wyvern odsunął nieco dłoń.

- Co to miało znaczyć?

- Chciałam tylko spytać czy pan się skaleczył - wyszeptwała nieśmiało.

- Pal to sześć! Gdzie plaster?

- Tam, w tamtym pokoju. To magazyn, taki regał z lekarstwami... no wie pan. Tam znajdzie pan jakiś plaster.

Wyvern nie zamierzał ryzykować i jeszcze raz wychodzić na korytarz.

- Jak można się stąd wydostać? - rzucił pospiesznie.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek!

- Cóż... jeśli skręci pan w prawo, a potem pójdzie korytarzem, to natknie się pan na pielęgniarki.

- A w lewo? - ponaglił.

- Tam jest wejście boczne.

- Które drzwi?

- Ostatnie... nie, przedostatnie po prawej.

- Dzięki - rzekł Wyvern. - A teraz chodźmy po ten plaster.

Wepchnął starszą panią w drugie drzwi, odczekał chwilę, żeby wyjrzeć na zewnątrz i mocniej przycisnął dłoń do ust kobiety. Wypchnął ją na korytarz i otworzył drzwi tego, co dama opisała jako skład lekarstw.

W pakamerze siedziały trzy kobiety. „Babcia jest nie w ciemną bita”, pomyślał Wyvern przeklinając bystrość staruszki.

Wciągnął ją do pokoju, zatrzaskał drzwi i popędził korytarzem. Wściekły miał tylko nadzieję, że nie nakłamała o wejściu dla pracowników.

Nakłamała. Wejście dla pracowników okazało się obskurną poczekalnią. Znowu ani jednego okna.

Sprawił następne drzwi. Z korytarza dochodziły jakieś krzyki i Wyvern wypadł na zewnątrz wywijając swoją jedyną bronią, czyli kablem.

Znalazł się w ciemnym, bocznym holu z brudną klatką schodową i dwójgim drzwi. Przez matową szybę drzwi zauważył rozmazany kontur czyjejś postaci. Usłyszał jak ktoś zbliża się do drugich drzwi; na kafelkach podłogi zazgrzytały podkute buty. Na szczycie schodów pojawiły się dwie pary nóg.

Było już za późno, żeby błyskawicznie wycofać się na korytarz - kobiety bez wątpienia wezwały posiłki. Wyvern znalazł się w ślepych zaułku!

W ostatniej chwili zauważył schowek pod schodami i natychmiast wślizgnął się za drzwiczki. Siedząc w środku rozpoznał głos jednego ze schodzących po schodach mężczyzn: to pułkownik H. Sądząc po głosie Pułkownik znajdował się na granicy furii.

Wyvern siedział skulony w swojej niebezpiecznej kryjówce w towarzystwie mioteł, szczotek i odkurzaczy. Obijał się o nie parokrotnie, ale hałas nie dobiegł niczyich uszu - przesładowcy dotarli już do bocznego holu i zderzyli się z dwoma mężczyznami, którzy weszli drugimi drzwiami. Wszystkie pracownice nagle się rozszczebiotały, obłąkańczo usiłując wyjaśnić co się stało, podczas gdy mężczyźni starali się zapanować nad sytuacją. Nagle zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszystkie głosy zamilkły uciszone wściekłym rykiem pułkownika H, w jednej chwili gniew pułkownika rozproszył je jak pyłki na wietrze. Gdzieś daleko rozbrzmiewało wycie syreny alarmując ponagłajaco, że właśnie rozpoczęły się zorganizowane poszukiwania.

Pułkownik H oraz jego towarzysze zeszli do pustego hallu. Przez cienkie przepierzenie Wyvern słyszał każde słowo.

- Widzi pan co się dzieje - oświadczył H. - Na nikim nie można polegać. Musimy przeprowadzić reorganizację całej struktury od początku do końca. Skoro już jestem Przywódcą...

- Nie mamy czasu - odrzekł drugi głos. To Bradley, przepełniony staropanieńskim poirytowaniem. - Po kryzysie owszem, jak najbardziej. Ale przecież nie można zmieniać koni na środku strumienia.

- Za dużo pan pyskuje! - wydarł się H. - Jak w przyszłości będę potrzebował pańskiej rady, to pana spytam. A póki co straciliśmy Wyverna...

- Nie - odrzekł sekretarz. - Nie straciliśmy. Musi być gdzieś w budynku.

- Lepiej niech będzie!

- Osobiście podziwiam Wyverna; w ubiegłym stuleciu zyskałby miano omnibusa. Ale - wycedził lodowatym głosem sekretarz - zesliśmy z właściwego tematu, którym jest kwestia pozbycia się Parrodyce'a i jego asystenta, Rakistera.

- W jaki sposób mamy się ich pozbyć, skoro żadnego z nich nie mamy w garści?

- To tylko kwestia czasu.

- Czasu! Czasu! - rozwrzeszczał się pułkownik. - To nie tylko kwestia czasu - zbyt wielu wywrotowców, tych tak zwanych Demokratów, wkradło się w szeregi armii! Trzeba przeprowadzić reorganizację. Musi nastąpić czystka. Bull zrobił tak gdy doszedł do władzy.

Błyskawicznie zapanował nad sobą i powiedział spokojniejszym tonem:

- Proszę wydać rozkazy. Kto ich zobaczy, niech natychmiast strzela. Parrodyce jest zdrajcą,

- Rakister nie jest - rzekł sekretarz.

- To dlaczego nie zdał nam raportu po skończonej pracy? Mówiłem dawno temu: nie należy wierzyć facetom, którzy wolą nóż od rewolweru. To neurotyk. Tak czy inaczej, za dużo wie o Dorgenie. Musi zniknąć.

Rozmowa stała się niewyraźna. Przeszli w głąb korytarza, a potem Wyvern usłyszał trzask drzwi. Nie mógł tu zostać: z pewnością rozpoczęto przeczesywanie budynku. Pozostało jedno jedyne wyjście.

Wyszedł ze schowka i pobiegł na górę schodami, którymi wcześniej zeszli pułkownik H i jego sekretarz. Dotarłszy na pierwsze półpiętro usłyszał jak ktoś otwiera drzwi na kondygnacji, z której przed chwilą uciekł. Na półpiętrze ujrzał dwuskrzydłowe drzwi. Szarpnął dwukrotnie za klamkę - zamknięte. Miękkimi susami popędził na górę.

Klatka schodowa kończyła się oszklonymi drzwiami. Również zamknięte. Cały gmach pod Wyvernem wydrążono w litej, księżycowej skale. Wyglądając przez szybę zorientował się, że znajduje się na wysokości bazy. Na niewielkim placyku czekał helikopter. Niewątpliwie tędy wchodziły do szpitala same grube ryby.

Potężne drzwi ze zbrojonego szkła ani drgnęły. Wyvern bezsensownie natarł na nie ciałem. Na schodach rozległ się odgłos czyichś cichych, szybkich kroków.

Wyvern zrezygnował z pozorów i palnął w szybę wtyczką od kabla. Bez efektu. Cały czas wściekle okładał szybę kablem, gdy z tyłu dobiegł go czyjś głos:

- Żeby to wywalić, będzie ci potrzebny dynamit, Wyvern.

Wyvern odwrócił się i jego spojrzenie zetknęło się z lufą rewolweru Bradley'a.

Nastąpiła długa, wymowna cisza. Wyvern upuścił kabel.

- Nagle naszła mnie ta myśl, rozumiesz - wyjaśnił sekretarz. - Zostawiłem pułkownika, żeby się wykrzyczał i czym prędzej wróciłem tą samą trasą. Pomyślałem sobie, że być może jakoś prześlizgnąłeś się obok nas. Złaz na dół, tu gdzie jest twoje miejsce.

- Posłuchaj, Bradley - zaczął Wyvern. - Nie jesteś stworzony do tego wszystkiego. Moje zdolności telepatyczne to nadzieja na lepszą przyszłość. Tak czy inaczej, reżim nie ma szans, więc dlaczego nie mógłbyś mi pomóc wydostać się stąd? Masz chyba dość oleju w głowie, żeby wyczuć swąd.

- Zdumiewająca odezwa, zdumiewająca i pozbawiona logiki - skomentował sekretarz. - Jakież bogactwo argumentów: konieczność, moralność... coś co zabrzmiało podejrzenie - jakby nawiązanie do starych, szkolnych więzi. Wyvern, wyobrażanie sobie, że inteligencja i

moralność to jedno świadczy o zatrważającej naiwności. W wolnym czasie poczytaj sobie *Der Wille zur Macht* Nietzschego. Teraz wracaj na swoją leżankę.

- H zastrzelił cię jak psa zanim zdążysz policzyć do trzech - wykrzyknął Wyvern. - Ma większe pojęcie o Nietzschem od ciebie.

- Nie bardzo. Jest po prostu wellsowskim typem liberała starej daty, facetem który dorwał się do złobu. Reaguje w zdecydowany sposób na pewne okoliczności, ale nie ma na niego wpływu. Tak naprawdę będzie miał na Nietzschego tyle samo czasu co ty. Ale czy jesteś telepatą, czy też nie, jesteś ostatnim ze starej szlachty tego kraju, Wyvern. A ja - jedynym prawdziwym typem faszysty przyszłości. Świat będzie należał do mnie, Wyvern. Przekonasz się, o ile dożyjesz.

- Bradley, na miłość boską, nie myśl takimi bałamutnymi kategoriami. H tak nie myśli, uważa cię za marnego naciągacza - i ma rację.

- Nie mydl mi tu oczu, chłoptasiu - zbyt prymitywny fortel, a i tak gówno prawda. Cóż, faktycznie, H jest nieco chamowaty, to prostak. Ale pozostań mu wiernym, a odplaci ci tym samym. Nie powiem, żeby rozumiał ten typ idealizmu... Teraz na dół.

- Słuchaj no...

- Zejdź na dół zanim odstrzelę ci stopę. Nie rozumiesz gdy grzecznie proszę?

Cóż robić. Wyvern zaczął iść i nagle stanął jak wryty; wstrząsnęło nim coś niezwyklego, coś niezmiernie dziwnego. Nieomal natychmiast, intuicyjnie, zorientował się co się dzieje: Berk znowu działał.

Sekretarz wystrzelił desperacko, mierząc w nogi więźnia. Za późno. Postać Wyverna rozmyła się, poszarzała i zniknęła.

Kula odbiła się rykoszetem i ponuro zagwizdała spadając w dół klatki schodowej.

7

Minimum krawieckiej elegancji

Z pomarańczowych okien baru „Single Z” rozciągał się wspaniały widok na jedną ze śluz powietrznych Sektora - Trafalgar Gate. Gdy się kupiło drinka, to nie mając nic lepszego do roboty, można było siedzieć cały dzień i obserwować pojazdy wjeżdżające i wyjeżdżające z wielkiej kopuły. Eugene Parrodyce ukrył się w kącie i, głęboko zamyślony, wyglądał przez okno.

Na zewnątrz roiło się od żołnierzy. Poprzedniego dnia zorganizowano demonstrację, ktoś rzucił chałupniczo sfabrykowaną bombę. Teraz przed bramą wjazdową stał lekki czołg, a szeregi zwykłej straży zasilili, uzbrojeni w pistolety gazowe i miotacze ognia, funkcjonariusze Nowej Policji oraz żandarmi z policji wojskowej.

Przypominające plaster miodu szkło kopuły zaczynało się cztery i pół metra nad ziemią i spoczywało na konstrukcji ze zbrojonej stali. Na całą bramę składało się troje dwuskrzydłowych drzwi: dwoje drzwi szerokich i wysokich na całe cztery i pół metra – do przewozu ładunków, i jedno mniejsze - dla personelu. Był jeszcze pokój dla obsługi, skąd prowadziły drzwi na zewnątrz kopuły.

Nieliczne bluszczowate rośliny, które rosły tu i ówdzie na terenie Trafalgar Gate, nie zdołały zatuszować ubóstwa wojskowego sposobu myślenia, który zdominował cały Sektor Brytyjski.

Za tymi wszystkimi drzwiami rozciągał się podzielony na szereg boksów, ogromny

hangar P & O - Przyłotów i Odłotów. W skład kompleksu wchodziły: poczta wojskowa, biuro celne, sekcja bezcłowa, pomieszczenia odkażania, prysznice, punkty pierwszej pomocy, izolacja, straż pożarna i baza serwisowa, a ponadto tory jezdne, które kończyły się przy podwójnych śluzach powietrznych prowadzących na powierzchnię Księżycy. W P & O pracowały grupy kobiet i mężczyzn, toteż przez Trafalgar Gate w obie strony stale przechodziło mnóstwo ludzi niezależnie od tego, czy akurat jakieś statki kosmiczne znajdowały się na rampie na zewnątrz.

Parrodyce wiedział, że oprócz śluz powietrznych na końcu hangaru, istnieją również boczne śluzy awaryjne. Ta wiadomość była dla niego bezużyteczna. Nie miał pojęcia gdzie dokładnie znajdują się śluzy, nie miał skafandra kosmicznego, a ponadto nie mógł wejść do hangaru bez czterech specjalnych przepustek. Na domiar złego do fotela przykuwały go strach i niezdecydowanie.

W głębi serca winą za to wszystko obarczał Wyverna. To wszystko przez niego. Teraz Parrodyce stał się żalonym uciekinierem. Jedyńm plusem było to, że prawdopodobnie nikt nie doniesie na Parrodyce'a znienawidzonej policji gdyby ta go rozpoznała; a sama policja ma teraz ważniejsze sprawy na głowie. Parrodyce z żalem wspomniął swój przytulny, mały pokój przesłuchań głęboko pod koszarami Norwich; pomyślał o nieśmiałym uczuciu przyjaźni jakie żywił do swojego asystenta Rakistera, póki sympatyczny olbrzym nie zniknął.

Teraz winien tego wszystkiego, Conrad Wyvern, jest prawdopodobnie podłączony do Big Berka. Parrodyce zamarzył o tym samym. Tęsknie wyobraził sobie potężną postać matki, która wzięłaby go pod swoje skrzydła, poznała wszystkie tajemnice. Potem, przypomniawszy sobie jak ogromny ból wiąże się z tym procesem, Parrodyce powrócił do wyglądania przez okno.

Ze stojącym przy Trafalgar Gate strażnikiem handryczyło się sześcioro Turków. Do Brytyjskiego Sektora przyjechało siedmioro muzyków, ale cytrzysta został śmiertelnie zraniony w przeddzień rozruchów. W ramach protestu reszta grupy postanowiła wynieść się z Sektora. Oprócz furgonetki wypełnionej po brzegi dobytkiem, mieli ze sobą żony oraz instrumenty razem ze skrzydłami. Wszyscy przekrzykiwali się chóralnie popierając swojego szefa, Fezzi Fortę, który wygłaszał przemówienie do dowódcy straży.

Wyglądało na to, że celnicy chcą zajrzeć do trumny, w której spoczywał zmarły muzyk, opuszczający Sektor wraz z pozostałymi członkami zespołu. Celnicy myśleli prawdopodobnie, że w przyozdobionej kirem skrzyni znajduje się raczej kontrabanda, niż zmarły Turek. Parrodyce był skłonny zgodzić się z nimi. Turcy przerażali bojaźliwego Parrodyce'a, jako że byli pełni życia, hałaśliwi i skłonni do burd.

Parrodyce zaczynał odczuwać skromną satysfakcję obserwując wydarzenia przy bramie, gdy nagle przy stoliku pojawił się kelner.

- Jeden pan na gorze chce widzieć się z panem – oznajmił przeszywając Parrodyce'a chłodnym spojrzeniem.

Ciecz w pęcherzu Parrodyce'a błyskawicznie zamieniła się w bryłę lodu.

- Ja się nazywa? - spytał Parrodyce. - Czego chce?

- Nie powiedział, psze pana. A ja naturalnie nie pytałem - dodał szczerze kelner. - Ale powiedział, żeby pan przyszedł na górę, bo to sprawa życia i śmierci.

Parrodyce odczuwał awersję do słowa „śmierć”, ale podniósł się od stolika nieomal z uczuciem ulgi - nareszcie ktoś przejął inicjatywę.

- Gdzie on jest? - spytał. - Jak wygląda?

- Prosto na górę schodami. Pokój 3. Taki facet... grubo ciosany prostak... no, łachudra.

- Łachudra? Co pan ma na myśli?

Kelner wyglądał na zakłopotanego.

- Cóż, proszę pana, może powinienem był ująć to w ten sposób: poziom jego krawieckiej elegancji zbliża się do zera. Mógłby ponadto podczas golenia stanąć nieco bliżej brzy-

twy, no i... woda kolońska chyba została po prostu wyeliminowana z jego toalety. Nie wyglądało na to, żeby był posiadaczem grzebienia. Krótko mówiąc, proszę pana, na pierwszy rzut oka - łachudra.

Kelner stanowczo pokazał palcem.

- Pokój 3, tak? - rzucił Parrodyce.

Poszedł na górę. Wyglądało na to, że nie ma wyjścia. Jeśli Nowa Policja chciała go aresztować, dlaczego nie uczyniła tego tak jak zwykle - na oczach wszystkich - a nie w jakiś pokretny sposób? Jeśli to nie policja, niewykluczone że to ktoś, kto mógłby zaoferować mu pomoc.

Na górze ze ścian sypał się tani, księżycowy tynk. W mroku cuchnęło stęchłym piwem i czyimiś spodniami. Drzwi do pokoju numer 3 były otwarte. Parrodyce wszedł ostrożnie do środka. W mgnieniu oka schwyciła go czyjaś silna dłoń i został ciśnięty na sofę. Nieznajomy przeszkapał go, a następnie cofnął się i obrzucił badawczym wzrokiem.

Był to Joe Rakister, dawny asystent Parrodyce'a.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że będziesz takim kretynem! Żeby wejść w ten sposób! - wrzasnął Rakister. - Wiedziałeś, że jestem tu na górze - skąd się tu do cholery wzięłeś? A może jest ktoś jeszcze? W takim razie kiepsko trafiliście, bo za moment zwiewamy bocznym wyjściem.

„Coś tu nie gra”, pomyślał Parrodyce. Wbił tępy wzrok w swojego byłego asystenta. Mężczyzna wyglądał strasznie: był brudny jak świnia, nie ogolony i najwyraźniej od jakiegoś czasu nie spał. Miał na sobie workowaty uniform z kapturem, który przykrywał jego rozczochraną głowę. Kelner miał rację: łachudra.

- Jestem sprytniejszy od was wszystkich, kapujesz? - wyjaśnił Rakister. - Grzecznie wam potakiwałem. Gdy wykończyłem Dorgena, usłyszałem jak ktoś wchodzi do ziemskiego sklepu i pomyślałem sobie: „Pułkownik dorwie cię za to, mój chłopcze!” I wtedy zdałem sobie sprawę, że tak czy inaczej zamierza się mnie pozbyć.

Przerwał i zerknął na Parrodyce'a jakby w oczekiwaniu na pomoc. Parrodyce siedział na sofie z zaciśniętymi dłońmi usiłując opanować drżenie górnej wargi. Nie wyrzekł ani słowa. Rakister ciągnął dalej patrząc groźnie spode łba:

- Szukali frajera. Poszedłbym po nagrodę i tyle by mnie widziano. Z jakiegoś powodu pułkownikowi zależało na tym, żeby Dorgena wyeliminować bez rozgłosu; ale tajemnica pozostałaby tajemnicą tylko po mojej śmierci. Och, Parrodyce, wszystko sobie wykombinowałem, wszystko.

- Bardzo sprytnie, Joe - rzekł Parrodyce.

- Oglądałem przekazy telewizyjne. Wiem, że winę zwalili na tego biedaka Wyverna. Ale to tylko przykrywka. Chcą uspić moją czujność, żebym poczuł się bezpieczniej i wyszedł z kryjówki. Nie dam się nabrać. A teraz ciebie przysłali. Masz mnie namówić, żebym wrócił, prawda?

A więc Rakister nie wiedział, że Parrodyce też się ukrywa. No bo niby skąd? Parrodyce znów poczuł się raźniej.

- Cóż... - zaczął Parrodyce. - Masz ochotę na drinka?

- Oh, nie próbuj zaprzeczać. Nic nie mam do ciebie, Parrodyce, byłeś dobrym szefem. Ale teraz jesteś tutaj, chcesz mi pomóc. Z twoją pomocą mógłbym przeprowadzić mój skromny plan. Wyjdziemy przez Trafalgar Square, kapujesz? Wydostanę się z sektora i jeśli mi się uda, to wracam na Ziemię.

Iskierka nadziei przerodziła się w uczucie triumfu, które zatykało Parrodyce'owi dech w piersiach. Rakister nie był aż tak cwany, jak mu się to wydawało.

- Jak już będziemy wolni, możesz robić co ci się żywnie podoba - ciągnął Rakister. - Jeśli będziesz współpracował, włos ci z głowy nie spadnie. Ale jeśli nie będziesz, zabiję cię jak psa. Kapujesz?

- Przecież wiesz, że nie jestem głupi, Joe. Widzę, że jesteś zdesperowany. Wyglądasz, że tak powiem, jak fleja. Ale zastanawiam się czy kiedykolwiek, tak często jak ja, rozmyślałeś o życiu w kategoriach abstrakcyjnych? Ty nie masz dokąd uciec, a to dlatego że jesteś spętany ograniczonym kodem zachowania, starymi parametrami naszej schyłkowej kultury, stąd dla ciebie żaden nowy sposób myślenia nie istnieje, Joe. Innymi słowy, na zawsze tkwisz w pułapce.

Rakister, który już wcześniej słyszał jak z ust jego szefa płynie tego rodzaju intelektualny bełkot, pacnął tylko Parrodyce'a w głowę i rzucił:

- Ruszajmy się. W nogi!

- Jesteś żywą ilustracją mojej teorii. Nie jesteś w stanie podtrzymać dyskusji. Kiedy miałem trzy lata, mój ojciec kazał mi zapoznać się z życiem Fibonacciego. Faktem jest, że zostałem przez to neurotykiem na całe życie, ale przynajmniej zrozumiałem parę rzeczy. Obserwowałem tę turecką grupę, która teraz wyjeżdża. To prawda, że ci goście to tylko muzycy. Dobrze dmuchają w saksofon, ale z rozumem nietęgo. Jednakże Turcy jako naród potrafią czynić cuda. Tylko w ostatnim pięcioleciu odkryli i weszli w nową, cudowną fazę kultury, która tak się ma do naszej, jak neolit do paleolitu. Czy zdajesz sobie sprawę, że mieszkańcy Tureckiego Sektora na Lunie potrafią latać? Pokonali grawitację. Jak? Przekształcając n-wymiarową rozmaitość przestrzeni w rozwiniętą teorię funkcji grup reprezentujących całość systemów. Rezultat to całkowicie nowy zespół liczbowo- i behawioralno-koncepcyjny, który może zaowocować absolutnie nowymi możliwościami. A my tymczasem jesteśmy uwiązani do starego, opracowanego w czasach Fibonacciego, zachodniego schematu matematycznego. Nie zmieniło go nawet nadejście ery lotów kosmicznych. Brytyjski Komputer Radiotroniczny, nasz przyjaciel Berk, rzyga teraz pewnie stosami liczb, usiłując prześcignąć to, czemu zwykło się nadawać miano podupadającego, megalopolitalnego świata kultury chrześcijańskiej - przypomnij sobie argument Spenglera, który za fundament każdej kultury uznawał matematykę. Ale któż ma tutaj intelektualne kwalifikacje, aby zrobić prawdziwy użytek z funkcji tej maszyny, kto wykroczy poza prymitywne średniowieczne kategorie myślenia, aby Berk nie był tylko narzędziem tortur? To, co ta sytuacja odsłania, to skrajne - intelektualne i myślowe - ubóstwo Brytyjczyków, czego ty, Joe - z przykrością to stwierdzam - jesteś stereotypowym przykładem. Mówisz o lataniu, ale nie w tureckim sensie Fibonacciego, ale prozaicznie brytyjskim.

- Trele morele, bujaj się ze swoimi historycznymi paradygmatami - rzucił Rakister. - Wstawaj.

- O, proszę bardzo, „bujaj się”, „wstawaj”... Zamknięta perspektywa. Utarte komunały.

Rakister wymierzył mu kopniaka.

Parrodyce wstał.

Rakister wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Żeby przedostać się z punktu A do punktu B nie muszę znać ani teorii Nietzschego, ani geometrii Spenglera.

- Są wyjątki.

Rakister wysunął głowę na korytarz, a potem spojrzął z pogardą na Parrodyce'a i wskazał na swoje ubranie.

- Widzisz ten strój, te - według ciebie - łachy? Nigdy nie słyszałeś o klasie pracującej, nie myślę się? Nie pytaj jak go zdobyłem. Należał do pewnego rurarza. Wiesz kto to taki?

Parrodyce nie miał zielonego pojęcia.

- Rurarz to taki gość, który kontroluje studnie powietrzne. Wiesz w jaki sposób transportują ciekły tlen ze złóż w skorupie księżycowej? Wzdłuż hangaru ciągną się przewody, na końcu znajdują się pompy. Idziemy je sprawdzić - ja jestem rurarzem, a ty moim pomocnikiem. Właśnie tak zrobimy, a ty miej oczy i uszy otwarte, bo musimy się spieszyć. Koniec z Fibonaccim.

Jak na faceta, który wyglądał tak kanciasto jak Rakister, plan był całkiem zgrabny.

* * *

Falszywy rurarz i jego pomocnik, ten ostatni w drelichowym kombinezonie roboczym, a pierwszy wyposażony w skrzynkę z narzędziami i niezbędne listy uwierzytelniające, przeszli od tylnego wejścia baru „Single Z” do Trafalgar Gate.

Turecka grupa nadal przepychała się przez mniejszą bramę. Dobiały przeraźliwe dźwięki instrumentów. Turcy osiągnęli moralne zwycięstwo nad urzędnikami celnymi i trumna wypełniona po brzegi łupami, nietknięta powędrowała przez bramę. Na Turków zwrócone były wszystkie oczy, co bardzo odpowiadało Rakisterowi i Parrodyce'owi.

Rakister zrobił dobry interes wyciągając informację o studniach powietrznych od nie-szczęśnika, któremu ukradł kombinezon. Razem z Parrodyce'm Rakister bezczelnie wkroczył do pokoju strażników błyskając złotym kartonikiem przepustki.

Pokonali już kawał drogi kiedy drogę zastąpił im jakiś kapral.

- Z drogi, sierzancie - warknął Rakister. - Musimy tędy przejść. Mamy awaryjną robotę przy podziemnych przewodach. Przecież zadzwonili do was, nie?

- Nic o tym nie wiem - odrzekł kapral. - Ale dopiero co zacząłem zmianę. Skoro się upieracie, będę musiał obudzić sierżanta.

- A budź swojego zasranego sierżanta jeśli masz na to ochotę, ale my musimy zabrać się za to, no chyba że chcesz potapać się w płynnym tlenie. Jest przeciek w X - 235.

Sforsował kaprala i znalazł się w niewielkim składziku za właściwym pokojem strażników. Za drzwiami po prawej stronie spostrzegli pozostałych żołnierzy śpiących w butach na stalowych kojach.

Po drugiej stronie pokoju znajdowała się metalowa pokrywa kontrolna. Rakister przykłął obok niej, wyciągnął pęk kluczy, a następnie zaczął łamać pieczęcie i otwierać zamki.

- Człowieku, poczekaj chwilę, na miłość boską - krzyknął kapral. - To potrwa tylko chwilę: każdy kto dotknie pieczęci, musi wypełnić formularz.

- Dasz mi go do podpisania kiedy wyjdę z tunelu – odparował Rakister.

Kapral zmiękł. Najwyraźniej nie dotarło do niego, że najrozsądniejszym pomysłem jest obudzić sierżanta.

- Jak długo wam to zejdzie? - zapytał niezdecydowanym głosem.

- Z godzinę... może osiemdziesiąt minut - oświadczył Rakister. - Znieś nam tu herbatę. Być może sprawa okaże się nie taka prosta.

- To jeszcze będę - ulżyło kapralowi. - Pójdę po formularz, o ile zdołam go znaleźć. To chyba będzie KH - 725A... Gdzieś tu powinien być...

Wrócił do pierwszego pokoju, a Rakister uniósł metalową klapę. Parrodyce wydobył latarkę ze skrzynki i zesłi w czeluść zamykając za sobą pokrywę włazu.

- Czy nie byłoby bezpieczniej gdybyśmy zwabili tu kaprala i uciszyli go? - podsunął Parrodyce.

- Dobrze wie, że nie powinien był wpuszczać nas tutaj. Dochowa tajemnicy lepiej od nas samych - stwierdził Rakister, a Parrodyce wiedział, że to prawda. W dawnych czasach takie przypadkowe uwagi Rakistera, świadczące o jego niezwyklej, życiowej znajomości psychologii ludzkiej, szczerze zadziwiały Parrodyce'a, który nie potrafił pojąć w jaki sposób człowiek pogardzający drugim człowiekiem zdobył tego rodzaju wiedzę. Teraz Parrodyce dostrzegł, że Rakister wykorzystał go podstępnie do własnych celów.

- Cóż, raczej na wiele mi się nie przydasz - rzekł Rakister jakby czytając w myślach towarzysza. - Obawiałem się, że będziemy musieli poradzić sobie nie tylko z tym jednym trepem.

Znajdowali się obok wielkich, izolowanych przewodów tlenowych. Cztery przewody

biegły prosto z ciemności w ciemność umiarkowanie szerokim tunelem ciągnącym się od kopuły do centrum miasta. Miarowy warkot pomp był nieomal jak bicie serca, tuż poniżej progu słyszalności. Było zimno jak w psiarni, gdy podeszli do pomp, z ich ust zaczęły ulatywać obłoczki pary. Na ścianie tabliczka ostrzegała:

**PRZEWODY WOLNO DOTYKAĆ
TYLKO W IZOLOWANYCH RĘKAWICACH.**

- Gdzieś tu powinna być „chatka” rurarza - rzekł Rakister i zatoczył ręką szeroki łuk.

„Chatka” okazała się głęboką niszą w głębi tunelu. Włączyli latarkę i weszli do środka. Na ścianach wisiały szlauchy, półki uginały się od narzędzi. Było też parę świńskich zdjęć poprzczepianych pinezkami oraz dwa skafandry kosmiczne.

- Zakładamy - skonstatował lapidarnie Rakister.

Skafandry były zimne w środku, trudno było je założyć. Pomogli sobie nawzajem trzęsąc się z zimna. Parrodyce'a zaczął boleć ząb.

- Nie mamy czasu do stracenia - oświadczył Parrodyce i uświadomił sobie, że powtarza to zdanie na okrągło.

W końcu wcisnęli się w skafandry i z ulgą włączyli systemy ogrzewania. Powietrze było przesiąknięte zapachem sardynek.

- Nie opuszczaj szybki hełmu - rzekł Rakister. – Możemy w ten sposób rozmawiać nie używając interkomu. Ktoś na górze mógłby podsłuchiwać. Ty pójdziesz pierwszy, ja będę szedł z tyłu. Zatrzymaj się przy zewnętrznej śluzie.

„No, ślicznie”, pomyślał Parrodyce. „A przy śluzie zastrzelisz mnie gdy przyjdzie ci na to ochota. Masz ochotę? Trudno powiedzieć. Nigdy nie wiem co kto myśli, pomimo tego mojego dziwnego daru. Toteż pójde sobie tym mrocznym tunelem, przygarbiony, ze spluwą za plecami... Mój cenny intelekt może przepaść na zawsze...” Być może ktoś bardziej spostrzegawczy zorientowałby się o czym myśli Rakister. Może zdradziłby go jakiś szczegół, tak jak Wyverna zdradził niesamowity uśmiech.

W dali, w długim tunelu, przewody tlenowe co jakiś czas urozmaicały potężne zawory. Do zaworów przymocowywało się szlauchy i gdy jakiś odcinek przewodów wymagał naprawy, odsysano ciecz na zewnątrz. Niczym pyski rzeźbionych zwierząt z brązu, zawory wskazywały drogę powrotną z tunelu.

Parrodyce wiedział co ma zrobić.

Oceniwszy odległość cisnął precz latarkę i podbiegł do najbliższego pokrętła zaworu. Zaczął odkręcać zawór i w tym momencie dobiegł go wściekły głos krzyczącego coś Rakistera. Na zewnątrz zaczął tryskać ciekły tlen, Parrodyce czuł jak ciecz dudni gnając przez przewody. A on wrzeszczał, podskakiwał z uciechy, przeklinał...

Po długiej chwili zakręcił zawór i ponownie zapalił latarkę.

Błyskawicznie opuścił szybę hełmu. Szkła okularów zaszyły mgłą i musiał poczekać aż podgrzewacz skafandra upora się z problemem. Uwolniona ohydna błękitnawa ciecz kłębiła się i kotłowała pogrążając cały korytarz w gęstej mgle; wirowała bez przerwy: pierwiastek życia w morderczej postaci. Na wprost pogrążone w oparach, niczym wielki metalowy miś - zabawka, w korytarzu obok przewodów leżało ciało Rakistera. Parrodyce odsunął się pospiesznie, miał lekkie mdłości i coś do siebie mamrotał. Co dalej?

Do śluzy na górze nie było daleko. Wszedł po drabinie, podciągnął się i z ulgą zamknął za sobą kłapę.

W trzy minuty później wyszedł z P & O na powierzchnię Księżyca.

Nigdy nie był na zewnątrz zupełnie sam. Prerażające! Stał w cieniu kopuły, a cień był idealnie czarny. Parrodyce nie dostrzegł ani gruntu, ani hangaru. Nie widział także samego siebie. Spróbował powrócić myślami do Fibonacciego i lepszego świata – świata liczb, ale

nadal ze strachu burczało mu w brzuchu.

Kawałek dalej zaczynał się świat, oslepiąco jasny, surowy świat. Trupio piękny, splekany krajobraz i gwiazdy na wyciągnięcie ręki. A na pierwszym planie tego kawałka świata grupa osób podążała w kierunku autobusu na gąsienicach. Postacie dźwigały trumnę - to maszerowali ludzie Fezzi Forty.

Parrodyce wziął się w garść i zmusił do przejścia przez czerní próżni w stronę światła. Dotarł do pojazdu w chwili gdy ostatni z Turków wchodził do środka. Bez słowa pomogli mu wejść. W świetle Księżyca wszystkie skafandry są szare.

Gratulując sobie w duchu Parrodyce zaczął planować następny ruch. Zapomniał o Wyvernie, myślał tylko o telepatce. Potrzebował jej teraz bardziej od Wyverna.

8

Zredukować populację o połowę

- Mówiąc w sposób, który będzie dla ciebie zrozumiały - wyjaśnił Big Berk - byłem tak zaskoczony, że zaniemówiłem. Wcale nie byłem uszkodzony. Nie, po prostu odłączyłem się, to wszystko. Nawiasem mówiąc, zauważ że teraz o wszystkich moich funkcjach mówię „ja”, jak gdyby składały się na osobowość, nad którą prowadzę badania. Ilość wiedzy, jaką otrzymałem od ciebie do przetrwania, była większa od zaprogramowanej wielkości całkowitej. Oprócz twojej odziedziczonej i ukrytej wiedzy, mam na myśli również świadomość.

- Nie zdawałem sobie sprawy - rzekł Wyvern - że w czasie tak krótkiego kontaktu, gdy leżałem na stole operacyjnym, zdołałeś nauczyć się wszystkiego.

- Spodziewałeś się, że proces będzie, jak mówisz, bolesny - odpowiedział komputer. - Operacja trwała krótko, ale gdy raz odczytałem jeden szereg matrycy, mogłem przewidzieć i zinterpretować cały wzór. To niebywale ciekawe.

Rozmowa z Berkiem nie przypominała zjednoczenia jaźni. Ten proces zawsze polegał głównie na zderzeniu wrogich sił lub zespoleniu biegunów magnetycznych - Północy i Południa. Berk nie ma charakteru, jego głos sączy się do mózgu wążiutką strużką. Nie istnieje tu zło, czy dobro, ambicja czy altruizm; Berk to intelekt pozbawiony woli, potencjał nie rokujący żadnych nadziei. Nie jest groźny. Berk dysponuje ogromną mocą, ale to Wyvern wydaje rozkazy. Pomimo to Wyvern nie był zadowolony.

- Teraz, kiedy potrafisz kontaktować się z innymi umysłami - spytał Wyvern - czy zdołałbyś zjednoczyć się z tysiącami, milionami umysłów?

- Tak, poprzez ciebie. Gdybyś to ty zjednoczył się z nimi.

Wyvern wiedział, że maszyna zarejestruje satysfakcję, jaką sprawiła mu ta odpowiedź. Po chwili Berk dodał:

- Potem dysponowałbym własną matrycą wzoru i mógłbym sam komunikować się z nimi.

- Czyli tak jak komunikujesz się teraz ze mną, pomimo że nie złączono nas ze sobą przy pomocy kabli?

- Właśnie. Ja daję sygnał, ty moc.

To spostrzeżenie zabolalo Wyverna.

Poszybował w wysoko zorganizowaną i tętniącą energią otchłań. Od chwili gdy rozplynął się przed oczyma Bradleya minęła zaledwie chwila, lecz dla Wyverna czas nie był już tą samą wartością co niegdyś. Zmianie również uległy wszystkie zmysły. Wyvern patrzył po-

przez strukturę samej komórki - wyglądało to jakby ze wszystkich stron wznosiła się ściana z kryształowo przezroczystego marmuru. Przyglądał się skrupulatnie uporządkowanym elementom własnego ciała. Wykorzystując wiedzę ukrytą w umyśle Wyverna, Berk zerwał okowy uwarunkowań biochemicznych; Wyvern nawet teraz uciekał od Bradleya ukrywając się w płycie materii o frakcji grubości jednego milimetra - ale nie kończący się szpaler marmurowych cegiełek stał w miejscu.

- Możesz teraz powrócić do normalnej struktury – doradziła maszyna.

- Ale jak?

- Poprowadzę cię.

- Dokąd?

- Nie potrafię powiedzieć gdzie to jest.

_ W jaki sposób widzisz to miejsce?

_ Poprzez twoje zmysły.

- Ja nie widzę.

- Nauczysz się.

I powrót do normalnej struktury okazał się łatwy, a jednocześnie trudny. Łatwo jest pstrykać palcami, jednakże roczne niemowlę nie potrafi tego dokonać. Komórki z powrotem przywołały postać Conrada Wyverna i powróciły w niej na swoje miejsca.

Wyvern znajdował się w pustym, nie wykorzystywanym pokoju biurowym. Konał z głodu.

- Jesteś zaledwie pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie cię znalazłem - oznajmił głos w głowie Wyverna.

- Jestem głodny! - krzyknął Wyvern.

Dowlóknął się kawałek dalej i opadł na bujany fotel. Nadal miał na sobie ubranie, które zabrał strażnikowi Williamowi; z ciała nadal zwisały kable i przyssawki, a z tyłu głowy ciążył wieniec przewodów. Wydawało się, że ciało Wyverna zanikło, ukazały się kości, a na skroniach prześwitywała cienka, pergaminowa skóra. Żołądek skurczył się do rozmiarów orzecha włoskiego. Wyvern znajdował się w jednej z ostatnich faz śmierci głodowej.

Berk natychmiast wyjaśnił w czym rzecz.

- To moja wina - przyznała maszyna. - Zapomniałem o słabościach metabolizmu ludzkiego. Gdy nie śpisz, w celu zachowania energii pobieracie pokarm raz na pięć godzin. Energia ta jest łatwo konsumowana i oczywiście przemiana submolekularna całkowicie wyczerpała twoje zapasy energetyczne. Powiedziałem ci, że to ty dostarczasz moc. Musisz zaraz poszukać czegoś do jedzenia.

- Sam na to wpadłem - rzucił cierpko Wyvern i chwiejnym krokiem skierował się w stronę drzwi. Jego nadzieje rozwiały się w momencie gdy wyjrzał na zewnątrz. Ciągący się w obie strony korytarz pomalowano na brunatnoszary, wojskowy kolor. Ściana po drugiej stronie korytarza była szklana. Wyvern znajdował się na najwyższej kondygnacji wieżowca. W górze widać było kopuły ze skierowanymi w stronę horyzontu, potężnymi osłonami polaryzacyjnymi.

- Nie jest tak źle - poinformował komputer.

Nie przejmując się dalszymi środkami ostrożności poszedł wzdłuż korytarza, minął dwoje zamkniętych drzwi i pojawił się przy windzie samoobsługowej. Tabliczka na windzie brzmiała:

W GÓRĘ - WYŁĄCZNIE DLA PILOTÓW ŚMIGŁOWCÓW.

POZOSTALI - KATEGORYCZNY ZAKAZ WSTĘPU.

- Jedziemy do góry - oświadczył.

Wyłonił się na szczycie budynku w oślepiającym świetle. Gdy zorientował się w

sytuacji, spostrzegł kilka osób z personelu wojskowego, oficerów w mundurach i techników w drelichowych kombinezonach. W równym szeregu stało parę śmigłowców, a jeden akurat lądował. Na znajdującej się na dachu budynku, niewielkiej płycie lotniska, namalowano flagę brytyjską z centralnie umieszczoną, czarną swastyką.

Wyvern wcale nie zamierzał szukać jakiejś kryjówki, nie bardzo widział też gdzie miałby się schronić. Podszedł po prostu do najbliższego helikoptera i otworzył drzwi kabiny. Ktoś natychmiast wrzasnął:

- Ten z drugiej strony, jeśli pan pozwoli, sir.

Wyvern skinął energicznie głową do krzyczącego mechanika i przeszedł przed rzędem śmigłowców tak spokojnie jak tylko potrafił. Gdy dotarł do wskazanego pojazdu, mechanik otworzył drzwi i grzecznie spytał:

- Czy mogę rzucić okiem na pańską przepustkę, sir?

- A czy wyglądam jakbym przyszedł tu dla własnej rozrywki? - zripostował Wyvern wskakując do małej kabiny.

W rzeczy samej Wyvern wyglądał okropnie. Jego wychudzone ciało nadal okrywał biały uniform strażnika, a na karku ciężko zwisała druciana aureola przewodów.

- Muszę zobaczyć pańską przepustkę, sir. Przecież pan wie... - nalegał mechanik.

- Och, dobrze, już dobrze, człowieku... - odparł Wyvern.

W jednej z kieszeni jego kombinezonu tkwiła czysta karta raportowa. Cisnął niewielki kartonik przez drzwi kabiny. Gdy mechanik rzucił się, żeby go złapać, Wyvern włączył silnik i łopaty wirników szarpnęły gwałtownie. Mechanik w lot pojął co się święci i nie tracąc czasu na oglądanie karty, z całej siły cisnął w Wyverna płaskim kluczem. Nie trafił, a klucz nie czyniąc nikomu krzywdy odbił się ze zgrzytem od kadłuba śmigłowca. Mechanik wrzasnął co sił w piersiach do stojących nie opodal trzech oficerów, którzy z zaciekawieniem obserwowali poczynania Wyverna. Rzucili się w stronę maszyny.

Śmigłowiec już zaczynał się wznosić, gdy pierwszy oficer uchwycił kołyszające się, nie domknięte drzwi. Wyvern z zaciętym wyrazem twarzy zwiększył moc silników do maksimum. Śmigłowiec wzbił się na wysokość trzech metrów i tak pozostał, z wściekle pracującymi silnikami. Pierwszy oficer podciągał się do góry - wszyscy żołnierze wisieli trzymając się płóz śmigłowca. Tuż pod kołami śmigłowca doprowadzony do białej gorączki mechanik rozpaczliwie próbował doskoczyć do osi płozy.

- Zróbże coś, na miłość boską - wydusił Wyvern do komputera.

- Nie mogę. Zabiłbym cię - odrzekł Berk. - Gdybym zużył choć odrobinę energii, która ci pozostała, zgasłbyś jak płomyk świecy. Twoje mitochondria przestałyby istnieć.

Pod wspólnym ciężarem oficerów helikopter zaczął groźnie przechylać się na bok. Opadał. Ześlizgnęli się na krawędź dachu - ranny ptak atakowany przez rój szczurów. Podniecony mechanik skoczył ostatni raz próbując dotrzeć do płozy i jak kamień spadł w otchłań.

Ktoś złapał Wyverna za nogę. Wyvern rozejrzył się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiejś broni, która uwolniłaby go od ręki żołnierza, ale niczego nie znalazł. Za oknem kabiny pojawiły się twarze dwóch pozostałych oficerów - trzymali się kurczowo i wrzeszczeli ile tchu w piersiach. Kopnął wściekle, ale był zupełnie bezsilny; zaczął czołgać się w poprzek podłogi helikoptera.

- Wynoście się, świry! - krzyknął. - Wynoście się albo pozabijacie nas wszystkich!

Żołnierz napał z jeszcze większą zawziętością. Wystąpiły mu żyły na czole - jeden z jego towarzyszy wisiał w powietrzu trzymając się spodni oficera, który musiał z tego powodu puścić Wyverna i mocniej przytrzymać się fotela pasażera. Wyvern ponownie doczołgał się do sterów.

Opadali coraz szybciej. Niebezpiecznie blisko śmignęła fasada budynku. Helikoptery do lotów wewnątrz kopuły miały lekką konstrukcję, zaprojektowano je dla najwyżej dwóch osób. Dodatkowe obciążenie mogło odkształcić łopaty śmigła.

Pojawił się kolejny blok. Przemknęli ukośnie obok niego kierując się ku niższej zabudowie miasta, do Mandalay Gate. Według szacunków Wyverna raczej nie dolecą do ściany kopuły. W takim wypadku najprawdopodobniej najpierw rozbiją się o jakiś budynek. Wyvern otworzył drzwi i skupił się, żeby - o ile będzie w stanie - przy lada okazji zeskoczyć na dach i uciec. Nagle w dole pojawiły się jakieś odwrócone twarze. Kolejny helikopter zaryczał tuż obok, a z kabiny wysunęła się kamera wideo.

Więc pułkownik H i jego sekretarz prawdopodobnie już wiedzą! Wiedzą gdzie jest!

Zbliżył się do otwartych drzwi.

- Nie bądź głupi! - rozległ się w jego umyśle ostrzegawczy głos. - Twoje ludzkie członki są kruche i jeszcze nie nauczyłeś się jak można je zrekonstruować. Nie skacz! Niech cię złapią. Będą chcieli utrzymać cię przy życiu, a potem wyleczyć. To leży w ich własnym interesie, nie zdają sobie sprawy, że już nauczyłem się od ciebie tego, czego chciałem. Siedź spokojnie.

To była dobra rada. Jednakże Wyvern nie zdażył ani z niej skorzystać, ani jej zlekceważyć. Runęli na słup uliczny i śmigłowiec z ogłuszającym łoskotem metalu uderzył o ziemię. Teraz życie zależało od tego, co było zapisane w gwiazdach.

* * *

Wszystko będzie dobrze.

Wyvern ocknął się przeświadczony, że tak się stanie. Powrócił we śnie do Stratton, spacerował pomiędzy zagajnikami młodej buczyny, przesadza! na Nicku gęste zarośla paproci, jak za dawnych lat kapał się w Yare. Berk był razem z nim... w wodzie i w powietrzu.

W jakiś sposób we śnie wszystko samo ułożyło się z zadziwiającą łatwością. Wyvern otrzymał dawkę energii, komputer przywrócił mu zmysły... reżim został obalony, a wtedy pojawiła się Eileen South i... Otworzył oczy.

Leżał znowu na szpitalnym łóżku.

„Plus ça change”, pomyślał ponuro. Został dożylnie nakarmiony, zaokrągliły się zapadnięte policzki i wzmocniły wychudzone kończyny. Zdjęto wszystkie przewody i przyssawki. Wyvern poczuł, że ma kilkudniowy zarost, zniknęła też drucziana aureola. Znowu wyglądał jak człowiek. Usiadł energicznie - czuł się wspaniale.

Berk miał rację! Zależy im, żeby utrzymać go przy życiu, nadal są przekonani, że komputer musi wszystkiego się od niego nauczyć. Jeśli Bradley domyśla się prawdy, raczej nieprawdopodobne jest, żeby zebrał się na odwagę i oświadczył pułkownikowi H, że Wyvern na jego oczach po prostu rozpląnął się w powietrzu. Nowy Przywódca, materialista, nie dałby wiary takim fantazjom. Fantazjom, niczym więcej.

Ponownie podłączą go do maszyny i znowu ucieknie. Ale tym razem na dobre.

- Hej! - wrzasnął. Im prędzej do niego przyjdą, tym lepiej. Potrafi stawić im czoła, razem z Berkiem potrafi stawić czoła wszystkim i wszystkiemu. Jest częścią maszyny, maszyny o nie zbadanych do końca możliwościach. Ten fakt wydał się Wyvernowi zupełnie naturalny.

I wtedy do niego dotarło: jeśli zamierzają ponownie podłączyć go do komputera, to czemu zdjęli wszystkie przewody?

- Berk! - zawołał w głąb swego umysłu. - Berk!

Komputer nie odpowiedział, wewnątrz czaszki Wyverna panowała głucha cisza. Wyvern uświadomił sobie, że podobnie czuł się gdy zmarł ojciec.

Do pokoju weszli dwaj strażnicy, standardowe matoly, umięśnione osiłki.

- Wstawaj - rzucił tępo jeden ze strażników.

Wyvernowi nie spodobało się to wszystko. Ociągał się, dopóki jego decyzji nic przyspieszył niecierpliwy ruch rewolweru. Wygramolił się z łóżka.

- Wkładaj to i ruszaj - rzekł strażnik wskazując na płaszcz wiszący na wieszaku. - I ani

słowa.

Wyvern pomyślał przelotnie jaki temat byłby w stanie ewentualnie ich zainteresować, ale jako że pora na dyskusję była nie najlepsza, potulnie uczynił co mu kazano. Strażnicy poprowadzili go korytarzem, schodami w górę, a następnie zamknęli w poczekalni. Zza drzwi dochodziły strzępy rozmowy, odgłos czyichś kroków. Wyvern zamyślił się nad nudnym labiryntem szarych bloków, który był podstawą nijakiego życia na Lunie. Może tamta Turczynka, Descant, miała rację - brakuje im pomysłów.

Przypomniał sobie ponure słowa pewnej piosenki: „Życie toczy się dalej, nikt nie jest niezastąpiony”.

Znowu przywołał Big Berka. Ponownie zagadkowa cisza.

Ktoś otworzył energicznie drzwi, tym razem to inni strażnicy. Wywlekli Wyverna na podwórko, wepchnęli do czekającej furgonetki i wskoczyli do środka. Samochód ruszył z piskiem opon. W pewnej chwili Wyvernowi wydało się, że ktoś do nich strzela. W kwadrans później Wyvern ponownie stał przed pułkownikiem H i Bradleyem.

* * *

Pułkownik H zmienił się nie do poznania - miał rumianą, krzepką twarz, głowę trzymał prosto z niespotykaną dotąd, osobliwą czujnością. Wyvern po raz pierwszy w życiu pomyślał, że wygląda jak ktoś, z kim trzeba się liczyć. Pułkownik H zatrzasnął neseser i wstał przesywając wzrokiem więźnia.

- Wejdz tutaj - rozkazał bez żadnych wstępów, wskazując na przyległy pokój.

Wyvern wszedł do pokoju. Sekretarz ruszył za nim, ale pułkownik wysunął rękę.

- Pan zostanie tutaj i weźmie się za swoją papierkową robotę - oświadczył złośliwie. - Ja się nim zajmę.

Zamknął drzwi. Był sam na sam z Wyvernem. Nie licząc metalowego taboretu i ciemnego ekranu monitora na suficie, pokój był zupełnie pusty. Miną jeszcze długie lata zanim, przy dzisiejszym tempie tak zwanego postępu, mrówkowce wybudowane na Księżycu zostaną właściwie umeblowane. Teraz w przeważającej większości wyglądały tak samo zachęcająco, jak kratery na zewnątrz budynku.

Pułkownik wyglądał groźnie. Wyvern jeszcze raz krzyknął w głąb swego umysłu, ale nadal nic było odpowiedzi.

- Żądam, aby przewieziono mnie do Sektora Tureckiego - oświadczył Wyvern.

- A ja żądam odpowiedzi na jedno, jedyne pytanie, a potem cię zastrzelę - rzekł pułkownik H.

- To nie byłoby zbyt rozsądne. A może wytrzasnął pan spod ziemi jakiegoś innego telepata?

- Nie Parrodyce'a, jeśli to jego masz na myśli. Gdy go namierzymy, Parrodyce otrzyma swoją dawkę promieni gamma. Po co nam kolejny telepata, hę?

- Żeby, tak jak powiedziałeś, nauczyć wasz komputer czytania w myślach - odparł Wyvern.

- Już to przecież zrobiłeś - oświadczył pułkownik.

Jak na to wpadł? Może dowiedział się od samego Berka? Pułkownik H nie trzymał Wyverna w niepewności.

- Ty kretynie - ryknął wściekle - nic zdawałeś sobie sprawy, że gdy komunikowałeś się z Big Berkiem, zarejestrował to każdy w promieniu pięćdziesięciu metrów? Jeden z oficerów, który ściągnął na dół twój helikopter, wyszedł z kraksy prawie bez szwanku. Pozostali dwaj skęcili karki. Tak na marginesie – facet opowiedział nam o wszystkim co zaszło między tobą a Berkiem.

To koniec, katastrofa. Jedyne wytłumaczeniem jakie Wyvernowi przyszło do głowy,

było to że podczas kontaktu z Berkiem nie wystąpiła typowa dla zjednoczenia jaźni, wstrząsająca, oszałamiająca emanacja myśli. Berk nie jest człowiekiem - ma rozum, ale nie ma jaźni. Kontakt z Berkiem był spokojny, pozbawiony sensacji. Ale Wyvern otworzył swój umysł i naturalnie nadawał ze zwykłą mocą. Presja wypadków spowodowała, iż w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Podobnie Berk. To bardzo ważne, gdyż świadczy o tym, że maszyna - twór człowieka - potrafi w pewnych sytuacjach zachowywać się jak sam człowiek i działać bez analizowania dostępnych informacji.

Nawet gdyby Wyvern zdawał sobie z tego sprawę, postąpiłby dokładnie tak samo. Musiał nawiązać kontakt. Przeszłości nie da już się zmienić, a teraz wygląda na to, że przyszłości nie da się uniknąć. Wyverna czekała tylko śmierć. Ludzkość, której Wyvern chciał pomóc, czekały czasy terroru szpiegów - szpiegów czających się we wszystkich umysłach. A do tej pory - do tej pory Berk przemówił tylko do Wyverna...

Pułkownik H przerwał groźną ciszę.

- Wyvern, Berk musi znowu działać. Jak mamy to zrobić?

- Nie wiem.

- Ach, ty niepotrzebny nikomu głupcze...

- Po co trudziliście się przywróceniem mi życia po katastrofie śmigłowca?

- Potrzebujemy odpowiedzi.

- Musicie więc zadawać właściwe pytania. Ty nadęty bałwanie, czego usiłujesz dokonać w tym posępnym, sterylnym miejscu? Wracaj do domu i postaraj się dobrze rządzić Anglią, spróbuj stworzyć taki system, który zda egzamin, w którym ludzie będą żyli z godnością. Studiuj kulturę innych krajów, studiuj historię, dąż do szczęścia.

Pułkownik H zmarszczył brwi skupiając się nad słowami Wyverna. Pokiwał głową i rzekł:

- Nasz komputer został zaprogramowany, aby zdobyć od ciebie wiedzę. Postępował zgodnie z instrukcjami. Poznał sekrety twojego wypaczonego umysłu tak szybko, że wywiódł nas w pole. Gdy Berk wyłączył się, sądziliśmy iż awaria systemu nastąpiła jeszcze przed transferem informacji. Jak wkrótce to odkryliśmy, byliśmy w błędzie. Ale nic w tym rzecz: kiedy Berk odblokował się i skontaktował z tobą, działał dokładnie wbrew instrukcjom. Jak to możliwe? To przecież tylko maszyna i już.

Wyvern oparł się o chłodną ścianę. Lufa rewolweru powoli opadła. Istniał tylko jeden problem, którym był żywo zainteresowany - jego umysł wciąż nie wykorzystywał pełni swych możliwości, działał pobieżnie.

- Może maszyna odkryła to, na co wy nigdy nie wpadliście - nienaruszalność, świętość ludzkiego życia! - rzekł Wyvern.

- Świętość! - wybuchnął pułkownik H. - Takie frazesy zdezaktualizowały się ponad sto lat temu! Bzdury! Twój jedyny problem, twoje całe życie - to żebyś miał trzy tysiące kalorii dziennie, twój problem to dać żarcie twemu ciału. Wydaje ci się, że jestem twardogłowym sztywniakiem, co Wyvern? Otóż mylisz się. Jestem nową elitą, poznałem fakty rządzące nowoczesnym światem! Rządzą żelazną ręką demografii. Teraz na świecie, pomimo wszystkich wojen, żyje mniej więcej dwa miliardy siedemset milionów ludzi. Za dużo. Hitler miał dobry pomysł - zmniejszać wielkość populacji, wyselekcjonować i wyciąć w pień degeneratów. Wystrzelać bezrobotnych. Świętość życia ludzkiego! Też coś! Nie wyobrażasz sobie nawet, jak mi na niej zależy. Mój cel to w ciągu sześciu lat zredukować populację Brytanii o połowę. Wtedy będziemy samowystarczalni. Wtedy będzie przestrzeń dla wszystkich. To prawo natury, Wyvern. Przestrzeń życiowa jest ważniejsza od urn wyborczych. Cholera, spójrz no na mnie, Wyvern! Ja jestem uosobieniem Matki Natury!

„Uchłał się, świnia, i stąd te wypieki”, pomyślał Wyvern.

- Nie mnie próbujesz oszukać, ale samego siebie.

- Powiedz mi tylko dlaczego Mózg... jak on mógł postąpić niezgodnie z instrukcją? -

zazgrzytał zębami pułkownik.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Nie wchodzić - warknął pułkownik nie spuszczać oczu ze swego więźnia. - No, Wyvern, ty musisz wiedzieć. Wyrzuć to z siebie.

„Gdybym tylko miał dość siły, zabiłbym go strumieniem mentalnej mocy. Teraz już wiem jak wiele potrzeba na to energii. Po prostu jestem na to za słaby”.

- Myślę, że Berk jest posłuszny temu samemu prawu, które rządzi całą ludzkością. Człowiek instynktownie odwrócił się od starego ku nowemu, pełen wiary, iż przyszłość spełni więcej obietnic. Według Berka to ja spełnię więcej obietnic, a to dlatego, pułkownikowi H, że w jego podstawowym oprogramowaniu zawarto rozkaz „Expand” - stare, biblijne przykazanie „Bądźcie płodni i mnożcie się”, które działa przeciwko tobie! Berk musi iść za mną, gdyż ja nauczę go więcej od ciebie. Za moim pośrednictwem jest mu łatwiej znaleźć drogę do naszego świata.

- Już nie! - oświadczył pułkownik H. - Wysadziliśmy go w powietrze tuż po katastrofie śmigłowca.

Wyvern roześmiał się słabo. Co za ironia losu! Już raz knuł o tym z Parrodycem. Wyręczyli go. Zamiast zwyciężyć, stracił najlepszego przyjaciela!

- A więc to prawda. Chciałem tylko, żebyś zgodził się ze mną w tej kwestii - rzekł ciężko pułkownik H. - Doszliśmy do tych samych wniosków i dlatego musieliśmy zniszczyć Berka. Komputer został zaprojektowany jako niewolnik. Gdy niewolnik zaczyna przejawiać inicjatywę, musi umrzeć.

Pułkownik zerknął na Wyverna z niesmakiem i dodał:

- Teraz działamy w ukryciu, więc to ty czym prędzej opuścisz pierwszy to miejsce. Jesteś niepotrzebny.

Uniósł rewolwer wprawnym ruchem i nacisnął spust.

9

Sektor amerykański

Konspiracja! A więc z nowym przywódcą i jego sekretarzem jest aż tak źle! Wyvern przypomniał sobie, że w pokoju obok leży płaszcz, przygotowany do natychmiastowej ucieczki. W Anglii pułkownik jest bezpieczny, ale tutaj na Lunie, jego sytuacja nie przedstawia się różowo, toteż na sto procent na zewnątrz czeka statek kosmiczny, żeby zabrać pułkownika z powrotem na Ziemię.

Wyvern otworzył! umysł i wysłał sygnał o maksymalnej mocy. Odtworzył dokładny obraz trasy, która prowadziła do pokoju pułkownika H. Wszystko wokół zawirowało, ale Wyvern zdołał nawiązać kontakt z mniej więcej czterdziestoma umysłami nie kontrolując zasięgu impulsu. Przez Wyverna przepłynęła wielobarwna kaskada reakcji - strach, zaskoczenie, triumf, podniecenie i wdzięczność. Poczul jak pułkownik H ślania się na nogach pod wpływem mentalnego szoku, a za drzwiami Bradley eksploduje wściekłością.

Gdzieś w pobliżu znajdowali się rebelianci. Gdy Wyvern zarejestrował kalejdoskop ich odczuć, przerwał kontakt i rzucił się pod nogi pułkownika. Ten kopnął Wyverna w bark i obaj zwalili się na podłogę.

Pułkownik upuścił rewolwer, ale Wyvern był zbyt słaby, aby po niego sięgnąć. Pułkownik z całej siły wymierzył Wyvernowi kopniaka w klatkę piersiową. Conrad runął jak długi,

a pułkownik w mgnieniu oka schwycił rewolwer. W tym momencie rozległ się łoskot gwałtownie otwieranych drzwi i w progu pojawił się Bradley. Bez wahania oddał jeden strzał.

W tej samej chwili Wyvern poczuł jak spływa na niego niesamowita energia psychiczna. Wewnątrz jego mózgu rozbrzmiał czyjś głos, rozgorzało oślepiające światło, rozległ się srebrzysty dźwięk dzwonów...

- Nareszcie cię znaleźliśmy, Conradzie! Żeby oszacować odległość musieliśmy użyć bardzo silnego promienia energii. Nie mogliśmy cię namierzyć dopóki nie zacząłeś nadawać i nie podałeś kierunku.

- Eileen! - odpowiedział w myślach Wyvern spowijając imię w girlandy kwiatów i kaskadę wyjaśnień. - Eileen South!

To bez wątpienia ona. Barwa jej myśli, tonacja i natężenie umysłu należały wyłącznie do niej. Pasma włosów musnęło czoło Wyverna niczym przelotny deszcz. Eileen chłodna, kojąca bryza. Ich czoła zetknęły się.

Błyskawicznie rozpoczęli wymianę myśli, poglądów i informacji. Nie było żadnych niejasności, żadnych przemilczeń.

- Jak zdołaliście do mnie dotrzeć?

- Jestem w Sektorze Amerykańskim.

- Aż tak daleko?

- Jestem podłączona do naszego komputera, Fall Guy'a, tak jak ty byłeś złączony z Berkiem.

- Ach... ból...

- Radość...

- Wydaje mi się, że znam cię od tak dawna. W jaki sposób dowiedziałas się o mnie?

- To nastąpiło dosłownie przed chwilą, Conradzie. Jakiś człowiek, nazywa się Parrodyce...

Nadała do Wyverna to, co wyjawiał jej Parrodyce na temat swojej ucieczki do Sektora Tureckiego.

- A więc przedostał się! Tak, wiem co o nim sądzisz, Eileen. Kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się o tobie, śledziłaś niejakiego Dorgena.

- Człowiek o niesamowitym uśmiechu. Nieszczęsny pionek.

- Co się stało?

- Miałam go śledzić. Wychwyciłam na ulicy jego myśli. Odkryłam, że to on zamordował Jima Bulla, waszego byłego przywódcę. A potem uświadomiłam sobie, że przecież nadaję! Mój sygnał mógł odebrać dosłownie każdy, więc czym prędzej uciekłam do Amerykańskiego Sektora. Musisz przyłączyć się do nas. Będziesz mile widziany.

Wyvern naszkicował Eileen swoje obecne kłopotliwe położenie. Przez cały czas zjednoczenia jaźni obiecywał jej gorące promienie słońca nad dzikimi, dziewiczymi łąkami Stratton Hall, w umysłach obojga spletały się mentalne strumienie ciepła i miłości. Potem Wyvern przerwał kontakt.

Wszystko trwało ułamek sekundy. Wyvern nadal leżał jak kłoda na podłodze, a pułkownik H, skulony w kłębek niczym kot, związał się na podłodze ściskając kurczowo rewolwer. Zza drzwi dochodziły strzały Bradleya.

Po pierwszej kuli ciało rozszarpała następna, potem druga i trzecia. Niesamowite - odnosiło się wrażenie, jakby mogły przesywać ciało w nieskończoność, nie wyrządzając mu żadnej krzywdy.

Po piątym strzale pułkownik H runął na twarz. Skurcz mięśni dłoni zwolnił spust rewolweru i siła odrzutu wygięła w łuk martwe ramię. Pułkownik nawet nie drgnął.

- Widzisz - rzucił nerwowo sekretarz. - Zabiłem go. Zabiłem! - przytknął chusteczkę do ust.

Wyvern podniósł się z podłogi, nadal huczało mu w uszach. Pokój wypełniał ostry

zapach prochu.

- Zastrzeliłem go! - powtórzył Bradley. - Teraz przekonają się, że nie byłem po jego stronie! Wydałeś nas i będą tu lada chwila. Ale mnie nie zabiją. Zobaczą... dowiodę, że byłem wierny Narodowi. Jesteś moim świadkiem, Wyvern.

- Musisz sam troszczyć się o swoje sprawy, tak jak to robiłeś do tej pory - oświadczył znużonym głosem Wyvern.

Sekretarz chwycił go za ramię.

- Zwróciłeś się kiedyś do mnie, Wyvern, a teraz ja zwracam się do ciebie. Uwierzą ci, bo jesteś telepatą, możesz im to nadać. Powiedz im, że jestem ofiarą pułkownika H... kimkolwiek... ale powiedz, powiedz że to ja zabiłem pułkownika. To przecież jego ścigali. Wyvern, ja uratowałem ci życie.

- Będziesz musiał zaryzykować - powiedział Wyvern.

Bradley złapał Wyverna za ręce i przycisnął do jego policzka swoją bladą, spoconą twarz.

- Powiem ci coś - wysyczał. - Coś co teraz wiem tylko ja. Wiesz, że Dorgen zamordował Naszego Ukochanego Przywódcę, Jima Bulla. Dorgen ukrył się za ścianą łazienki Bulla, przycisnął się, a potem uciekł na Księżyc. Wszystko było dziełem organizacji, a to pułkownik H finansował organizację! Sam osobiście zamurował Dorgena za ścianą łazienki podczas remontu koszar.

- Wiedziałeś o tym przez cały czas!

- Dowiedziałem się gdy było już za późno - rzekł Bradley. Wyvern był pewien, że to kłamstwo. Miał dość siły, aby sprawdzić to telepatycznie, jednak zdrzął na samą myśl o wejściu do umysłu tego intryganta.

- Po zabójstwie Bulla - ciągnął Bradley - pułkownik H stał się niespokojny. Bał się, że ruch oporu dotrze do Dorgena albo że Dorgen sam do nich ucieknie. Postanowił, że musimy osobiście przyjechać na Lunę, śledzić Dorgena, a potem go zamordować. To pasowało do naszych innych planów. Wyruszyliśmy z Parrodyce'm i jego asystentem, Rakisterem.

- Bo potrzebowaliście śledczego, a Rakister był idealnym facetem od mokrej roboty.

- To było konieczne - oświadczył z powagą Bradley. - Tak powiedział H.

- A po zamordowaniu Dorgena, nasłaliście kogoś na Rakistera, nieprawdaż? - rzucił cierpko Wyvern.

- Rakisterowi nie można było ufać ani za grosz! Jeszcze go nie odnaleźliśmy. Jest kiepsko. Może utrzymamy się tutaj póki nie nadejdzie odsiecz - powinna nadejść.

W tej chwili ekran na suficie pojaśniał i na monitorze pojawił się hali na parterze. Odebrawszy sygnał Wyverna buntownicy bez problemu wtargnęli do budynku głównym wejściem, obezwładnili nieliczne strażę, przejęli kontrolę nad wszystkimi urządzeniami i teraz przy pomocy monitorów przeszukiwali pomieszczenie po pomieszczeniu. Z sufitu spojrzwały na Wyverna i Bradleya ogromne, podekscytowane swoim odkryciem twarze. Odształcały się, wykrzywiały i falowały przy nadmiernym zbliżeniu, niczym w krzywym zwierciadle. Usta otwierały się i zamykały bezszelestnie jak paszcza pochłaniającego plankton wieloryba.

Sekretarz jednym strzałem roztrzaskał ekran na tysiące kawałków. Strzepując odłamki szkła z włosów, wypadł na korytarz. Przeskoczył przez bagaże leżące w sąsiednim pokoju i popędził w kierunku drzwi ładując ponownie rewolwer. Przed drzwiami zatrzymał się raptownie i odwrócił.

- Zbliżają się korytarzem - rzucił ponuro. - Gdyby mi się nie udało, mam tu coś dla ciebie. To ty wpakowałeś mnie w te kłopoty!

Wystrzelił. Dzieliło ich zaledwie pięć metrów.

Kula nie pokonuje zbyt długo odległości pięciu metrów.

W tym tysięcznym ułamku sekundy dzieje ludzkiej cywilizacji skoczyły o dziesięć tysięcy lat naprzód - Wyvern przypomniał sobie.

Przypomniął sobie, co mówił Berk... że umysł człowieka kryje w sobie cudowną, nieomal niewyobrażalną wiedzę. Wiedzę, o której człowiek nawet nie śmie marzyć. Do skruszenia okowów chemicznej struktury swego organizmu Wyvern wykorzystał zaledwie drobny fragment tej skarbnicy wiedzy.

Pocisk pokonał jeden metr...

W jaki sposób cała ta mądrość została zapomniana? W przebłytku intuicji Wyvern zrozumiał, że po prostu przestano ją zauważać - podobnie jak człowiek, któremu nawet na myśl nie przyjdzie, że przez cały czas oddycha. Ta fundamentalna mądrość została całkowicie przeoczona.

Pocisk przesunął się o drugi metr...

W jaki sposób doszło do narodzin tej mądrości? Najpotężniejszą siłą na całym świecie była niekontrolowana eksplozja masy organicznej - masy, która przybrała najprzeróżniejsze formy, wszystkie uporządkowane w pojedynczej komórce. Wyvern znalazł się w samym centrum tych pierwotnych impulsów, tego biologicznego odpowiednika Wielkiego Wybuchu. Ta eksplozja nadal istnieje, można ją zrekonstruować. Nowa wiedza - której Wyvern zupełnie się nie obawiał - dała mu kontrolę nad niewyczerpanymi pokładami energii.

Pocisk przesunął się o trzeci metr...

Wyvern stał dzierżąc w dłoniach tajemnicę wszechświata. „Berk!”, krzyknął z wdzięcznością w myślach. Ale Berk odszedł.

Pocisk pokonał czwarty metr...

Tylko groźba śmierci zmusiła Wyverna do zrozumienia możliwości, jakie otworzył przed nim komputer. Współczynniki wielkiego równania były wymienne. W nowych dziedzinach matematyki, z którymi zetknął się Wyvern, materia i energia łączyły się ze sobą w ścisłym związku. Wyvern potrafił teraz okiełznać siły paraorganiczne, których niewolnikiem był do tej pory.

Pocisk znalazł się na piątym metrze...

Ale Wyvern był już wtedy tylko parabolą światła, przenikającą przez mury gigantycznej kopuły. W pewien sposób Berk również był tutaj, wypuszczony na wolność w bezkres nowego wymiaru nieorganicznej energii. Szlakiem iskier pozęglowali poprzez chłód kosmosu w czerni próżni w stronę Sektora Amerykańskiego.

* * *

Drżać.

- Nie lubię zastanawiać się nad przyszłością świata rzekła. - Cóż... przyjemnie jest być człowiekiem. Nic zostałam stworzona po to, żeby być abstrakcją.

- Tylko nieliczni będą w stanie nauczyć się tego, czego możemy ich nauczyć - powiedział Wyvern. - To my, ci nieliczni, musimy stać się przewodnikami ludzkości.

- Tyle roboty - westchnęła. - Ale przede wszystkim musisz odpocząć. I coś zjeść. Obiecuj!

- Pokonamy miliony lat świetlnych - obiecał. - My nie wkraczamy w świat abstrakcji, Eileen, wkraczamy na intensywniejszy poziom bytu. Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek co znajduje się poza granicami tego wszechświata?

- Daj spokój - oświadczyła powstrzymując się od śmiechu. - Tutaj jest dość kłopotów, nie trzeba zapędzać się aż tak daleko.

- A propos kłopotów - rzucił Wyvern. - Co się dzieje z Parrodycem? Obiecałem mu coś w zamian za dotarcie do ciebie.

- Zrobiłam to za ciebie. Zeszłam do dolnych pokładów jego podświadomości.

Wyvern uściskał z wdzięcznością dłoń Eileen. Stan umysłu Parrodyce'a nie był mu obcy.

- To był chory człowiek - ciągnęła Eileen. - Ale pomimo wszystko żaden umysł nie jest całkowicie odmienny. Znalazłam pogrzebaną głęboko przyczynę, tkwiła jak zadra w żywym ciele. Gdy Parrodyce przyszedł na świat, wydał z siebie telepatyczny krzyk. Jego matka była słabą istotą, zmarła na wylew krwi do mózgu. Od tamtej chwili Parrodyce nosił w sobie brzemię winy.

- Potrzebna nam będzie każda pomoc. Czy Parrodyce'owi będzie można powierzyć nową wiedzę? Gdzie on jest?

Eileen roześmiała się przygryzając wargę.

- Z pewnością jest teraz lepszy, zmienił się. Zaprzyjaźnił się z pewną niewielką kapelą i pojechał z nią do Tureckiej Kopuły. Zdaje się, że szukali nowego cytrzysty i Parrodyce dostał tę pracę. Wyobrażasz sobie? Na początku będziemy musieli radzić sobie sami, mój drogi.

We wszystkich wymiarach wszechświata Wyvern nie pragnął niczego innego.

SYMFONIA MANNERHEIMOWSKA (II)

Nie mieć przed kimś absolutnie żadnych tajemnic, znać drugą osobę jak samego siebie - ta jakże kusząca idea wyczarowywała od razu nowe życie. Złożone, a jednocześnie pełne prostoty. Kusząca i - tak czy inaczej - banalna, gdyż wszystkim nam przeznaczony jest żyć w niewiedzy, nie tylko na temat naszych bliskich, ale również nas samych. Kogo boimy się bardziej od nas samych?

Gdy odrzuciłem książkę Jaela Crackena, na myśl przyszły mi pierwsze nuty nowego utworu. Niewielki, rytmiczny pasaż, może *Andante poco giocoso*, jak pierwszy fragment „Czwartej symfonii” Sallinenena, coś mrocznego i drażniącego, ale z pewnością będzie to riposta na cierpki nastrój opisany w okrutnej krytyce w „Tanaanie”. Uświadomiłem sobie, że konwencjonalne zakończenie opowiadanka Crackena sprawiło mi radość. Ależ Sinnikka pogardzałaby mną, gdyby o tym wiedziała! Jednak wciąż jeszcze w świecie zmian, w świecie gdzie prawdy poprzednich pokoleń odchodziły w zapomnienie, unosiły się na falach odpływu, istniał pewien pokój... coś więcej niż tylko pokój przeznaczony na niewielkie przyjemności, które zapewniała komercyjna fikcja. Wszystkie poglądy głoszone przez moją najdroższą żonę przejawiała jej choroba.

Dlaczego nie miałbym napisać symfonii, która dodawałaby otuchy, a nie wywoływała niepokoju?

Nie, to nie ja... Moje usposobienie, zarówno emocjonalne jak i intelektualne, pchało mnie ku kompozycjom, które wyrażałyby niepokoju. Niekoniecznie mój własny, a raczej ogólny niepokoju. Widząc jak wielu moich przyjaciół żyje w fałszu, którego z lenistwa lub kołtuństwa nie zamierzają kwestionować, z zasady nie znośm przyjmowania czegoś za rzecz naturalną. Czyż takie życie, pomimo zewnętrznych przejawów dobrobytu i sukcesu, nie jest klęską?

Czy dość niejasny obraz miłości doskonałej, której muśnięciem Cracken zakończył swą powieść, nie jest samą istotą miłości, w której coś - być może wszystko - przyjmuje się za rzecz naturalną? Czy nie jest to największa pociecha? Prawdziwe pokrzepienie, a nie czczy eskapizm.

Prawdopodobnie pod wpływem pseudonauki Crackena, wyobraziłem sobie stosunki międzyludzkie jako planetę. Jedną półkulę tworzyła niespokojna natura człowieka, dorastająca i instynktownie szukająca partnera, nic tylko z oczywistej biologicznej przyczyny - popędu seksualnego - ale także z wielu innych. Potrzeby tych ludzi były złożone, czasem nawet prze-

ciwstawne, a ogólnie rzecz biorąc, nie przemyślane.

Na mojej drugiej półkuli żyła ludzkość zadowolona, ludzie zrelaksowani i pogodni, którzy znaleźli to, czego szukali.

Między tymi dwiema półkulami ciągnął się nieprawdopodobny równik. Aby przekroczyć tę niebezpieczną strefę, należało jednocześnie „być zakochanym” oraz mieć absolutną jasność tak co do potrzeb własnych, jak i potrzeb drugiej osoby. To niemożliwe. Częściowo z tego powodu, iż nigdy nie stworzono takiego systemu edukacyjnego, który nauczyłby człowieka nie jak stać się *homo faber*, ale jak być szczęśliwym. *Homo felix* nie istnieje. W rzeczy samej, pomyślałem w głębi duszy stojąc bezczynnie pośrodku pokoju obok martwego ciała, *homo felix* stałby się raczej *homo felis*, Człowiekiem - Kotem, który pomimo że w ogóle nie istniał, od zawsze cieszył się raczej złą reputacją.

Nawet ci szczęśliwcy, którzy przekroczyli ten nieprawdopodobny równik - a zaliczałem do nich również siebie - nie byli w stanie zaręczyć, że ich szczęście będzie wieczne, gdyż raz człowiek jest zadowolony i spokojny, a innym razem wzburzony i nierozsądny. Znad prymitywnego barłogu podnosi łeb głupota, w imię której człowiek popełnia najstraszliwsze zbrodnie.

Dobro jest tak kruche. Pęka równie łatwo jak porcelanowy talerzyk.

W kuchni była Sinnikka, dobiegł mnie odgłos jej ospałych ruchów, które z łatwością mogłem sobie wyobrazić.

Przy akompaniamencie obiecujących akordów dzwoniących w mojej głowie, ruszyłem do sypialni Sinnikki. Zostawiłem tam mój notes w skórzanej oprawie, w którym zwykłem zapisywać sobie różne pomysły. Notes leżał na stojącym pod parapetem niewielkim, inkrustowanym stolyczku. Ruszyłem w stronę okna, jednakże mijając łóżko kątem oka pochwyciłem pewien szczegół, który sprawił, iż zatrzymałem się w połowie drogi.

Wstając po swoim narkotycznym śnie moja żona zsunęła pierzynę w nogi łóżka. Sinnikka sypiała na dwóch zagłówkach pokrytych tkaniną o renesansowym, włoskim wzorze w kwiaty oraz stykające się dziobkami niewielkie ptaszki. Zagłówki przesunęły się gdy Sinnikka wstała, na górnym nadal widniał odcisk jej głowy - niekształtne wgłębienie przypominające raczej usta greckiej maski, uosabiającej Tragedię. Spod dolnego zagłówek wystawał róg koperty.

Koszmar przeczucia! Jakiż to fragment koperty wystawał zza poduszki? Zaledwie małeńki trójkącik błękitnego papieru na kremowobiałym prześcieradle, nie więcej jak parę centymetrów. Jednakże wiedziałem, że błękitna koperta kryje w sobie moje potępienie, moją zgubę, która jakoś... jakoś wyjdzie na jaw w przyszłości. Czekwała tu na mnie, wysuwając sztywny język niczym martwa bestia.

Oblał mnie zimny pot. To właśnie mają na myśli ludzie, kiedy mówią, że zastygła im krew w żyłach.

Niechętnie zbliżyłem się do łóżka Sinnikki i wyciągnąłem kopertę.

Widniało na niej moje nazwisko, wypisane niewprawnym, dziecięcym charakterem pisma. Koperta została zgrabnie rozcięta wzdłuż górnego grzbietu. Nie miałem cienia wątpliwości kto to zrobił - w małżeństwie co do takich spraw nigdy nie ma się wątpliwości.

Drżącymi palcami wyjąłem z koperty pojedynczy arkusz papieru.

Dzień i godzina wskazywały na ubiegły wieczór, kiedy nadal byłem w Oulu. List był krótki, napisany błękitnym atramentem tą samą ręką, która zaadresowała kopertę.

Nie mogę być na Twoim koncercie, niezmiernie mi przykro. Muszę pojechać do Szwecji przedłużyć wizę. Wiem, że autobus, którym podróżuję, będzie przejeżdżał przez Twoją rodzinną miejscowość. Toteż, choć nie mogę przywitać się z Tobą, mogę przynajmniej ujrzeć Twój dom, stanąć na Twoim ganku. Wsiądę z autobusu i złapię następny za godzinę.

Nie wiesz nawet jak mam na imię. Zapewne to, co robiłeś ze mną, robisz z wieloma

dziewczętami. Chcę, żebyś wiedział, iż tamto nieoczekiwane spotkanie w ubiegłym tygodniu i jego jeszcze bardziej nieoczekiwany koniec, było intensywnym, zachwycającym doznaniem.

Spotkać nieznanego i po godzinie kochać się z nim - w dodatku takiego nieznanego jak Ty! Chciałabym, abyś wiedział, iż nigdy przedtem nie zachowałam się w ten sposób i nigdy nie zachowam. To było niezwykle, niesamowite przeżycie.

Żadna perwersja. Nie. Ucałowaniu dla całej ludzkości, a zwłaszcza dla Ciebie. Nadal pulsuje mój umysł, pulsuje moje ciało. Dziękuję, dziękuję Ci, cudowny człowieku.

Bądź zawsze szczęśliwy i zawsze wielki w Twojej muzyce.

Twoja kochająca

Carol-Ann

Wsunę tę karteczkę pod Twoje drzwi i prócz nas nikt nigdy nie pozna naszej tajemnicy.

Taka naiwność. Okłamywanie samej siebie. Bardzo wzruszające, tylko że prawdopodobnie u podstaw pielgrzymki Carol-Ann na mój ganek leżała skrywana ochota, aby uchylić nieco rąbka tajemnicy. Jeśli tak było, to impuls ten w zaledwie godzinę czy dwie później przyniósł dziewczynie śmierć.

Włożyłem list do koperty i zastanowiłem się, jaki powinien być mój następny ruch, gdy usłyszałem jak do sypialni wchodzi moja żona.

Sinnikka weszła cicho, jej oczy i pieprzyk na policzku spokojnie analizowały sytuację. Mimo, że schowałem list, ruchu nie dało się ukryć. Powoli, bez najmniejszego poruszenia, wyraz twarzy Sinnikki uległ zmianie - pojawiło się podniecenie. Chociaż nigdy nie spuszczała ze mnie swojego potrójnego wzroku, teraz w jakiś sposób złagodziła obserwację.

Miękkim, nieomal ukradkowym ruchem zamknęła za sobą drzwi - bez sensu, gdyż nie licząc martwej dziewczyny, byliśmy w domu zupełnie sami - i zaczęła zdejmować cienką podomkę, którą narzuciła na koszulę nocną.

- Rozbierz się, przed przyjazdem policji będziemy się kochać.

W jej głosie, znizonym i chrapliwym, zabrzmiała nuta takiej... cóż... jednocześnie prośby i rozkazu, tak silna, że natychmiast uczyniłem to, co mi powiedziała. Akt odrzucania ubrań, wzajemnego obnażania naszej nagości spowodował, iż rozbudziły się i wezbrały we mnie dawne żądze. Oto prawdziwe zło, oto skok przez równik w przeciwnym kierunku, od wygodnej terażniejszości z powrotem ku nieznanemu. Jesteśmy anonimowymi ssakami i zbyt wiele mamy do ukrycia, aby odsłonić coś więcej prócz własnych ciał. Nabrzmiała i czerwona, moja męskość wystrzeliła przede mną niczym ostry róg zwierza.

Sinnikka rozsnuwała wokół siebie jakiś dziwny, alchemiczny aromat, piźmowaty zapach plastra miodu przechowywanego zbyt długo w starej bielizniarce. Intensywne spojrzenie jej sutków, ciemnych i zdziwionych, objęło całe moje ciało. Okres patrzenia sobie w oczy mieliśmy już poza sobą.

Jak blisko siebie są miłość i nienawiść. Runęliśmy zwarci na łóżko, jakby naszymi umysłami zawładnął mord - i tak było w istocie. Nic nie mogło zakłócić naszych uniesień.

A jednak coś zakłóciło samą kulminację naszego szału.

W oknie pojawił się łeb renifera, we framugę okna załomotały rosochate rogi. Podnieśliśmy wzrok.

Na zewnątrz stał kapitan Hakkennon. Przyłożył dłoń do daszka czapki w formalnym geście i ruszył wokół werandy w stronę drzwi.

Sinnikka ukryła twarz w poduszkach. Wskoczyłem z łóżka, dałem jej lekkiego, pieśzcotliwego klapsa w tyłek i czym prędzej założyłem coś na siebie. Hakkennon łomotał we frontowe drzwi. Wcisnąłem zdradziecką kopertę głęboko do kieszeni spodni.

- Daj mi ten list - wykrztusiła Sinnikka.

W milczeniu wepchnąłem ręce w rękawy koszuli i na bosaka poszedłem otworzyć drzwi.

Pal sześć - policjant czy też nie - Hakkennon i ja jesteśmy przyjaciółmi, a już na pewno starymi znajomymi. Gdy Hakkennon wkroczył do salonu, jego włosy były jakby nieco wełniste.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w niczym ważnym.
- Przyprował pan ze sobą renifera?
- Przyleciałem helikopterem.
- Niczego nie słyszałem.
- Mam kłopoty z zapalaniem silnika. Dlatego jestem tak późno.
- A co z reniferem?
- Czy ja przypadkiem nie czuję tu kawy?
- Naprawdę nie słyszałem jak pan przyjechał.
- Może był pan zajęty. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w niczym ważnym.
- Ale gdzie jest renifer?
- Eee... Tak mówiąc szczerze, to jestem opętany przez ducha renifera. Widział go pan?
- Nie widziałem żadnego helikoptera.
- Mówię o reniferze.

Do pokoju weszła moja żona. Naga, trzymała włosy nad głową w jakiś zwariowany sposób. Moja przecudowna Klitajmestra.

Gestem wskazałem Hakkennonowi fotel. Teraz, w obecności nagiej kobiety, wstał i rzekł:

- Dzień dobry. Mówiłem właśnie pani mężowi, że jestem opętany przez ducha renifera. Sinnikka błysnęła zębami w upiornym uśmiechu.
- Czy pan i to nie napilibyście się kawy?

Przeszła majestatycznie przez pokój, a ja przyglądałem się kapitanowi, który lekko ogłupiały siedział z półotwartymi ustami, jakby zamierzał już tak pozostać.

- Czy chciałby pan obejrzeć ciało, panie kapitanie?
- O tak, chcę. Tak... Dziękuję bardzo. Znakomicie.
- Ciało martwej dziewczyny znajduje się w następnym pokoju.
- Moja żona, jak pan wie, to raczej taka koścista chudzinka.
- Renifer?
- Tak.

Z trudnością panowałem nad sarkazmem w głosie. Teraz zauważyłem, że Hakkennon jest nieco oszołomiony, tak jakby i on przekroczył tajemniczy południk. Wstając odezwałem się tak przyjacielskim tonem, na jaki tylko było mnie stać:

- Domyślam się, że teraz, po tym opóźnieniu, naprawdę zamierza mnie pan aresztować. Czekaając na pana zdążyłem przeczytać od deski do deski całą powieść.

- Odniosłem wrażenie, że nie był pan pochłonięty czytaniem kiedy... Cóż, o to zapytam podczas przesłuchania. Z pewnością nie będzie pan stawiał oporu, nieprawdaż? W stadzie reniferów powiadamy, że „po cichu wszak to lepiej niż żwawo jak ptak”. To stare przysłowie.

- Wszą? Chyba wesz. Nie wiedziałem, że renifery mają wszy. Pan dobrze się czuje?

Sinnikka, dramatycznie przerywając naszą konwersację jeśli można to tak nazwać - ponownie wkroczyła niosąc dzbanek kawy. Nadal była goła jak nowonarodzone dziecko, tylko znacznie lepiej od niego rozwinięta.

- Może kawy, najdroższy kapitanie Hakkennon?

Gdy skinął głową półprzyciennie, Sinnikka przerwała, by spytać, czy kofeina nie uderza mu do głowy.

- Nie - odrzekł.
- To tyle będzie akurat - oświadczyła, po czym wylała cały dzbanek kawy na głowę

Hakkennona. Nie zrobiła tego gwałtownie, była to raczej rześista, wiosenna ulewa. Kawa, spływając po gęstych kędziarach, poczyniła spustoszenia niczym huragan na wrzosowisku.

- Mleka?

Nie odpowiedział. Podobnie ja nie wyrzekłem ani słowa.

Wstałem, żeby wymierzyć Sinnicce policzek, gdy ta rzuciła szybko z przerażeniem w oczach:

- O mój Boże, zapomniałam o mleku...

I pierchła w stronę kuchni.

Nie bardzo wiedziałem co mam powiedzieć, oprócz tego że Sinnikka jest poddenerwowana... no i zaoferować ręcznik. Nie licząc smutnych spojrzeń rzucanych spod zmoczonej kawą grzywki, Hakkennon nie zaprotestował w najmniejszy nawet sposób. Pojąłem, iż rzeczywiście opętała go dusza renifera Hakkennon miał długą twarz melancholika, wystające z nozdrzy kępki włosów, które opadały na niewielkie, mokre wąsy. Obraz dopełniały ogromne, zamglone oczy - pełne winy i smutku świata - należały nie tylko do kapitana Hakkennona, ale także do tamtego płochliwego, udręczonego stworzenia, które żyje na północy naszego kraju.

- Chyba powinienem obejrzeć teraz ciało - powiedział Hakkennon. - Zwłoki, właśnie...

Carol-Ann Crutchley Cracken leżała tam gdzie ją zostawiłem, tuż obok spostrzegłem plecak. Na jej twarzy nadal widniało jakieś odległe piękno, ale w dalszym ciągu nie rozpoznawałem w Carol-Ann tamtej młodej kobiety, z którą w ubiegłym tygodniu uprawiałem namiętną, acz nierozważną miłość. Pograżyłem się w zadumie nad dolą człowieczą, a oficer przyglądał się ranom ofiary.

W końcu podniósł wzrok.

- Zmarła bardzo niedawno. Wezwę jednego z moich ludzi, żeby zaniósł ją do helikoptera.

- Ma pan tu swoich ludzi?

- Dom jest otoczony.

- A renifery? Też są?

Balem się reniferów i ich niemych dusz.

- To cud, że nie wtargnęli do środka, kiedy pańska żona dopuściła się na mnie zniewagi.

- Jestem zdania, że psychiatra sądowy mógłby powiedzieć, iż na swój sposób starała się panu przypodobać, a nie **znieważyć**.

- Tę ranę z pewnością zadała ręka kogoś z Bezpieki. Ich noże pozostawiają wyraźny ślad, poznają to po rozdarciu bluzki. Chcę dokładnie obejrzeć miejsce, w którym znalazł pan ciało, a potem polecimy do sztabu. Nic wesołego.

- Chyba rozumiem.

- I żadnej kawy.

- Daję słowo.

Rzucił mi mroczne spojrzenie.

Weszli współpracownicy Hakkennona i zajęli się wyniesieniem zwłok. Pracowali powoli, jakby z czcią. Do ich letargicznej ospałości przyczyniła się bez wątpienia Sinnikka, która całkiem naga pojawiła się w czerwonym ręczniku na głowie.

W międzyczasie Hakkennon pozbierał nieliczne przedmioty należące do Carol-Ann, w tym egzemplarz „Niesamowitego uśmiechu”.

- Czy to cały jej dobytek?

- Książkę napisał jakiś jej krewny. To może być pewien ślad.

- To wszystko? Niczego pan nie zabrał? No dobrze, wychodzić.

Usiłował zmusić się do bardziej oficjalnego tonu i nawet ścisnął mocniej służbowy rewolwer w celu podbudowania powracającego autorytetu. Ale nadal stapał niczym renifer, a ciężka, długa głowa kołysała się w rytm kroków.

Helikopter przycupnął na skraju drogi. Był to pomalowany w szaroczarne plamy

rosyjski Mi-1, maszyna używana przez policję wielu krajów - tęponosa, powolna, godna zaufania jak stary, wysłużony policjant. Hakkennon nadzorował załadowanie zwłok, a potem -w asyście maszerującej z tyłu, uzbrojonej eskorty - przeszliśmy szosą odcinek, który pokonałem kilka godzin wcześniej.

W czasie drogi zadawał mi pytania. Dlaczego poszedłem z lotniska na piechotę, a nie pojechałem samochodem? Dlaczego nie towarzyszyła mi moja żona? I tak dalej. Melancholijna, wąska głowa z mokrymi włosami odwracała się obserwując czujnie mój każdy krok.

Wbrew samemu sobie robiłem się coraz bardziej zmieszany, moje odpowiedzi stały się niepewne. Nie potrafiłem przypomnieć sobie okoliczności, w jakich natknąłem się na ciało Carol-Ann, a na domiar złego nie byłem nawet pewien po której stronie drogi leżały zwłoki.

- Na pewno gdzieś tu. Nie... Może nieco dalej...

Hakkennon nie zwracał na mnie uwagi. Spuścił głowę, zawładnął nim duch na wpeł udomowionego zwierzęcia. Do przodu wysunął się nos - czujny, inteligentny. Z czaszki wyrosło niewidzialne poroże. To Hakkennon wypatrzył zmiętą trawę i prawie niewidoczne plamy krwi przy drodze. To on bez słowa skinął na policyjnych fotografów.

Dwadzieścia minut później wsiedliśmy do śmigłowca.

Wtedy, na wprost szaroczarnej, wibrującej maszyny, zwierzę stało się mniej pewne siebie.

- Zawsze gdy latam czymś takim, robi mi się niedobrze.

- Niech pan złapie oddech, a ja tymczasem skoczę do domu po marynarkę.

Nie czekając aż ktokolwiek mnie zatrzyma, wbiegłem do domu. Żeby powiedzieć coś do Sinnikki wykorzystałem pierwszy lepszy pretekst, jaki mi przyszedł do głowy. Zarzuciła na siebie sukienkę. I jak zwykle, to ona grała pierwsze skrzypce.

- Oddaj mi ten list. Zniszczę go, bo w przeciwnym wypadku oboje pójdziemy przez niego siedzieć.

- Po jaką cholere odegrałaś to wariactwo, przeklęta dziwko?! Tylko po to, żeby nastawić Hakkennona przeciwko mnie?

Och, ten uśmiech! Jak ten pieprzyk na mnie patrzy!

- Na ławie oskarżonych będę udawała obłąkaną, ty skurwysynu. Hakkennon to mój świadek. Po co przytargałeś tu te zwłoki?

Na dworzu rozległ się odgłos pośpiesznych kroków, dudniących po betonowej ścieżce. Rzuciłem się przez pokój i chwyciłem marynarkę, która leżała tam gdzie ją cisnąłem ubiegłej nocy – na oparciu krzesła. Pod krzesłem poniewierała się druga powieść i dwa słowniki, które należały do Carol-Ann. Kompletnie o nich zapomniałem. Pokazanie ich teraz kapitanowi mogłoby jeszcze bardziej mnie obciążyć po tym jak oświadczyłem, że nie mam żadnych innych rzeczy dziewczyny.

Błyskawicznie wcisnąłem książkę do kieszeni. Słowniki były na to za grube. Cisnąłem je za sofę. Ledwie upadły, gdy do domu wtargnęli dwaj ludzie Hakkennona. Walczyłem, moja żona wrzeszczała, a dwaj faceci klęli na czym świat stoi. Minuta po minucie życie zaczynało przypominać „Niesamowity uśmiech”. Przewróciłem się i pozwoliłem, żeby powlekli mnie do śmigłowca, którego wirujące łopaty wzbijały w górę chmury piasku.

* * *

W trzy godziny po przyjeździe na posterunek w Kuusamo zaprowadzono mnie do celi, dano miseczkę płatków i kubek czarnej kawy, a potem zostałem sam. Rozległ się syk hermetycznie zamykanych drzwi, odgłos przekręcanego klucza w zamku.

Po jedzeniu poszedłem się położyć. Moje poczucie czasu zostało zachwiane - było wczesne popołudnie, a mimo to czułem się wykończony i nie potrafiłem sobie przypomnieć kiedy ostatnio spałem.

Hakkennon okazał się surowym śledczym. Siedział z listem Carol-Ann przed oczyma - jego ludzie przeszukali mnie i zwrócili mi wszystkie rzeczy oprócz tej jednej - sondował i dręczył mnie pytaniami bez końca, dopóki nie utraciłem jakiejkolwiek szansy obrony, utraciłem moją dumę i kłamstwa poszły w zapomnienie.

- Jestem przekonany, że pan, pańska żona lub oboje jesteście zamieszani w tę zbrodnię popełnioną na niewinnej cudzoziemce. Musi pan, o ile zdoła, dowieść mi, że się mylę albo wykończę pana. Nigdy nie ustane. Renifer spędza całe życie w ruchu.

- Ja jestem wilkiem stepowym, banitą. Nie mam domu, nie mam dokąd pójść.

- Ile razy miał pan stosunek płciowy z denatką?

- Mówiłem panu. Jeden raz, tydzień temu, kiedy powinienem był uczestniczyć w próbie mojej symfonii. To nie było nic poważnego. Nic wiem nawet jak miała na imię.

- Ona sądziła, że to coś poważnego.

- To była przelotna znajomość.

- Z iloma innymi kobietami był pan przelotnie związany?

- Z żadną.

- Kiedy ostatnio przed Carol-Ann?

- Z żadną.

- Czy pańska żona wiedziała o romansie?

- Ścieżka pomiędzy miłością, a nienawiścią jest bardzo wąska.

- A w pańskim przypadku również ścieżka między życiem i śmiercią. Niech pan stąpa ostrożnie.

- Hakkennon, ja usiłuję powiedzieć panu prawdę, słowo honoru. Prawda leży na dnie serca - czy też tego, co w dzisiejszych czasach za nie uchodzi. Gorąco kocham moją żonę, staram się być wierny, być zawsze dobrym mężem. Ale tkwi we mnie zło, gdyż jestem człowiekiem. Nie jestem bohaterem z książek. Jestem poczciwym facetem, ale i nieco złym - taka jest natura człowieka. Rozumie pan. Jest pan policjantem - musi pan rozumieć zdradziecki czar zła. Kocham ją i nienawidzę. Ona jest zbyt blisko mnie. Jestem wygnańcem, potrzebuję przestrzeni, wolności. Tą przestrzenią była Carol-Ann - nieznana, anonimowa. Kobięcość, to dodające otuchy, otulające człowieka mroczne łono. Rozumie pan? Nie byłem w stanie nienawidzić jej, toteż nie miałem motywu, żeby ją zamordować.

- Ile było innych anonimowych kobiet?

- Ani jednej.

- Kiedy ostatnio przed Carol-Ann?

I tak dalej, i tak dalej. Nic wiedziałem kiedy kłamię, a kiedy mówię prawdę. Zło obdarcza człowieka mocą i wtedy wiadomo kiedy się kłamię. Byłem słaby, zakłopotany. Zostałem stopniowo doprowadzony do stanu bezsilnej niewinności.

Moje myśli nie pozwoliły mi na odpoczynek. Zrozpaczony wyjąłem drugą książkę Carol-Ann z kieszeni i zerknąłem na okładkę. Podobnie jak poprzednia powieść, i ta należała do gatunku fantastyki naukowej. Czułem pogardę, pogardę, której nauczyła mnie Sinnikka, do tego rodzaju eskapizmu. Jednakże - zgodnie ze swoim przeznaczeniem - może powieść doda mi otuchy. Przez chwilę pozwoliłem moim myślom zastanowić się nad ludźmi, którzy piszą i czytają coś takiego - jakże jałowe, proste, może nawet czyste, musi być ich życie!

Tytuł drugiej pozycji brzmiał „Równik”. Cóż, to przynajmniej wygląda dość obiecująco. Nazwisko autora nic mi nie mówiło. Podejrzywałem, iż jest to bez wątpienia literacki pseudonim płodnego Jaela Crackena. Książka nosiła dedykację - „duchowi Hugo Gernsbicka”. Może to jakiś ślad, gdybym tylko wiedział kto to taki ten Hugo Gernsback...

Westchnąwszy, zabrałem się do rozdziału I.

RÓWNIK

1

Była to ta pora dnia kiedy człowiek nieomal czuje jak świat obraca się wokół swojej osi. W promieniach zachodzącego słońca zakurzone palmy wokół lotniska wyglądały jak wielokrotnie lakierowane kartonowe podpórki. Za dnia lśniły jakby były z metalu, wieczorem kojarzyły się z papier mâché. W tropikach nic nie jest sobą, jedynie tkanina rozpostarta przed upałem, wszystko inne to pozór.

Palmy zakołysały się sztywno kiedy statek AX25 z rykiem wzniósł się w niebo pokrywając twarde liście kolejną warstwą pyłu.

Trzej pasażerowie statku zostali wgnieci w swoje koje akceleracyjne zaledwie na parę sekund. Potem Allan Cunliffe dał do góry, ostrożnie wykonał rundę nad lotniskiem i tyle go widziano. Patrząc na opanowaną twarz Allana nikt nie odgadłby, że statek wyrusza właśnie w niebezpieczną misję.

- Od razu człowiek wie, że żyje - oświadczył zerkając z pewną dumą na świat hen w dole.

Przyjaciel Allana, Tyne Lesie, skinął zgodnie głową. Było to najlepsze co mógł w tej chwili zrobić. Przyłączył się do Allana i również wyjrzał przez okno.

Teraz imponująca panorama zachodu słońca była zaledwie czerwoną plamą na rozłożonym w dole dywanie - Sumatra leżała w poprzek równika niczym ryba nadziana na rożen. W górze usiana gwiazdami pustka. W żołądku Tyne'a - również gwiazdzista pustka.

„Od razu człowiek wie, że żyje...” Był to pierwszy szpiegowski patrol Tyne'a; a życie oznaczało dodatkową dawkę adrenaliny przewalającą się przez zastawki jego serca, zimny dreszcz na skórze znaczący niewidzialną trasę przemarszu stonogi, gwiazdzistą pustkę w jelicie cienkim.

- Czegoś takiego nigdy się nie doświadczy siedząc za biurkiem - powiedział.

„Wypiszę to sobie na biurku”, pomyślał Tyne.

Allan w milczeniu skinął głową. Jego milczenie zawsze oznaczało zgodę. Podczas gdy reszta świata tokowała jak nigdy przedtem, Allan Cunliffe pozostał milczący. Z pewnością, podobnie jak każdy Ziemianin, miał mieszane uczucia w stosunku do Rosków, jednakże nie ujawniał ich. Ta cecha charakteru w równym stopniu jak i inne, scementowała bliską przyjaźń między Allanem i Tynem na długo przedtem, zanim ten ostatni poszedł w ślady przyjaciela i wstąpił do Służby Kosmicznej.

- Chodźmy do Murraya - rzekł Allan klepnąwszy Tyne'a w plecy. Bez wątpienia po trosze podzielał uczucia swojego towarzysza.

* * *

Niewielki stateczek zwiadowczy, trzyosobowy zuczek z lekkim uzbrojeniem i akceleratorami „Medmenham X” Betsona i Wilsona należał do linii Hynam-Bristol Cunarda. Trzecim członkiem załogi i zarazem jej dowódcą był kapitan Murray Mumford – jeden z pierwszych ludzi, którzy cztery lata temu wypatrzyli Rosków.

Mumford uśmiechnął się szeroko do wchodzącej do kabiny dwójki kolegów, nastawił autopilota i odwrócił się do przybyłych.

- Będziemy na Księżycu za pięć godzin z kawalkiem – rzekł dowódca.

Pod względem fizycznym był barczystym ideałem mężczyzny. Pięć minut w jego towarzystwie dawało jasno do zrozumienia, iż Murray charakteryzuje się tym niezwykłym darem przekonywania, dzięki któremu jego przeciwnicy zmieniają się w zagorzałych wielbicieli. Zawsze wrażliwy na ludzkie uczucia Tyne zdawał sobie sprawę z magnetycznej właściwości Murraya. Nie dowierzał jej z prostego powodu, gdyż wiedział, iż Murray sam świadom jest swojej cechy charakteru i często robi z niej użytek wyłącznie na swoją korzyść.

- No, co tam widać? - przybrał bez troski ton zaciągnięwszy się skrzemem Allana.

- Łut szczęścia i wasza pierwsza prawdziwa misja okaże się bułką z masłem - powiedział Murray gdy zapalili skrzemy. – Naszym celem, jak wiecie, jest Sektor 101 na Lunie. Wywiad na Lunie informuje o nowym obiekcie na zewnątrz jednej z kopuł Rosków. Jest mały i, przynajmniej na razie, nie porusza się. Znajduje się na zewnątrz kopuły na południowym perymetrze Sektora 101, co oznacza że z naszej pozycji jest doskonale widzialny.

- Jak tam teraz ze światłem, Murray? - spytał Allan.

- Zachód słońca na Grimaldim, gdzie znajduje się Sektor 101, nastąpił cztery godziny temu. Wywiad podejrzewa, że być może Roskowie knują coś pod płaszczykiem ciemności; ostatnio nałożyliśmy mnóstwo restrykcji na ich linię Ziemia-Księżyc. Tak więc naszym zadaniem jest podkraść się od ciemnej strony i zbadać sprawę - naturalnie niepostrzeżenie, jeśli to będzie możliwe. Po prostu szybki zwiad, osobista inspekcja w skafandrach kosmicznych. Nie powinniśmy przebywać poza statkiem dłużej niż dwadzieścia minut. A potem do domu, sokoły.

Żołądek Tyne'a ponownie ścisnął się na widok rozgwieżdżonej próżni. Akcja - bał się jej i jednocześnie pragnął. Spojrzał na mapę Księżyca, którą niedbałym ruchem wskazał Murray. Niewielki czworokąt w kwadrancie opasującym obszar oznaczony nazwą Grimaldi, zacieniowano na kolor żółty. To Sektor 101. Obok, tym samym żółtym pisakiem zanotowano: Roskowie.

Tyne zauważył, że Murray przygląda się bacznie jego twarzy. Odwrócił się.

- Korporacja Ziemia popełniła wielki błąd pozwalając Roskom na bazę poza Ziemią - oświadczył Tyne.

- To ty siedziałeś za biurkiem, kiedy my z Allanem byliśmy nieopierzonymi rekrutami - odrzekł z uśmiechem Murray. – Ty powiedz nam, dlaczego przydzielono im Sektor 101.

- Jako oficjalny powód podano - wtrącił się Allan, wspierając przyjaciela, skoro ludzie byli uprzejmi w stosunku do obcych, to nie mogli chyba sądzić, że rasa znająca podróże kosmiczne zagrzebie się na jednej planecie. Mieliśmy moralny obowiązek odstąpić im część Grimaldiego, żeby mogli oddawać się lotom między Ziemią, a Księżycem.

- To była tylko oficjalna wymówka - zgodził się Tyne. Kiedykolwiek zaczyna się o tym bębnić, Korporacja Ziemia zawsze ma gotową odpowiedź: „moralny obowiązek”. A faktycznie to Roskowie nas prześcignęli. Są od nas o niebo lepsi w dyskusjach i debatach, potrafią namówić nas na wszystko, co tylko zechcą.

- A teraz Służba Kosmiczna robi porządek w tym burdelu polityków - stwierdził Murray. Zabrzmiało to nieco jak osobisty przytyk. Tyne nie zapomniał, że niegdyś był związany z polityką, toteż w obecnym stanie napięcia nie zignorował aluzji.

- Lepiej spytaj sam siebie, Murray, jaką to świetną robotę odwała nasza Służba Kosmiczna. Tylko w zeszłym roku stosunki między ludźmi a Roskami pogorszyły się do tego stopnia, że jeśli zostaniemy złapani w Sektorze 101, to być może skończy się to wojną.

- Dyplomatyczne głędzenie! - zachnął się z przekąsem Murray.

Następne cztery i pół godziny cała trójka spędziła w milczeniu, głównie czytając.

- Lepiej nie przysypiajcie. I odłóżcie książki - rzucił zniechęcony Murray, zeskoczył z koi i wrócił do kabiny.

- Nie zwracaj na niego uwagi, on często zgrywa się na nabitego mięśniami wychowa-

wcę szkolnego - roześmiał się Allan.

„Niezbyt często”, pomyślał Tyne nie zwracając sobie głowy głośnymi sprzeciwami. Murray kilkakrotnie pił razem z nimi w hotelu Merdeka na Sumatrze i wtedy jego maniere nie kojarzyły się z osobą nauczyciela. Tyne przypomniał sobie Murray'a - tańczącego kariokę aż do świtu, zwlekającego się po południu i pochłaniającego żarłocznie góry jedzenia - nieapetyczne, hotelowe śniadania, z których wcześniej zrezygnowali Allan i Tyne.

Teraźniejszość błyskawicznie zaciągnęła zasłonę nad myślami Tyne'a w momencie gdy na horyzoncie wyłonił się gigantyczny, czarny fragment Księżyca. Było to niczym spadanie w czeluść w kształcie uśmiechniętych ust. Kierowany przy pomocy radaru statek zwiadowczy znowu zamienił się z niewielkiego, rządzącego się własnymi prawami świata w maleńką, przesuwającą się po niebie łupinkę.

W dali zamigotały nieliczne światła - światła Rosków w Sektorze 101.

- Zapiąć pasy! - rozkazał Murray przez interkom.

Pojazd zwalniał. Hamowali coraz silniej, mieli wrażenie jakby przebijali się przez wodę, potem zupełnie, następnie melasę, a na koniec przez drewno. Potem już się nie przebijali - statek stał się lekki jak piórko. Zatrzymali się z lekkim szarpnięciem. Wylądowali.

- Wszyscy przebierać się! Miejcie pod ręką swoje cudzoziemskie karty identyfikacyjne!
- rzekł Allan uśmiechając się pocieszająco do Tyne'a.

Z kabiny wyszedł Murray dumnie krocząc z zadowoloną miną. Dla niego to chleb codzienny, istnieje tylko teraźniejszość, nic innego się nie liczy.

- Włączyłem osłonę antyradarową - rzekł Murray. - Nasi przyjaciele na zewnątrz nie sygnalizują alarmu. Wskakujmy migiem w skafandry.

Zaczęli wbijać się w kombinezony kosmonautów. Zajęło im to pół godziny; w tym czasie Tyne pocił się na potęgę zastanawiając się czy straż Rosków wykrył ziemski statek. Ale nie było innego wyjścia. Skafander kosmiczny to narzędzie nieporęczne, niewygodne i skomplikowane. Niebezpieczne, grymasne narzędzie umożliwiające przeżycie tam, gdzie normalnie człowiekowi nie dane jest przeżyć. Musi być nieustannie dopasowywane zanim w końcu można mu zaufać. Ze świecą szukać człowieka w całym systemie, który nie nienawdziłby skafandrów kosmicznych i nie zazdrościł Roskom ich niedościgłej przewagi.

Koniec końców wszystko sobie nawzajem poprzywiązywali, podociągali, przytroczyli i podokręcali. Trzy monstrualne roboty obróciły się powoli w ograniczonej przestrzeni wypełniając sobą nieomal cały statek i powoli, niczym płetwonurkowie, zbliżyły się do wjazdu. Pięć minut później cała trójka stała na powierzchni księżyca w absolutnych ciemnościach.

W dawnych, dobrych czasach, zanim Roskowie pojawili się w tym krańcu galaktyki, Tyne często bywał na Księżycu zarówno służbowo, jak i dla przyjemności. Nie był przygotowany na to jak jałowy i nieprzyjazny stał się teraz krajobraz księżyca. W ciemnościach stopnia A Grimaldi jawił się jako pustynia zmrożonej sadzy.

- Mamy jakieś pół mili do docelowej kopuły - w głośnikach skafandrów rozległ się świszczący głos Murraya. - Dalej, idziemy!

Widzieli dzięki wysięgnikom na podczerwień. Murray poprowadził ich skrajem krateru wydeptując ścieżkę pośród odłamków gruzu. Kopuły obcych wyłoniły się przed ich oczami niczym czarne piersi na tle przyozdobionego cekinami jedwabiu. Przez kraty swojego hełmu kosmicznego Tyne ujrzał świat jako gipsową parodię rzeczywistości - zbyt nierzeczywistą, aby mogła kiedykolwiek okazać się prawdą. Sam był karłem uwięzionym w żelaznej powłoce zmierzającego ku zagładzie robota. Zwalczywszy to irracjonalne uczucie, spostrzegł dziwny obiekt, który mieli zbadać.

Z przodu coś leżało, zobaczenie co to takiego było niemożliwe. Tyne dotknął ramienia Allana. Ten ostatni podreptał w miejscu i odwrócił się w kierunku wskazanym przez Tyne'a. Murray zatrzymał się machnąwszy na nich niecierpliwie ręką. „Facet podobnie jak ja, czuje się jak na patelni”, pomyślał współczująco Tyne ponownie wysuwając palec w kierunku cie-

mności.

W następnej sekundzie stali skapani w popielatym blasku ukośnego światła reflektorów przesuwanymi sprawnymi, oszczędnymi ruchami.

Światło nie pochodziło z kopuły, a z punktu na stoku krateru. Całkowicie oślepiiony Tyne stanął jak wryty, w jego czaszce tłukła się myśl, że wpadli w zasadzkę.

- Padnij! - wrzasnął Allan.

- Zestrzelcie to światło! - krzyknął Murray. Jego potężna metalowa dłoń powędrowała w dół w kowbojskim geście i chwyciła nieporęczny pistolet. Murray wymierzył, broń odrzuciła i rozległ się głuchy szcęk. Przez mikrofon Murraya Allan i Tyne słyszeli strzały jedynie jako wibrujące, dudniące dźwięki.

Murray zestrzelił reflektor. Światło zniknęło, ale natychmiast z najbliższej kopuły wystrzelił następny promień przeszukując oślepiającą elipsą powierzchnię Księżyca tuż przed nimi. „Pewnie do nas strzelają”, pomyślał obojętnie Tyne, „Człowiek nie będzie nawet wiedział, kiedy oberwie”. Wyciągnął swój pistolet i rozpoczął szaleńczy ostrzał mniej więcej w kierunku, z którego spodziewał się ataku wroga.

- Idą! Tyne, zwiewaj do statku! - ryknął Allan. Gdy dopadło ich światło reflektorów, Tyne kątem oka spostrzegł poruszające się sylwetki. Roskowie przyczaili się i czekają na nich. Nagle poczuł potężny cios w ramię, po którym jego całe ciało rozpałił przesywający, paraliżujący ból rozświetlający mózg niczym rozszalały neon. Skafander zazgrzytał niczym pękający pień drzewa, i z Tyne'm w środku, zwałił się w szary pył. Upadając, Tyne kątem oka zauważył podrywające się z ziemi sylwetki nadbiegających Rosków.

* * *

Wiosna na półkuli północnej. Marzec, anno domini 2189. Satelity przeszukujące przestrzeń kosmiczną poinformowały Ziemię o nie zidentyfikowanym obiekcie, przesuwanym się w kierunku granic systemu słonecznego. Powiększony komputerowo obraz obiektu wkrótce pojawił się na wszystkich ekranach telewizyjnych wszystkich narodów Ziemi. Obiekt okazał się dwudziestościanem z beczułkowatymi wybrzuszeniami na szeregu płaszczyznach. Bryła koziołkowała w przestrzeni kosmicznej zbliżając się do Słońca. Tajemniczość obiektu potęgowały jego przerażające rozmiary. Przy średnicy około 220 kilometrów masa obiektu wynosiła w przybliżeniu $1,5 \times 10^{19}$ kilogramów.

Planeta? Kometa? Nowa planetoida? Więcej pytań niż odpowiedzi. Z rosnącej góry informacji wyłoniła się jedna, jedyna, nieunikniona odpowiedź: żaden obiekt pochodzenia naturalnego nie emituje zakodowanych sygnałów radiowych. Żaden obiekt pochodzenia naturalnego nie zwolniłby zbliżając się do Słońca. Początkowo informację o wytracaniu przez obiekt prędkości przyjęto z ulgą, jako że komputery zdążyły już obliczyć, że gdyby obiekt kontynuował lot pierwotnie obranym kursem, wkrótce zderzyłby się z Ziemią. To uczucie ulgi zmieniło się w obawę. Obiektem musi kierować jakaś forma inteligentnego życia, przypuszczalnie mieszcząca się wewnątrz dwudziestościanu. Czyli obiekt musi być statkiem międzygalaktycznym.

„MAMY GOŚCI!” - krzyczały nagłówki gazet.

Podobnie jak każde niezwykle zjawisko na niebie, obiekt ten przyniósł ludziom nadzieję, ale i rozbudził obawy. W zależności od wrodzonych cech charakteru ludzie mieli nadzieję lub też odczuwali strach. Skłócone narody zjednoczyły się i przygotowały swoją najgroźniejszą broń, aby stawić czoła wrogo usposobionemu nieprzyjacielowi. Politycy wykorzystali okazję, aby wygłaszać podniosłe mowy o wspólnym dziedzictwie, wspólnym dobrze.

Ogólne referendum światowe dowiodło, iż mniejszość opowiada się za natychmiastowym zaatakowaniem przy pomocy broni nuklearnej zbliżającego się dwudziestościanu, zanim ten otworzy ogień w stronę Ziemi. Większość była za czekaniem w pełnej gotowości, pokła-

dając nadzieję w posiadanej broni. Standardowy procent Nie Miał Pojęcia, jednakże w jednej kwestii zgadzali się wszyscy - to wspaniałe, to cud.

Dwuosobowy statek wystrzelony z Marsa zrównał się szybkością z potężnym gościem - i nie został zaatakowany.

Nastąpił kres izolacji ludzkości w gigantycznym wszechświecie. Ludzie przestali uważać się za jedyne istoty rozumne, nie myśleli już także o sobie samych jako o potencjalnych władcach kosmosu. Ci goście nie wiadomo skąd przybyli manifestacyjnie jako przedstawiciele technologicznie wyższej cywilizacji. Pozostało mieć tylko głęboką nadzieję, że cywilizacja ta charakteryzuje się również wyższą moralnością.

Gdy dwudziestościan wytracając prędkość wszedł na orbitę systemu Ziemia - Księżyc, przedstawiciele cywilizacji zdecydowali się na ujawnienie swojej obecności. Gorączkowe spekulacje osiągnęły szczyt, a „eksperci” na całym świecie prześcigali się nawzajem w domniemywaniu jak potworni okażą się obcy w oczach mieszkańców Ziemi. Pierwszy raz od czasów H. G. Wellsa, po nieomal trzech stuleciach, ludzkość stanęła w obliczu mrowia wiarygodnych z punktu widzenia nauki kosmitów. Co tam nauka! Czym jest nauka w obliczu wielkiej niewiadomej? Roskowie ujawnili się - bardzo przypominali istoty ludzkie. To właśnie okazało się niebotycznym, najbardziej szokującym zaskoczeniem. Żadnych rogów, ogonów, zielonych pancerzy, mnóstwa oczu czy też słoniowatych nóg.

Roskowie - jak sami siebie nazywali - wyglądali jak mężczyźni i kobiety. Raczej nie mężczyźni i kobiety rasy białej, ale powiedzmy, Malajowie. Różnili się między sobą, ale generalnie ich skóra miała odcień jasnobrażowy. Nie mieli garbatych nosów, a oczy w zasadzie brązowe. Tylko kolor ich włosów wydawał się w niektórych wypadkach nieco odbiegający od utartych wzorców. Temperatura ciała Rosków, jak się okazało później, wynosiła 40,6°C, co wskazywałoby na to, że przybysze pochodzą z planety gorętszej od Ziemi.

Lubieżną ciekawość podsycało pytanie czy na gigantycznym statku znajdują się kobiety, jak wyglądają, i czy metoda rozmnażania się obcych jest identyczna z ziemską. Wkrótce na ekranach monitorów informacyjnych pojawiły się kobiety. Były dobrze ubrane i nie różniły się zbyt od Ziemianek. Jeśli to również był szok, to na pewno cudowny.

W chwili gdy olbrzymi statek kosmiczny zbliżał się do Ziemi, Tyne Leslie był najmłodszym sekretarzem podsekretarza Podsekretarza Brytyjskiej Misji przy Radzie Narodów Zjednoczonych. Znajdował się na uprzywilejowanym stanowisku obserwując z niego zaskakujące zmiany personalne, tak charakterystyczne dla wszystkich departamentów ministerialnych we wszystkich państwach na świecie - gdy stopniowo następstwa rewelacyjnej wizyty stały się znacznie poważniejsze. Obraz prawdziwej sytuacji wyłaniał się stopniowo jak eksperci i ich komputery przełamali koszmarną barierę językową, która niczym fala uderzeniowa dzieliła obie strony.

Prawdziwa sytuacja była alarmująca i dziwna jednocześnie. Roskowie nie przybyli na Ziemię z misją podboju. Nie przybyli również po to, aby ofiarować ludziom dar wiedzy i mądrości. Mieli inny powód, aby odwiedzić Ziemię.

Po przełamaniu bariery językowej i ostrożnych rozmowach wstępnych Roskowie ogłosili powołanie na swego rzecznika, ich ambasadora na Ziemi, niejakiego Tawdella Co Barra żółtowołosego, szczuplutkiego, anemicznie wyglądającego dygnitarza. Tawdell Co Barr przesłał na Ziemię holograficzny fantom, który wygłosił mowę do Wielkiego Zgromadzenia Rady Narodów Zjednoczonych.

Odziany w przylegający, zielony strój holograficzny obraz wielkości człowieka przemówił po angielsku sympatycznym głosem:

- Pozdrawiamy was, wszystkie narody Ziemi. Jesteśmy zdumieni waszą różnorodnością. Gratulujemy wam, iż żyjecie razem w pokoju. Chcemy ofiarować wam naszą przyjaźń i w tym celu przede wszystkim przedstawiamy garść informacji o nas samych. Ja sam jestem two-rem zbudowanym ze skoncentrowanej wiązki świetlnej, ale reprezentuję istoty żyjące, które

na tyle na ile można to określić, krwawią i oddychają podobnie jak wy. Dlatego też mamy nadzieję w przyszłości nawiązać dobre stosunki.

- Nasz macierzysty statek, znajdujący się w pobliżu waszej planety, jest pojazdem międzygalaktycznym, który podróżował przez wiele, wiele lat. Statek - matka mieści w sobie cztery niewielkie rakiety międzyplanetarne i ponad pięć tysięcy ludzi - kobiet, mężczyzn i dzieci. To koloniści poszukujący nowego świata. Nasza rodzinna planeta jest przeludniona, rozwiązaliśmy wiele problemów, ale nie uporaliśmy się z problemem przeludnienia. To, co w teorii wydaje się proste, w praktyce okazuje się skomplikowane. Pochodzimy z planety krążącej wokół Słońca, które znacie pod nazwą Alfa Centauri. To pierwsza wyprawa międzygalaktyczna, jaka wyruszyła z tamtego regionu. Zachęteni wynikami analiz galaktycznych, które potwierdzały, iż w systemie istnieją planety nadające się do zasiedlenia, przybyliśmy do naszego najbliższego sąsiada - Sol. Stwierdziliśmy, że jedyna odpowiednia do zamieszkania planeta roi się od inteligentnych, podobnych do nas istot. Macie ponadto kolonie na Księżycu, Wenus, Marsie, ale kolonie te nie są w stanie przetrwać bez zasobów naturalnych dostarczanych z Ziemi.

- Chociaż radzi jesteśmy z poznania innych rozumnych istot, trudno wyrazić bezmiar naszego rozczarowania. Wygląda na to, że nasza długa podróż poszła na marne. Pragnęliśmy, aby Ziemia stała się naszym domem.

Fantom urwał nagle, jakby zamierzał jeszcze coś dodać. Gdy nie padło już ani jedno słowo, Sekretarz Generalny Wielkiego Zgromadzenia wygłosił krótką odpowiedź.

Po kurtuazyjnym powitaniu rzekł:

- Wasza wiedza jest z pewnością wystarczająco zaawansowana, abyście rozumieli że planety nadające się do zasiedlenia nadają się do zasiedlenia tylko dlatego, iż są zasiedlone. To biomasa utrzymuje warunki sprzyjające powstaniu życia. Biomasa nie jest uzależniona od istnienia inteligentnego życia. Tego nie można było stwierdzić z Alfa Centauri.

Podobne mowy wygłaszano w ciągu następnych dni i tygodni, aż na północną półkulę, nawet na Syberię, wdarła się gorąca pora letnia i przez równoleżniki przewaliła się potężna fala bujnej zieloności. Rozlało się morze ciepła i światła, w efekcie czego każde nowe przemówienie hologramu Tawdella Co Barra ujawniało nowy, niefortunny fakt dotyczący wizyty Rosków.

Sekretarz Leslie widział narastającą konsternację polityków. Nieświadomi piętrzących się trudności szaraczkowie - gdy już raz przewyciężyli naturalne początkowe rozczarowanie wywołane brakiem macek, oczu na słupkach i zielonych łusek - zaczęli uważać gwiazdnych wędrowców za herosów. Nie przejęli się również zbytnio, gdy Tawdell Co Barr wyznał, że system polityczny Rosków to dyktatura Przywódcy Ap II Dowla.

Potrzebą dnia stało się zachowanie pełnej niepokoju uprzejmości. Napięta sytuacja wpłynęła poprzez rząd na przemysł i handel, a za pośrednictwem przemysłu i handlu na codzienne życie. W lipcu główny Skarbiec Centralny, który zastąpił dawny system giełd papierów wartościowych i banków, ucierpiał z powodu ostrego kryzysu sprzedaży. Nastąpiła recesja. Dwudziestotysięczny nadal rzucał cień, ale grupka Rosków, kobiet i mężczyzn, pojawiła się na Ziemi; widziano ich w miastach i centrach rolniczych. Ich fotografie dotarły do najdalszych zakątków planety.

W zamian za okazaną im gościnność Roskowie zaprezentowali gospodarzom zarejestrowaną na taśmach wideo dokumentację na temat życia na ich ojczystej planecie. Wymieniono próbki egzotycznej flory. Politycy naciskali, aby wejść na ogromny statek Rosków. Przybysze nigdy nie powiedzieli „tak”. Prezydentów, naukowców, dziennikarzy, wybitne osobistości - wszystkich zalewali potokiem przeróżnych wymówek i przeprosin, a następnie uprzejmie odprawiali z kwitkiem. W niepewne kontakty wkradła się uraza.

W sierpniu Tawdell Co Barr wygłosił wiekopomne przemówienie, które - przy narastającym kryzysie - rzuciło nieco światła na wzajemne stosunki. Wszyscy zgadzali się, że dosko-

nałe wyczuł moment.

- Nie możemy pozwolić wam wejść na pokład naszego statku - kolonii. Jesteśmy przekonani, że zrozumiecie powody, dla których nałożyliśmy ten zakaz. Nasz naród stracił dwa długie pokolenia na ryzykowną podróż na Ziemię. Dożywotnie uwięzienie stwarza wiele bardzo poważnych problemów, tak psychicznych jak i psychologicznych. Przekonaliśmy się, że istnieją mikroorganizmy daleko lepiej przystosowane do odbywania podróży niż Roskowie. Wielu moich pobratymców zmarło w trakcie wędrówki, wielu umiera nawet teraz na nieznaną dotąd chorobę wywołaną awitaminozą. Nasz statek zachęca do wejścia nie bardziej od kostnicy. Nie chcielibyście tam wchodzić.

- Nie mamy zamiaru wywierać nacisku na Ziemian, ale musimy zdać się na waszą łaskę w imię wszelkiego inteligentnego życia. Nie jesteśmy w stanie podróżować dalej. Nie mamy domu, potrzebujemy dachu nad głową. Wszystko o co prosimy to jakieś miejsce, niewielki spłachetek ziemi na waszej planecie, gdzie moglibyśmy odpocząć i powrócić do zdrowia po długiej pielgrzymce.

Kawałek ziemi? Miejsce? Ale jakie miejsce? Tyne przysłuchiwał się szeptom polityków. Gdzie umieścić pięć tysięcy Rosków?

- Niech pan im powie, żeby poszli won - odpowiedział Tyne Podsekretarzowi i został zakrzyczany - nikt nie odważyłby się powiedzieć Roskom, żeby spływali.

Żądanie Rosków stało się podłożem dla powołania Korporacji Ziemia. W końcu wykończono stare brutalne filozofie kapitalizmu i komunizmu, oparte na niepełnym zrozumieniu istoty człowieczeństwa, ludzkiej natury i więzi człowieka z jego środowiskiem. Zwyciężyła filozofia gajańska *, która doceniała rolę inteligentnego życia w złożonej, samoistnie osiągającej stan równowagi biosferze zwyciężyła ekonomia samej natury.

Ziemianie zaczęli wprowadzać zmiany w rządzeniu planetą. Narody i skłócone odłamy mniejszości narodowych nie umarły od razu śmiercią naturalną, tymczasem jednak społeczność planety zorganizowała się w jedną gigantyczną korporację. Produkcję rolniczą - wielki, pierwszoplanowy cel - unowocześniono biorąc pod uwagę klimat, transport i ludzkie potrzeby. Hodowano zboża zgodnie z aktualnym zapotrzebowaniem, a nie pod naciskiem polityków czy ekonomistów. Zniknęła na zawsze wizja głodu. Każdy miał prawo do godności. Zwyciężył rozsądek.

Nad spokojnym życiem Ziemian zawisła groźba konieczności odstąpienia Roskom terytorium. Kto odda ziemię? Co dostanie w zamian? Kto zechce mieć Rosków za sąsiadów? W miarę jak politycy wyrażali zdecydowany protest swoich krajów przeciwko wpuszczeniu Rosków tak na własne terytorium, jak i do krajów ościennych, w Radzie Narodów Zjednoczonych odżył i rozgorzał na nowo stary duch nacjonalizmu.

Minął rok na kłótniach i wzajemnych naciskach, rozkwitła sztuka szantażu.

Koniec końców ludzie doszli do porozumienia w dwóch kwestiach. Po pierwsze, powinno się Roskom pozwolić na założenie bazy na Ziemi. Po drugie, ustalono gdzie ma się ona mieścić.

Rozwiązanie obu kwestii było nie do uniknięcia. Nawet Tyne, siedząc podczas debaty w swoim rządzie z tyłu, spostrzegł ich nadejście. Na stosunek ludzi do Rosków składały się zarówno strach jak i zazdrość. Rozkazanie Roskom, aby opuścili system słoneczny było niemożliwe, nawet gdyby na drodze do tej decyzji nie stało miłosierdzie. Takie posunięcie mogłoby sprowokować gości do postąpienia wbrew woli człowieka. Zdesperowani mogliby walczyć o potrzebną im przestrzeń. A jaką broń kryły zbrojownie statku - tego nie wiedziano. W rzeczy samej pytanie jakie dary wiedzy mogliby zaofiarować Roskowie w zamian za bliższą znajomość, stało się przedmiotem powszechnych spekulacji.

Co do wyboru miejsca na bazę, to musiała być to strefa równikowa. Na ziemskim pasie

* Gaja - w mitologii greckiej Ziemia - Matka, bogini płodności; żona Uranosa (Nieba), matka m. in. tytanów i gigantów (przyp. tłum.)

równikowym panowała temperatura przypominająca warunki umiarkowanej strefy Alfy II. Jakiś teren w środkowej Afryce był zbyt niewygodny, a z kolei niewielka wyspa mogłaby okazać się miejscem zanadto wyizolowanym. Potężne narody obu Brazylii - Północnej i Południowej - nie zniosłyby obecności Rosków w sąsiedztwie granic. Po całym mnóstwie gładzenia, oracji, protestów i składania weta, w końcu Roskom przydzielono terytorium o powierzchni ponad trzystu kilometrów kwadratowych na wschód od Padang na Sumatrze.

- Jesteśmy bezgranicznie wdzięczni za ten skromny dar rzekł Przywódca Ap II Dowl podczas jednej z rzadkich osobistych wizyt na Ziemi. Zdaniem wielu osób dobór przysłowka był niefortunny - lub też dokonany z premedytacją.

Tak więc olbrzymi statek Rosków wylądował na Ziemi. Roskowie, mnożący się powyżej natychmiast podwyższonego przez siebie wskaźnika, stanowili groźbę, której nigdy nie wyrażono na głos, lecz nie była ona przez to mniej zatrważająca. Ale jak się ich pozbyć? Ziemscy politycy doszli do wniosku, że jedyną możliwą linią postępowania było uprzykrzenie się Roskom do tego stopnia, aż sami odjadą.

Niestety, im bardziej drapano krostę, tym mocniej swędziała. Kolejne państwa wysyłały swoich przedstawicieli na Sumatrę, aby zobaczyli co się dało zobaczyć i ewentualnie podejrzeli jakieś sekrety Rosków. W przestronnych komnatach Rady Narodów Zjednoczonych w Padang Człowiek i Rosk handryczyli się i targowali, żądali i ustępowali, blagowali i sprzecali. Sytuacja stała się jednocześnie komiczna i tragiczna. Stara nadzieja na osiągnięcie dzięki kontaktowi obu ras korzyści innych niż tylko materialne, dawno poszła w zapomnienie.

Z wyjątkiem misji dyplomatycznych, Ziemian nie wpuszczano do bazy Rosków, a Roskowie nie mieli prawa opuszczać granic bazy - jednakże w praktyce obie strony gwałciły to prawo. W Padang zaczęło się roić od szpiegów - jedno państwo szpiegowało drugie, rasa szpiegowała rasę. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy Rada Narodów Zjednoczonych chcąc wkraść się w łaski Rosków, odstąpiła im niewielką Strefę 101 na Księżycu, aby mogli testować swoje cztery statki międzyplanetarne.

- Ten czyn chwytą mnie za serce - oświadczył Tawdell Co Barr. - Przybyliśmy tu jako obcy, a wy powitaliście nas jak przyjaciół. Działając wspólnie, Rosk i człowiek stworzą nową, trwałą cywilizację.

Te piękne słowa pozostały na zawsze pustym frazesem.

Czy Tawdell naprawdę tak myślał, czy też nie, nadzieja którą wyraził, była pragnieniem wielu ludzi na całym świecie. Niestety, było to ostatnie publiczne wystąpienie Tawdella! Przepadł w bazie Rosków i słuch po nim zaginął. W kręgach dyplomatycznych krążyła teoria, że - jak na gust swojego zwierzchnika - złotowłose Rosk zachowywał się zbyt przyjacielsko w stosunku do człowieka. Teraz zapanowały czasy powstałej w surowych warunkach statku-bazy, dyktatury Ap II Dowla. Poplecznicy dyktatora zasiedli za stołami obrad i z wolna stosunki między obiema stronami zaczęły ulegać pogorszeniu.

Patrol szpiegowski, w którym brali udział Murray, Allan i Tyne był zaledwie skromnym przykładem wzajemnej oziębłości.

Jakby cytryna... Nie, melon. Nie, to robi się coraz dłuższe - ogórek. Zgina się: to banan. Toczy się - to plaster melona. O, znowu melon. A może... - wszystko zniekształcone... a może to twarz? Marszczyła się, falowała, tężała. Pojawiła się mocna szczeka i patrzące w skupieniu oczy - twarz Murraya Mumforda, widziana poprzez mgiełkę niemocy.

- Och! - jęknął Tyne. Leżał na koi, której obrzeża nadal marszczyły się i zmieniały kształt. Wbił wzrok w twarz Murraya.

- Jak tam? - spytał Murray. - Lepiej ci?

- Wody - wyszeptał Tyne.

Wypił łąpczywymi haustami. W głowie nieco się rozjaśniło. Przypomnił sobie incydent w Strefie 101 i paraliżujący ból po strzale w skafander kosmiczny.

- Murray, gdzie my jesteśmy?

- Od Luny dzieli nas godzina lotu, nikt nas nie śledzi, pędzimy do domu. Byłem dla Rosków za szybki - wyjaśnił Murray. - Myślałem, że nigdy się nie ockniesz. Jak się czujesz?

- To moja najlepsza część ciała - rzucił ironicznie Tyne unosząc opięte rękawicą przedramię. Rękawica skrywała protezę - stalowe palce dłoni i nadgarstek - prawdziwą dłoń Tyne stracił podczas wypadku w dzieciństwie.

- Poza paroma siniakami w zasadzie wszystko z tobą w porządku. Roskowie otworzyli do nas ogień. Kula przebiła twój skafander dokładnie na wysokości ramienia, na szczęście wszystkie stawy są całe, a impet uderzenia osłabiły amortyzatory. Jak ty to robisz - nosisz za pazuchą króliczą łapkę, czy jak?

- Jak się tu znalazłem? Straciłem przytomność?

- No jasne, że straciłeś przytomność - potwierdził Murray - padłeś jak śnięta ryba. Trochę cię tu wlokłem, trochę niosłem. Całe szczęście, że jak zemdlałeś, zdołałem zestrzelić drugi reflektor Rosków.

- Dzięki, Murray - wyszeptał Tyne i dopiero wtedy nagłe poczucie winy kazało mu spytać o przyjaciela. - Gdzie jest Allan?

Murray odwrócił się, ściągając w bólu gęste brwi.

- Obawiam się, że Allan nie miał szczęścia - rzekł cicho.

- Co rozumiesz przez to, że nie miał szczęścia?

Pochyliwszy się nad koją, jakby nagłe przyszły mu na myśl brakujące słowa, Murray powiedział:

- Słuchaj, Tyne, to może być dla ciebie bolesne. Sprawy wymknęły się spod kontroli, to było paskudne miejsce, zresztą sam wiesz. Gdy zważyłeś się na ziemię, złapałem cię i przerzuciłem przez ramię. Allan wrzeszczał do mnie, żeby zwiewać i zostawić cię tam. Jak sądzę, musiała to być chwila paniki. Chciał cię porzucić, zostawić Roskom. Rozkazałem mu osłaniać mój odwrót, a ten zaczął wywijać mi przed nosem rewolwerem i oświadczył, że jeśli cię nie porzucę, to mnie zastrzeli!

- Allan! Nie! - zaprotestował Tyne. - Allan tak powiedział?

- Wpadłeś kiedyś w panikę? - spytał Murray. - Są sytuacje kiedy człowiekowi puszczają nerwy i nie wie co mówi, ani co robi. Kiedy poczułem wbijający mi się w policzek rewolwer Allana i zorientowałem się, że Roskowie zbliżają się od tyłu, to ja... ja też straciłem nad sobą panowanie.

Ponownie odwrócił głowę i napiął mięśnie całego ciała w sposób, jakiego Tyne nie widział nigdy przedtem. Mężczyzna na koi poczuł suchość w ustach.

- Co zrobiłeś, Murray?

Za oknem przemykała milcząca i lodowata, przebiegła gwiazdzista pustka.

- Zastrzeliłem Alana. Dostał prosto w brzuch.

Tyne skulił się na swojej koi. Zdołał jedynie zamachać bezradnie dłońmi - stalową i prawdziwą.

- Nie mogłem postąpić inaczej - rzucił dziko Murray chwytając dygoczącą dłoń Tyne'a. - Tyne, posłuchaj mnie. Miałem zostawić cię tam samego? Nie powinniśmy byli przebywać w Strefie 101 - nie mieliśmy prawa. A może wolałbyś, żeby otoczyła cię gromada Rosków - zabójców? Nie mogłem postąpić inaczej - powtórzył. - Allan Cunliffe zbuntował się, i jako kapitan rozprawiłem się z nim od razu. Nic dodać, nic ująć.

- Ale ja znam Allana - zawył Tyne. - Jak on mógł... On nie jest taki... nie...

- Nic o sobie nie wiemy - przerwał ostro Murray. Pociemniała, ściągniętą bólem twarzy oblała gorączka podniecenia. - Nie znamy nawet samych siebie. W chwili kryzysu coś bierze nad nami górę - nasze ego, nie wiem co. I to właśnie przydarzyło się Allanowi. A teraz zamknij się i przemyśl wszystko od początku, aż zrozumiesz, że postąpiłem w jedyny możliwy sposób.

Wybiegł z kabiny zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Tyne został sam.

Leżał na koi, jego mózg pracował bez przerwy. Nie był w stanie uwierzyć ani w to, że jego przyjaciel nie żyje, ani że stracił nad sobą kontrolę. Jednakże nie miał innego wyjścia, musiał uwierzyć. Między Allanem i Murrayem zawsze istniała skrywana rywalizacja o palnę pierwszeństwa. Być może w trakcie tamtych przerażających chwil w ciemnościach nastąpił moment krytyczny.

Tuż przed lądowaniem Murray wrócił do kabiny załogi, żeby rzucić okiem na Tyne'a. Dowódca nadal był spięty.

- Jak się teraz czujesz? - spytał Murray.

- Nie chcę cię widzieć - rzekł ponuro Tyne. - Zobaczymy się w sądzie na przesłuchaniu. A póki co trzymaj się ode mnie z daleka.

Murray ze zmienioną grymasem wściekłości twarzą podszedł do koi i zacisnął palce na gardle Tyne'a.

- Uważaj co mówisz i do kogo mówisz - wyszczał. Zrelacjonowałem ci fakty. Mnie również wcale się nie podobają. Gdyby Allan nie stchórzył, byłby teraz z nami.

Tyne uniósł swoją stalową lewą dłoń i zacisnął metalowe palce na nadgarstku Murraya. Ścisnął, ścisnął. Murray wrzasnął z bólu i wyszarpnął rękę, na której pozostała krwistoczerwona obwódka. Rzucił Tyne'owi druzgoczące, wściekłe spojrzenie i zatrzasnął się w swojej kabine. Był to ostatni raz kiedy Tyne widział Murraya przez zdumiewająco długą chwilę.

* * *

Gdy statek wylądował, Tyne leżał jakiś czas spokojnie, po czym krzyknął na Murraya, żeby przyszedł i odwiązał go. Szerokie rzemienie opasujące koję upewniły Tyne'a, że nie jest w stanie uwolnić się sam. Wrzaski nic nie dały. Po dwudziestu minutach otworzyła się tylna śluza powietrzna i do kabiny weszli dwaj sumatrzańscy sanitariusze taszcząc nosze.

Ujrawszy sanitariuszy Tyne wywnioskował, iż znajduje się z powrotem w bazie patrolowej. Murray zadzwonił prosto do szpitala i kazał sanitariuszom zabrać go ze statku na badania.

- Wpadnę na badania nieco później - rzucił kontrolnie Tyne. - A teraz muszę zameldować się u Komendanta.

- Proszę się nie niepokoić, Komendant został już poinformowany o pańskim stanie zdrowia - rzekł jeden z sanitariuszy.

Pomimo protestów Tyne'a, mężczyzna pozostał niewzruszony. Z jego odpowiedzi wynikało, że Murray prawdopodobnie poddał w wątpliwość stan zdrowia psychicznego Tyne'a. Tak więc Tyne odbył drogę do szpitala wojskowego na noszach.

Cała procedura nie trwała krócej niż w jakimkolwiek innym szpitalu. Lekarze po jakimś czasie orzekli, iż Tyne Lesie jest wściekły, ale przy zdrowych zmysłach, potłuczony i poobijany, ale zdrowy. Kolejne badania przeplatały się z okresami oczekiwania. „Wszystko to robota Murraya”, pomyślał ze złością Tyne zaciągając się trawką - to kapitan ukartował wszystko tak, że Tyne nie mógł od razu złożyć raportu. No, on już załatwi Murraya, facet będzie miał kłopoty.

Po dwóch godzinach, dopinając guziki munduru, Tyne popędził do dowódcy eskadry. Tam czekała go niespodzianka – Murray nie zameldował się po misji, nie widziała go żywa

dusza. Targany ciekawością i podejrzeniami, Tyne pognął do koszar eskadry. Tam też nikt nie widział Murraya, jego pokój był pusty, rzeczy nie tknięte. Z fotografii nad łóżkiem spozierała impertynenckim, pustym wzrokiem ładna Mulatka. „Uściski od Miny” - widniał napis na zdjęciu nabazgrany dziecięcymi kulfonami.

W glorii późnego poranka słońce świeciło z całą mocą zbliżając się do zenitu. Nie zważając na to Tyne pobiegł do głównej bramy, żeby wypytać siedzącego pod betonowym parasolem policjanta z drogówki.

- A jakże, kapitan Mumford odjechał służbowym samochodem tuż po śniadaniu, skierował się w stronę miasta.

- Dzięki - rzucił Tyne. Złapał okazję i w nastroju ponurego zniecierpliwienia przejechał osiem kilometrów w upale i tumanach kurzu.

Wiedział, że powinien był zameldować się odpowiednio przed opuszczeniem bazy, a przede wszystkim powinien był złożyć raport w sprawie śmierci Allana. Jednakże Tyne w jakiś niejasny sposób czuł, że teraz decydujące znaczenie ma czas. Murray zniknął w nie wyjaśnionych okolicznościach, łatwiej będzie go odnaleźć idąc świeżym tropem. Była godzina 10:50.

* * *

Teraz byłem już pewien, że to kolejna chałturka, która wyszła spod pióra Jaela Crackena. Wydała go lekka skłonność do sadyzmu.

Czytać dalej? Czy Sinnikka znienawidzi mnie gdy dowie się, że czytam coś aż tak dalekiego od jej ideałów? A może wolałaby, żebym przechodził katusze?

Jednakże leżąc na marynarce książka stwarzała dla mnie pokusę, od której Sinnikka była wolna. „*Niepowtarzalna opowieść o wygnaniu*”, *Harry Harrison* - widniało na okładce. Pomimo, że Roskowie zostali przedstawieni raczej nieudolnie, to sytuacja nie chcianych intruzów wydała mi się interesująca.

Czego nie mogłem powiedzieć o moim położeniu.

Póki co, wyciągnąłem własne, raczej zbędne wnioski dotyczące śmierci Carol-Ann Crutchley Cracken. Liścik, który do mnie napisała, prowadził w jednym, jedynym kierunku.

Dziewczyna dotarła z listem do mojego domu i niespodziewanie natknęła się na Sinnikkę, która w swój diabelski sposób zaczęła natychmiast snuć podejrzenia. Wyczuła, że jej drogocenne bezpieczeństwo zadrżało w posadach. Jedno spojrzenie na dziewczynę - tak niewinną i otwartą - kazało ją znienawidzić. Nieprzytomna z nienawiści, na zewnątrz Sinnikka stała się uosobieniem dobroci i słodyczy - uśmiecha się, przymila, kusi pochlebstwami zapraszając Carol-Ann do mieszkania. „Och, naprawdę, proszę zostać chociaż chwilę, będzie mu tak przykro, że się z panią rozminął” - pieprzyk na policzku obserwuje wszystko uważnie. - „Jeszcze tyle czasu do pani autobusu” - Sinnikka gestykuje zawzięcie, jak gdyby jej artretyzm w ogóle nie istniał. - „On ma mnóstwo młodych wielbicielek” - po chwili kładzie dłoń o ostrych, szkarłatnoczerwonych paznokciach na nieszczęsnej kopercie, bierze nóż i rozcina ją w kuchni udając, że parzy kawę dla podekscytowanej ex-dziewicy, która stoi w pokoju zwilżając językiem suche wargi. Pośpiesznie przebiega wzrokiem obciążający mnie list - och, jaki przebiega ją dreszcz triumfu, ból i rozkosz łączą się w gwałtownej ekstazie - i być może nie odkłada noża dopóki narzędzie nie wypełni swego śmiercionośnego zadania. Potem wlecze ciepłe ciało do samochodu i odjeżdża z piskiem opon. Wrzuca ciało do rowu. O tak, tak... Sinnikka także jest tylko człowiekiem - człowiekiem złym do szpiku kości.

Stało przede mną pytanie: czy powinienem wziąć winę na siebie i uchronić Sinnikkę przed rezultatem jej zbrodni? Czy powinienem skorzystać z tej okazji, udać że jestem bohaterem i poświęcić dla dobra Sinnikki moje bezużyteczne życie, tamtą potępiającą krytykę, tamtą nieudaną symfonię... żalną miłość mego życia?! A może powinienem wprost przeci-

wnie: zaryzykować grę z Hakkennonem, aby następnie podstępnie rzucić na morderczynię podejrzenie wykorzystując jej dziwaczne zachowanie w stosunku do kapitana... i tak dalej...

Kocham ją bardziej, czy nienawidzę?

Pytanie przyprawiło mnie o mdłości. Zaprzagnąłem od niego uciec. Nie było na nie odpowiedzi, gdyż zawierał się w nim cały chaos mojego życia. Zepchnąłem je w podświadomość i powróciłem do książki.

* * *

Padang było jednym z najciekawszych miast na Ziemi. Bliskość bazy Rosków przyniosła ze sobą inny świat, przyprawiające o zawrót głowy wizje utopii, dobrobytu, braku ograniczeń i innych wykraczających poza horyzont wyobraźni możliwości. Te kuszące perspektywy uczyniły Padang celem wielkiej, ogólnoswiatowej krucjaty. Niewielki niegdyś port przekształcono w metropolię. Góry, a wraz z nimi hektary pól ryżowych, zniknęły pod nowoczesnymi, olśniewającymi budowlami. Skonstruowano nowe systemy transportowe - naziemne i powietrzne. Nowym możliwościom musiały sprostać nowe technologie; perspektywa zdobycia od cywilizacji Rosków niezwykłych, nowych artefaktów utrzymywała na giełdach nieustającą hossę. Pieniądz nie grał roli, kredyt nie znał granic.

Wśród Indonezyjczyków i Chińczyków pojawili się delegaci Rady Narodów Zjednoczonych z całego świata, a każdemu z nich towarzyszyła niewielka otoczka kosztownych upodobań w stosunku do określonych produktów i usług. Dobrobyt pociągał za sobą dobrobyt. Popyt stymulował popyt. Międzynarodowi przywódcy, mężczyźni i kobiety, żądali własnych orszaków, należącego im przepychu i pełnej kiesy. Nastąpiły czasy korupcji. Każdego dnia pod niebo wystrzeliwał nowy, ekskluzywny hotel, a mimo to nadal nie wystarczało łóżek dla przelotnych miłostek, które zawiązywały się każdego wieczora. W klimacie równikowym asceza nie miała żadnych szans. prostytutki obojga płci, chłopcy na jedną noc, cioty, pedały, alfonsi, wyuzdane ladacznice - wszystko to ściągało do Padang niczym muchy do miodu. Wielkich interesów nie dało się oddzielić od tego rodzaju kosztownych wydatków.

W cieniu pnących się w górę drapaczy chmur, uliczna biedota nadal wiodła nędzne życie w przeznaczonych do rozbiórki, rozklekotanych drewnianych ruderach. Tam uliczni sprzedawcy handlowali godłami narodowymi i tysiącami innych bubli. Oferowano całe mnóstwo alkoholi i narkotyków, w tym „sok Rosków”. Miasto tonęło w brudzie i diamentach.

Za rogiem wyniosłego Hiltona lub też w jakiegokolwiek pięciogwiazdkowej restauracji można było kupić adwokata, kurwę, żigolaka, niucha, skręta, sprzęzynowiec lub bilet na długą przejażdżkę twarzą w dół po wodach najbliższego kanału.

Tyne przejechał ostatni kilometr wąskotorówką i znalazł się w jednej z centralnych dzielnic miasta, nazwanej Ginza na cześć swojej dalekiej, japońskiej krewnej. Mimo, że było samo południe, frontony wszystkich domów rozjaśniały migotliwe światła neonów. Oślepiony na moment ostrym światłem, Tyne stanął przed jaskrawą witryną biura podróży, po czym wślizgnął się do ogromnej hali targowej z ukrytą wysoko w górze, pełną tanich, bezwartościowych świecidełek jaskinią Aladyna. Wyłonił się na jednej z najruchliwszych arterii Ginzy - Bukit Bezar. Ociekając potem przeciskał się przez tłum przechodniów.

Wszedł do starego hotelu Merdeka, który wydał mu się pierwszym miejscem, gdzie mógłby znaleźć Murraya. Dla Allana, Tyne'a i Murraya hotel Merdeka był jak drugi dom. Pokochali jego sprawną obsługę, kiepskie jedzenie, bezustanny zgiełk i krzątaninę. Hotel Merdeka nie był zbyt wytworny.

Teraz hotel pękał w szwach. Mieszkali tu przeważnie podobnie jak niegdyś Tyne - pracownicy dyplomatyczni niskiego szczebla. Nerwowi, pogodni faceci - opróżniają swoje kieliszki z wódką, wystrzegają się słońca - i czekają, czekają i obserwują. Przepchnąwszy się przez hali Tyne przedostał się do bocznych schodów.

Tyne'owi wydało się, że w końcu korytarza dostrzegł Amira, który obejrzał się przez ramię i gdzieś zniknął, ale nie... to niemożliwe... Amir, najbystrzejszy chłopak z całej obsługi, nie miałby żadnego powodu, żeby tak się zachowywać. Stał się niemal ich bliskim przyjacielem.

Wspinając się po stopniach bocznych schodów, wyłowił z kieszeni klucz od pokoju numer 6. To był pokój, który dzielili Allan, Murray i Tyne. Dzielili... Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Intensywny napływ obcokrajowców stał się przyczyną kłopotów mieszkaniowych w Padangu. Znalezienie miejsca w hotelu granoczyło z cudem; tylko przepłacanie za stały pobyt dawało trójce przyjaciół przywilej korzystania z pokoju w weekendy.

Przez pokój numer 6 przeszła trąba powietrzna.

Tyne gwizdnął cicho. Cały ich dobytek, cywilne ciuchy, dosłownie wszystko leżało w nieładzie na środku podłogi. Ktoś pospiesznie przeszukał cały pokój. Kto? Dlaczego?

- To mi się nie podoba - powiedział na głos Tyne. Wszedł na korytarz i przechyliwszy się przez poręcz zawołał obsługę.

Wrócił do pokoju i zamyślił się - został wplątany w jakąś zagadkową sprawę. Na Księżycu wydarzyło się coś dziwnego i Tyne był pewien, że to co usłyszał, nie jest prawdą. A teraz ten pokój... Dlaczego Murray ulotnił się jak kamfora? Dokąd uciekł? Przez umysł Tyne'a przebiegła paralizująca myśl, że Murray zamordował Allana. Ale dlaczego?

Zszedł na półpiętro i ponownie krzyknął po obsługę.

Poczuł jak ogarnia go uczucie głębokiej nienawiści, które sięgnęło dalej w przeszłość i skoncentrowało się na wizerunku dawnego Murraya. Beztronski sposób bycia olbrzyma przestał być sympatyczny, a stał się oznaką nieograniczonej przewagi. Jego szeroki, promienny uśmiech zmienił się w fałszywy grymas mordercy. Ale zakładając, że to Murray zabił Allana... przecież mógł bez problemu wmówić Tyne'owi, że Allana zastrzelili Roskowie. I tak Tyne leżał nieprzytomny. Same zagadki... Ale przynajmniej jedno jest pewne: Tyne musi dorwać Murraya i wyciągnąć z niego prawdę.

Wszedł z pokoju, żeby jeszcze raz ryknąć na kogoś i prawie zderzył się z niziutką pokojówką.

- Gdzie jest Amir? - spytał Tyne.

- Amir ma dzisiaj wolne.

- Co takiego? Pierwsze słyszę, żeby miał wolny dzień.

- Amir nie czuje się dziś dobrze. Łeb mu pęka, bierze lekarstwa. Czym mogę panu służyć?

Tyne poczuł nagle, że nie ma ochoty, aby ktoś wchodził do pokoju. Był wyczerpany, zmęczony, głodny - po raz pierwszy w życiu tropił człowieka.

- Czy może pani przynieść mi coś na śniadanie?

- Śniadania już się skończyły, proszę pana.

- To w takim razie niech będzie lunch, cokolwiek.

Wrócił do pokoju i zamknął drzwi na klucz. Zaczął metodycznie porządkować bałagan na podłodze. Układając rzeczy Allana poczuł ukłucie w sercu. Brakowało niektórych cywilnych ubrań Murraya, ale został mundur. Tak...

Szybko podano lunch - uniwersalne danie z plasterków przysmażonej kiełbasy, kapusty i ryżu - a po nim jałową w smaku galaretkę z planktonu. Nowa, ogromna plantacja planktonu na wybrzeżu pod Semapangiem dostarczała wyspie coraz więcej żywności. Jak do tej pory, smak produktów przegrywał w rywalizacji z ich wartością odżywczą.

Po jedzeniu Tyne nabrał otuchy. Zrezygnował z posady sekretarza podsekretarza Podsekretarza dlatego, że pragnął czynu, działania. I oto ma, czego chciał. W odruchu, który przywiódł Tyne'a na Sumatrę tkwił zdrowy rozsądek. Tyne wiódł nudne, monotonne, szare życie bez perspektyw - umierał z nudów wspinając się mozolnie po szczebelkach wybranej przez

ojca kariery. Jego głównym zadaniem było sporządzanie protokołów - szkoda czasu i papieru!

Równik jest najgorętszą strefą na całej planecie, strefą, która obraca się z największą szybkością. Teraz zaczęło tu naprawdę wrzeć.

Wychodząc na ulicę Tyne wpadł na właściciela hotelu. Spytał o Murraya.

- Przykro mi, ale dziś nie widział pan Murray - odparł pan Niap Nam. - Jeśli był, to go nie widział. Teraz pan najlepiej wyjść tylnym wyjściem. Na ulicy skromna problem z Wydziedziczonymi. Może ci głupcy strzelać.

- Dzięki, Niap - odrzekł Tyne.

Słyszał hałasy na ulicy, ale nie zwrócił na nie uwagi. W chwilę później rozległ się pojedynczy strzał, wrzaski osiągnęły apogeum, po czym z ulicy dobiegi szybki tupot nóg. Tyne wymknął się bocznym wyjściem i przemknął pod rosnącym na podwórzu cynamonowcem. Wydziedziczeni byli ugrupowaniem terrorystycznym sformowanym głównie z tubylców, których kampongi zrównano z ziemią, żeby zrobić miejsce dla bazy Rosków. Codzienne akty przemocy, częstokroć obrzucanie granatami limuzyn dyplomatów, dodawało życiu w Padangu smaczku nieustannego ryzyka.

* * *

Tyne skierował się do „Roxy”. Jeśli ktokolwiek wie gdzie znajduje się Murray, to powinna być to Mina - drobna półkrwi Holenderka (pochodzenie pozostałej połowy było niejasne), która zabierała Murrayowi większość wolnego czasu. Tyne zerknął na zegarek. Południe. Wróg - bo Tyne już tylko tak myślało Murrayu - miał ponad cztery i pół godziny przewagi.

„Roxy” było kinem czynnym przez okrągłą dobę. Hossa sprawiła, że na ogromnym, perspektywicznym czworoscianie non stop przewijały się wielobarwne obrazy. W wielkim, przestronnym foyer ludzie wchodzili, wychodzili lub po prostu stali paląc papierosy.

Na widok Tyne'a Mina aż zapiszczała z radości podskakując za kontuarem stoiska z lodami. Tak, była ładniutka: ciemnoskóra, żywa, wesoła... Może teraz, gdy Murray zniknął ze sceny...

- Tak, przyszedł zobaczyć się ze mną - odpowiedziała Mina na pytanie Tyne'a. - Ma jakies kłopoty? Proszę mi powiedzieć, panie Leslie. Wyglądał tak, jakby ktoś nadepnął mu na odcisk.

- Może po prostu pomylił lewy but z prawym? - rzucił Tyne i cierpliwie poczekał, aż dziewczyna wyśmieje się do woli. Już prawie zapomniał, jak Mina reaguje na najgłupszą nawet odzywkę.

- Mina, ja muszę go znaleźć. Dowódca chce się z nim natychmiast widzieć. Powiedział dokąd się wybiera?

- Nie, panie Leslie. Nie powiedział nawet „daj no buzi”, a tylko „cześć”. Właśnie dlatego myśle, że ktoś...

- Tak, nadepnął mu na odcisk... Wiem. Mina, co powiedział oprócz „cześć”? Prosił cię, żebyś spotkała się z nim później?

- Przepraszam na moment - odwróciła się z promiennym uśmiechem, żeby obsłużyć wysokiego Pakistańczyka i po chwili ciągnęła dalej. - Powiedział mi tylko, że jedzie na plantację planktonu. Znajdę go w fabryce planktonu. Po co on jedzie na plantację planktonu, panie Leslie?

- Może hodować plankton - podsunął Tyne odwracając się z kamienną twarzą podczas gdy Mina pękała ze śmiechu trzymając się za boki. Po jaką cholere Murray tam pojechał? Tyne szedł zatopiony w myślach i prawie zderzył się z tłustym jegomościem w białym, lniałym garniturze.

- Chodź pan ze mną, usłyszysz pan coś o Murrayu Mumfordzie - wycedził grubas ledwie poruszając ustami. Udał, że zupełnie nie zwrócił uwagi na Tyne'a. Podczas gdy oszołomiony Tyne stał jak zamurowany, tłuscioch przecisnął się przez obrotowe drzwi i wszedł do pobliskiego baru. Przez chwilę Tyne zastanawiał się czy go słuch nie myli, a potem pracując ostro łokciami przepchnął się przez drzwi.

* * *

Stojący na kontuarze baru miniaturowy, przezroczysty czworościan lśnił jaskrawymi kolorami. Podłączony do pełnowymiarowej bryły czworościanu w kinie, transmitował jedynie połowę obrazu, przez co film praktycznie stawał się zupełnie niezrozumiały, ale o to właśnie chodziło - żeby przyciągnąćśmy do światła, zwabić bywalców baru na oryginał. W tej chwili piersiasta połowa Lulu Baltazar spoczywała na poduszkach wykonując niezrozumiałe gesty.

Tyne przeniósł wzrok z czworościanu na grubasa. Tłuscioch siedział w kącie baru odwrócony twarzą do drzwi i właśnie w tej chwili podnosił dwa serdelkowate paluchy, żeby przywołać kelnera. Kelner kiwał głową i uśmiechał się przymilnie. Obłudny kretyn. Przy sąsiednich stolikach siedziało parę osób sącząc drinki.

- Kim pan jest? - spytał Tyne podchodząc do grubasa. Przykro mi, ale nie przypominam sobie pana.

- Proszę usiąść, panie Leslie - rzekł nieznajomy. Niech pan pamięta o manierach i podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że znalazłem pana pierwszy.

- Zadałem panu pytanie: kim pan jest? - powtórzył Tyne przysuwając sobie krzesło. - Ma pan dla mnie wiadomość od Murraya?

- O, jedzie nasza whisky - rzekł obcy uśmiechając się do stawiającego szklanki kelnera. - Pozwolę sobie wzniesć toast za pańskie zdrowie.

Tyne odsunął swojego drinka.

- Spieszę się. Skąd pan wie, że szukam Murraya? Pewnie podsłuchał pan moją rozmowę z lodziarką. Wyglupia się pan, czy chce mi pomóc?

Gruby odstawił szklankę i rzuciwszy Tyne'owi kpiące spojrzenie, przywłaszczył sobie jego drinka. Nie kłopotując się odpowiadaniem na jakiekolwiek pytanie Tyne'a, oświadczył:

- Jeśli chce mnie pan jakoś nazywać, to może być Stobart. Tak samo dobre nazwisko, jak każde inne. Jestem agentem Korporacji Ziemia i jak przyjdzie mi ochota, to pstryknę palcami i już siedzi pan w pudle.

Kawałeczek - bardzo smakowity kawałeczek - Lulu Baltazar zniknął właśnie w kabinie dynolotu. Kelner kłaniał się i uśmiechał głupkowato do nowych klientów.

- Gadasz pan, jakbyś pięć minut temu wyskoczył z filmu płaszcza i szpady - mruknął Tyne.

- Nie zdradź swojego szlachetnego urodzenia, synu - rzucił szorstko Stobart. - Jestem wystarczająco rzeczywisty, o czym przekonasz się gdy zaczniesz ostrzej pogrywać. I zapamiętaj sobie - ja nie znam się na żartach.

- Dobra, jest pan naprawdę - przyznał Tyne. - W takim razie proszę mi powiedzieć: po co agent Korporacji Ziemia miałby się ujawniać, tak jak pan to zrobił? Czemu miałby go interesować taki facet jak ja, albo Mumford? Zrozumiałbym to, gdyby pan był jednym z tych tępaków z miejskiej żandarmerii.

- Nie rozumiałbyś nawet zwykłego „krawężnika”. Słuchaj synu, balansujesz nad skrajem przepaści. Trzymaj się z daleka. Jestem tu po to, żeby ci powiedzieć jedno: trzymaj się z daleka! Odnalezienie Murraya Mumforda ma absolutne pierwszeństwo, a ty wchodzisz tylko w parady paru zainteresowanym stronom.

Mówiąc to pchnął whisky do Tyne'a, który wziął szklankę i wypił. Stobart uniósł w górę dwa palce i po chwili kelner, gnąc się w ukłonach, ponownie napełnił szklanki.

- Niech mi pan odłoni rąbek tajemnicy - rzekł Tyne. Nie spodobał mu się przymilny ton własnego głosu. - Dlaczego Murray zabił Allana Cunliffe'a? Dlaczego szuka go agent Korporacji Ziemia, a nie policja czy Służba Kosmiczna?

- Wścibski z pana facet - stwierdził niewzruszenie Stobart.

Tyne poczerwieniał.

Sięgnął lewą ręką po jedną z pustych szklanek i ścisnął. Ścisnął szkło, dopóki na stole nie pojawił się stosik połyskujących odłamków.

- Czekam na odpowiedź.

Stobart roześmiał się.

- Nerwus z pana - rzucił i dmuchnął nagle na kawałki szkła, które osiadły na marynarce Tyne'a. Tyne nawet nie drgnął, gdy mężczyzna chwycił go mocno za dłoń.

- Posłuchaj mnie, panie Leslie - powiedział Stobart. Trzymaj się pan od tego z daleka. Nie wątpię, że Mumford panu skłamał. Nie pozwoliliby panu zorientować się, o jak poważną rzecz chodzi. Chcę usłyszeć co opowiedział panu o wydarzeniach na skraju Sektora 101, a potem ja opowiem, co się naprawdę zdarzyło. Pasuje?

Tyne ponuro powtórzył historię, którą Murray opowiedział mu na statku.

- Stek kłamstw - skwitował opowiadanie Stobart. - Gdy byliście na powierzchni Księżyca, Roskowie złapali ciebie i Mumforda. Nie zdążył dostać się z powrotem na statek, chłopcze, nie z tobą - śpiącym snem sprawiedliwego na jego ramieniu. Złapali go jak dziecko i przekonali, aby zaniósł ważną informację do łącznika Rosków w Padangu, który przekaze ją do bazy Rosków na Sumatrze.

- W jaki sposób zdołali go przekonać? Co to za informacja? Dlaczego nie powiedział mi prawdy?

- Ach, ty naiwny głupcze! - krzyknął Stobart. Odwrócił wzrok, jakby przestał interesować się Tyne'm. Wodniste oczy przesunęły się po sylwetkach pozostałych klientów baru. - Myślisz, że Mumford powiedziałby komukolwiek jaka jest prawda? Został zdrajcą! Pomaga Roskom - nie kłopotcz się pytaniem co zaoferowali mu w zamian, za jego usługi. I nie trudź się i nie pytaj, co to za informacja: gdybym wiedział, i tak nie wyjawilibym ci jej.

- Nie mogę w to uwierzyć! Dlaczego Roskowie nie mogli przekazać sami informacji? Mają przecież cztery niewielkie statki kursujące między Ziemią a Luną.

- Gdybym znał wszystkie odpowiedzi, nie szukalibyśmy teraz Mumforda - oświadczył dosadnie Stobart. - I to wszystko, co mam ci do powiedzenia. No już, Leslie, spadaj. Wracaj do obozu i pobaw się w kosmonautę, zanim zaczniesz się strzelanina.

- Gadasz i wyglądasz jak pijany - wycedził cichym głosem Tyne. - A może warga zawsze zwisa ci jak stara, czerwona skarpeta?

- Tam siedzi Rosk przebrany za sumatrzeńskiego przedsiębiorcę, niczym jastrzęb nie spuszcza z nas oka - odpowiedział Stobart nie mrugnawszy nawet powieką.

- A ja pochodzę z Neptuna - rzekł Tyne. - Skąd masz te informacje, Stobart?

Grubas zaklął.

- Myślisz, że ci powiem? Powtarzam ostatni raz, Tyne. Działasz w pojedynkę przeciwko organizacjom. Nigdy nie znajdziesz Murraya Mumforda. No już, spływasz! Skończyła się darmowa whisky.

Gdy Tyne wychodził z baru, kawałek czyjegoś ciała akurat mocował się z fragmentem Lulu Baltazar. Tyne gotował się w środku, jego twarz płonęła. Nienawidził każdego centymetra sześciennego sadła Stobarta, jednakże rozum podpowiadał mu, że grubas dał mu dobrą radę. Jeśli Murray naprawdę siedzi po uszy w kłopotach, to sprawa wymknęła się z rąk Tyne'a.

Unikając wzroku Miny, wybiegł na schody „Roxy”. Lało jak z cebra, ulicami waliły strumienie wody. Kawałek dalej dwóch policjantów stało obok tłącego się wraka rosyjskiej Pudenty. - Wydziedziczeni ponownie uderzyli. Była godzina 13:15.

Siedząc w kinie Stobart obserwował z satysfakcją jak agent Rosków wymyka się z baru

i wychodzi nieomal natychmiast po Leslie'm. Stobart lubił swoją pracę. Jak długo panował nad sytuacją, był zrelaksowany jakby siedział w ulubionym, starym fotelu. Dzięki odpowiedniemu naciskowi psychicznemu każdego można nakłonić do działania. Nawet tak przypadkowy czynnik jak pana Tyne'a Leslie.

3

Tyne postanowił skrócić sobie drogę i pomaszerował bocznymi uliczkami. Ucieknie przed ulewą. Im szybciej dotrze do bazy, tym lepiej - i tak czekają go kłopoty przez to, że nie zameldował się po zakończeniu misji. Czuł się zupełnie zdruzgotany. Zapomniał nawet spytać tego gbura Stobarta o Allana Cunliffe'a.

Za kołnierz Tyne'a ściekały krople deszczu. Jeszcze chwila i jego tropikalny garnitur będzie kompletnie mokry. Minęła go powoli taksówka ochlapując nogawki spodni.

- Wskakuj pan, podwiozę - krzyknął przyjacielsko chiński kierowca.

To brzmiało rozsądnie. Gdy Tyne pochylił się, aby otworzyć tylne drzwi, nagle runął jak długi. Silne dłonie chwyciły go, a gdy stracił równowagę, wciągnęły do samochodu. Szarpając się i kopiąc pod ciężką szmatą czuł jak samochód gwałtownie przyspiesza. Ktoś przyniósł go całym ciałem do siedzenia. Rozpaczliwie usiłował uwolnić się od stalowego ucisku, gdy otrzymał potężny cios w kark.

Przez chwile podobne do wieczności, leżał pod szmatą prawie uduszony w półprzytomnym stanie na pograniczu snu i jawy. Przed oczyma wirowały niesamowite kolory. Kiedy samochód podskoczył kilkakrotnie, jak gdyby zjechał z drogi, Tyne ponownie zaczął przejawiać żywe zainteresowanie światem. Z zewnątrz dobiegał dziwny, syczący odgłos; jechali przez wysoką trawę.

Pasażer z tylnego siedzenia zląkł z Tyne'a i sprzeczał się z kierowcą. Chodziło jakby o uszkodzenie maszyny... Pasażer zaproponował pieniądze, ale kierowca odmówił.

W końcu samochód stanął. Tyne nie zaprotestował, gdy skrępowano mu ręce na plecach. Dłonie, które dotknęły jego skóry były nienaturalnie gorące. Bez wątplenia ich temperatura wynosiła 40,6°C.

Bezceremonialnie wypchnięto go z samochodu i poleciał prosto w wysoką po kolana, mokrą trawę. Gdy z trudem ukląkł, a potem wyprostował się, ujrzał jak chiński kierowca zaciśka w dłoni plik banknotów, uśmiecha się i zapala silnik. Rosk schwycił Tyne'a za pasek spodni i pociągnął za sobą. W tym czasie samochód zawrócił i pomknął w kierunku, z którego nadjechał. Po chwili zniknął; człowiek i Rosk zostali sami.

Otaczały ich wysokie drzewa, za rzadkie jednak na dżunglę, raczej efekt powtórnego zalesiania. Jedynym świadectwem obecności człowieka była stara, uginająca się pod własnym ciężarem, tubylcza chata. Z oddali dobiegał! jednostajny odgłos ruchu ulicznego - autostrada, nawet niezbyt daleko.

- Przejdźmy się, dobrze? - zapytał uprzejmie Rosk wypchnąwszy Tyne'a przed siebie.

- Skoro nie masz lepszych pomysłów...

Gdy ruszyli drogą deszcz nadal padał, ale z mniejszą pasją. Tyne z najwyższym trudem zdołał zerknąć na napastnika. Wyglądał jak Malaj. Cóż za ironia, pomyślał, że ta rasa osiedliła się akurat na Sumatrze! Tutaj mogli przemykać się wszędzie niepostrzeżenie, a w Anglii odróżnialiby się na kilometr.

- I jak okolica? Podoba się? - spytał Tyne.

- Maszeruj.

Droga pogorszyła się. Deszcz ustał, jak gdyby zakręcono niebiański kran. Wyszło słońce i z ubrania Tyne'a poczęła unosić się para. Za drzewami pojawił się nudny, spokojny, błyskający metalicznie ocean.

Nad głęboką wodą pochylały się strome klify. Tyne wraz ze swoim pogromcą ześliznęli się po niebezpiecznym stoku. U stóp zbocza trzy ogromne palmy, pochylając skamieniałe pnie nad wodą, walczyły w bezruchu o miejsce na niewielkim występie skalnym. Pod powierzchnią wody ich korzenie wyciągały się niczym zatopione palce; Tyne spostrzegł rybę przemykającą między korzeniami. Wtem, bez ostrzeżenia, Rosk zepchnął go z występu.

Runął pod wodę między korzenie, woda rozrywała mu nozdrza. Walczył rozpaczliwie. Topił się! Ze skrępowanymi rękami był bezradny.

Nie było czasu na myślenie. Obok płynął Rosk, który w pewnej chwili schwycił go za kołnierz. Błyskawicznie zanurkowali w ciemną wodę pod klifem i wynurzyli się na powierzchnię. Tyne dyszał ciężko, woda ściekała mu z ust i ubrania. Obcy wytaszczył go z wody i Tyne potykając się ruszył po nierównych stopniach w ślad za Roskiem.

Znajdowali się w grocie, dzięki wielkim palmom wejście do grotty było ledwo widoczne nawet od strony morza. W grocie panowały skrajnie klaustrofobiczne warunki. Ze śliskiego sklepienia ściekał strumyczek wody. Stojąc po piersi w wodzie człowiek nie miał najmniejszych szans, aby wdrapać się na górę. Tyne przypomniał sobie z goryczą, że Roskowie chlubili się pradawnymi tradycjami związanymi z wodą.

Pośrodku grotty unosiła się na powierzchni głębokiej wody niewielka łódź podwodna. Stary gruchot walczył z korozją. Prawdopodobnie to weteran z Marynarki Malezyjskiej z czasów poprzedzających zapoczątkowane przez Gajan ogólnoświatowe rozbrojenie.

Wieżyczka łodzi była otwarta. Pojawiła się ciemna głowa i Rosk wymienił kilka szczekliwych stów z przybyszem. Tyne otrzymał szturchańca i zmuszono go do wejścia na pokład.

Wewnątrz było niczym w piekarniku, zarówno jeśli chodzi o upał, jak i przestrzeń. Tyne musiał położyć się na stalowej kratownicy koi; ręce miał nadal skrępowane na plecach. Łódź ruszyła z ledwo wyczuwalną prędkością.

Zamknął oczy i spróbował zebrać myśli. Nic, nie pojawiła się żadna. Wiedział tylko, że ostrzeżenie obrzydliwego Stobarta było rozsądne, ale nadeszło zbyt późno. Zamarzył o życiu sekretarza podsekretarza Podsekretarza.

- No, wstawaj - rzekł Rosk dźgając go w zębra.

Dopłynęli.

Ponaglany szturchańcami, Tyne wdrapał się po stalowej drabince i wysunął głowę na zewnątrz.

Łódź znajdowała się na otwartym morzu. Nie było widać żadnego lądu, wszystko otulała gęsta mgła, która unosiła się nad gładką taflą wody. Obok kołysał się na falach płytko zanurzony kecz, którego cumę przymocowano do relingu łodzi podwodnej. Trzej Roskowie przejawili drapieżne zainteresowanie osobą Tyne'a. Pochylili się, chwycili go pod pachy, po czym powlekli na jacht i ociekającego wodą, cisnęli na pokład.

- Dzięki - wykrztusił Tyne. - A co z ręcznikiem, skoro już jesteście tacy chętni do pomocy?

Na pokładzie łodzi pojawił się pierwszy prześladowca Tyne'a i zszedł pospiesznie po metalowych stopniach, z których nadal skapywały krople wody. Efektem przeróbek budowlanych pod pokładem był jeden przestronny pokój. Kecz był chyba stutonowcem. Najwyraźniej zanim dostał się w ręce Rosków, służył kiedyś jako łódź pasażerska, kursująca prawdopodobnie pomiędzy okolicznymi wyspami.

Na dole czekało sześcioro Rosków - pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Ubrani byli na styl Rosków, otuleni jakby ceratą, która na równiku wydawała się absolutnie nie na miejscu. Odprężeni, wśród swoich pobratymców, wydawali się jeszcze bardziej obcy. Usta przyby-

szów, prawdopodobnie z powodu szybkiej, bełkotliwej mowy, wykrzywiały się w dziwnym grymasie. Ich gesty były nienaturalne, a nawet to, jak siedzieli na prostych, drewnianych krzesłach, przywodziło na myśl, iż goście zetknęli się z obcymi, pozbawionymi harmonii artefaktami.

Byli istotami z Alfa Centauri II, istotami podobnymi do człowieka, ale niezaprzeczalnie zawsze człowiekowi obcymi. Podobieństwo fizyczne wydawało się jedynie podkreślać różnice duchowe. „Jakby życie na Ziemi nie było bez nich wystarczająco skomplikowane”, pomyślał Tyne.

Rosk, który pojmał Tyne'a w Padangu, składał w swoim języku raport przywódcy grupy. Przywódca - indywiduum o grubiańskim wyglądzie, z nozdrzami niczym goryl i strzechą siwych włosów - wypytywał przesładowcę Tyne'a długo i dociekliwie, jednakże w sposób, który sugerował, iż jest z niego zadowolony. Po chwili zwrócił się do Tyne'a po angielsku.

- Więc tak. Jestem Pułkownik Wojenny Budo Budda, sługa Najwyższego Ap II Dowła, Dyktatora Alfa-Ziemi. Potrzebujemy pilnie informacji i uciekniemy się do wszelkich środków, aby je z, ciebie wyciągnąć. Jak się nazywasz?

- Nazywam się Pandit Nehru - odpowiedział bez wahania Tyne.

- Dajcie go na stół - rozkazał Budda.

Roskowie sprawnie pochwycili Tyne'a i nie zważając na protesty, rzucili go beczernie na środek stołu.

- Pandit Nehru był postacią z waszej historii - rzucił niecierpliwie Budda. - Spróbuj jeszcze raz.

- Martin Todpuddle - oświadczył Tyne zastanawiając się, co o nim wiedzieli, a czego nie.

Najwyraźniej nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywa.

- Rozmawiałeś z agentem Korporacji Ziemia o pół do pierwszej waszego lokalnego czasu w kinie „Roxy” w Padang powiedział Budda. - O czym rozmawialiście?

- Powiedział mi, że powinienem częściej zmieniać skarpetki.

Tyne otrzymał potężny cios w prawe ucho. Świat eksplodował w rozjaśnionym gwałtownym, przeraźliwym huku. Zapomniał już, jak nieprzyjemny może być ból; gdy potrzasał głową próbując odzyskać słuch, jego zadziorność ulotniła się jak kamfora.

Budda pochylił się nad Tyne'm, ogromny, coraz większy.

- My ludzie z Alfę II nie dzielimy waszego poczucia humoru. Ponadto, goni nas czas. Obetniemy ci palec i wydlubiemy oko, o ile nie powiesz nam szybko i otwarcie o czym mówił z tobą agent Korporacji Ziemia.

Tyne zerknął ze stołu na ich twarze o niskich czołach. O czym obcy myśleli, co czuli? Czy istniała różnica pomiędzy tym, co na ich miejscu myśleliby i czuli Ziemianie? Pytanie tego rodzaju nie zostało nigdy inteligentnie zadane od czasu kiedy na Ziemi pojawili się Roskowie, czyli przed prawie pięcioma laty. Wielkie, wiekopomne wydarzenie - spotkanie dwóch obcych, lecz podobnych sobie ras, przesłoniły opary polityki. Przemieszanie kultur sprowadziło się do katowni na stole.

Niegdyś Tyne miał coś do powiedzenia w polityce, teraz znalazł się po drugiej stronie.

- Będę mówił - oświadczył.

- Mądra decyzja, Todpuddle - pochwalił Budda, ale wyglądał na rozczarowanego.

To zaakceptowanie fałszywego nazwiska dodało Tyne'owi otuchy. Zaczął bez związku opowiadać o zamordowaniu swego przyjaciela Allana, ale nie wspominał gdzie się to wydarzyło.

Po minucie Rosk, który pojmał Tyne'a, zbliżył się i wyskrzeczwał coś ze wściekłością.

- Ten facet powiada, że kłamiesz. Dlaczego nie wspomniałeś o Murrayu Mumfordzie? - spytał Budda.

Tyne odwrócił głowę i przeszył wzrokiem swojego pierwszego dręczyciela. Dopiero

teraz miał okazję dokładnie mu się przyjrzeć.

Doznał olśnienia. Był to mężczyzna, który pił w barze kina „Roxy”, i którego Stobart nazwał agentem Rosków; nadal miał na sobie strój miejscowego biznesmena. W takim razie skoro Stobart znał tego gościa, być może on sam lub któryś z jego ludzi śledzili ich i kręcili się w pobliżu. Być może - ta myśl zmroziła Tyne'owi krew w żyłach - Stobart użył go jako przynęty mając nadzieję, że dzięki naiwnej bajeczce Tyne zaprowadzi go do wroga. Wyglądało na to, że Stobart jest tak bezlitosny, jak trzech Rosków razem wziętych.

Całkowicie zakłopotany, Tyne umilkł.

Po szczekliwej komendzie jeden z podwładnych Buddy zaczął przeszukiwać ubranie Tyne'a.

- Dobra - oświadczył Tyne. Przekonał go jeden rzut oka na Buddę, który pochylił się wysuwając język spomiędzy wyszczerzonych zębów. - Oto, co powiedział Stobart.

Roskowie otoczyli stół, a Tyne opowiedział im wszystko zatajając jedynie fakt, że był osobiście wplątany w wydarzenia na Lunie. Budda szybko tłumaczył na język Rosków.

Pułkownik Wojenny upierał się szczególnie przy jednej kwestii.

- Powiadasz więc, że to Stobart powiedział ci, iż Mumford miał się spotkać w Padangu z jednym z naszych łączników?

- Zgadza się.

- Mumford nie musiał iść do naszej bazy?

- Potrafię powiedzieć ci tylko to, co przekazał mi Stobart. Dlaczego nie złapiecie Stobarta?

- Stobarta nie dałoby się złapać tak łatwo jak ciebie, Todpuddle. Mamy takie przysłowie, że małe rybki są łapane, ale wielkie ryby umierają śmiercią naturalną.

- Wypchaj się ze swoimi narodowymi powiedzonkami. Co zamierzacie ze mną zrobić?

Budda nie odpowiedział. Podeszedł do szafy, otworzył ją i wyjął proste na pierwszy rzut oka urządzenie, które najwyraźniej działało jak walkie-talkie. Sposób, w jaki Budda mówił, zasugerował Tyne'owi, że Wojenny Pułkownik rozmawia z przełożonym znajdującym się prawdopodobnie w bazie na Sumatrze. Zaintrygowany Tyne usiadł na blacie stołu. Nikt go nie uderzył. Przesłuchanie było skończone.

Odłożywszy urządzenie Budda zaczął głośno wydawać rozkazy pozostałym Roskom.

Tyne zsunął stopy na podłogę i wstał. Jego ubranie było nadal mokre i przywarło do ciała. Sznury, którymi skrupowano mu ręce, stawały się coraz ciaśniejsze.

- Mogę wracać? - spytał.

- Wraca pan do swojego wiecznego domu - odparł Budda. Spełnił pan dobrze swoje zadanie, panie Todpuddle, i jestem panu wdzięczny. Teraz wszyscy ruszamy, żeby pojmać Mumforda, ale zostawiamy naszą towarzyszkę, panią Bendę Ittai, która zaszyje pana w worku i ciśnie w błękitną toń. To odwieczny rytuał pogrzebowy na Alfie. Żegnaj!

- Nie możecie tak mnie zostawić! - ryknął Tyne, ale Roskowie zbiegali już po stopniach zejściówki. Odwrócił się w stronę kobiety-

Wiedział, że jest piękna. Było to coś, co zauważył instynktownie zaraz po wejściu, mimo że jego umysł zaprzętały inne sprawy. Teraz spostrzegł, że kobieta wygląda bardzo stanowczo. Benda Ittai była drobna, ale muskularna i, pomimo dziwnego stroju, pełna wdzięku. Tyne zobaczył, że dziewczyna ma przy sobie indonezyjski nóż.

Podeszła ostrożnie mówiąc coś w swoim szorstkim, zgrzytliwym języku.

- Nie wysilaj się, Mata Hari - poradził Tyne. - I tak nie kapuję ani słowa.

Słyszał jak pozostali schodzą na pokład łodzi podwodnej. „Będą ściśnięci jak śledzie w becze”, pomyślał. Gdy odjadą, zaatakuje tę małą łajdaczkę, powali ją na ziemię i ucieknie.

Ale mała łajdaczka wiedziała co w trawie piszczy. Wyciągnęła ze schowka stary żagiel i rozpostarła go na pokładzie, a następnie błyskawicznie zastosowała chwyt podobny do technik dżudo i powaliła Tyne'a na tkaninę. Zanim zorientował się co jest grane, leżał zwinięty

w żaglu. Walka nie miała sensu. Leżał spokojnie chwytając z trudem powietrze. Benda Ittai zaszywała bardzo szybko żagiel przy pomocy automatycznej igły. Wtedy Tyne'a ogarnął najprawdziwszy, paraliżujący strach.

Kobieta doprowadziła do tego, że stał się zupełnie nieszkodliwy, po czym wyszła na pokład. Po chwili wróciła, przewiązała więźnia liną i zaczęła taszczyć pakunek po wąskich schodkach. Szttywne płótno chroniło Tyne'a przed boleśniejszymi uderzeniami. Znalazszy się na pokładzie, zaczął rozpaczliwie wrzeszczeć błagając o miłosierdzie. Żagiel skutecznie tłumiał krzyki.

Toból został przeciągnięty do relingu.

Spocony jak mysz, wściekle wierzgający nogami poczuł, że przechyła się za burtę. „To już koniec, Leslie”, pomyślał w desperacji. Poleciał swobodnie w dół, a w chwilę potem poczuł błogosławioną twardość desek. Dziewczyna zepchnęła go w coś, co wydawało się być łodzią wiosłową.

Tyne znajdował się nadal w stanie półomdlenia, gdy do łodzi wskoczyła Benda Ittai. Łódź zakotyła się łagodnie i odbiła od jachtu. A więc miała silnik; pracował niezwykle cicho.

Tyne zrozumiał nagle w jaki sposób Roskom udało się zdobyć tyle rzeczy. Pomimo pierwszych kroków na drodze do reorganizacji życia Ziemiań, typowy mieszkaniec Sumatry pozostał ubogi. Koncepcja lojalności ogólnoswiatowej nie była mu obca, jednak jakże można przepuścić okazję i nie sprzedać z niesamowitym zyskiem łodzi rybackiej, noża czy łodzi żaglowej.

Sumatra była dla Rosków stosunkowo neutralnym gruntem. Odstępowanie terytoriów, oprócz rekompensat, podsycało tylko nienawiść tubylców do mieszkańców sąsiednich regionów.

- Potrafię ci pomóc, Todpuddle - rzekła Benda Ittai kładąc dłoń na kokonie z żagla.

Do tej pory sytuacja do tego stopnia przerastała Tyne'a, że gdy usłyszał jak Benda mówi po angielsku, był w stanie wybełkotać tylko przez tkaninę:

- Nazywam się Tyne Leslie.

- Moi ludzie nie wiedzą, że mówię ziemskim językiem. Nauczyłam się go po kryjomu, oglądając wasze programy telewizyjne.

- Założę się, że pewnie jeszcze sporo nie wiedzą wydusił Tyne. - Wypuść mnie z tego przenośnego grobowca! Słowo honoru, nieźle mnie nastraszyłaś.

Benda rozcięła płótno swoim ostrym nożem. Wycięła jedynie dziurę na twarz, tak że Tyne leżał wygięty w kabłąk i wytrzeszczał oczy.

Przyglądali się sobie uważnie.

- Nie patrz na mnie tak, jakbym zdradziła własną rasę rzuciła niespokojnie. - Wcale tak nie jest.

- Wcale tak nie pomyślałem - odpowiedział Tyne zmuszając się do uśmiechu. - Ale jak się w to wpakowałaś? Co masz wspólnego z Murrayem?

- Mniejsza o mnie. Pal sześć całą resztę! Cała ta sprawa przerasta cię, to wszystko. Po prostu ciesz się, że nie pozwoliłam, żebyś utonął. Starczy na jeden dzień.

Morze było zupełnie spokojne. Gęste kłęby mgły nadal unosiły się nad taflą wody. Benda sterowała przy pomocy kompasu i po chwili z nicości wyłoniła się niewielka wyspa porośnięta nieśmiertelnymi drzewami palmowymi. Dziewczyna wyłączyła silnik i pozwoliła łodzi dryfować w stronę porośniętej z obu stron roślinnością, maleńkiej plaży.

- Zostawię cię tutaj i radź sobie sam - oświadczyła. - Kiedy Budo Budda wróci na łódź, powiem mu, że spełniłam swój obowiązek. Woda jest tu dostatecznie płytka, przetnę linę i będziesz mógł dobrnąć do brzegu. Z pewnością wkrótce spostrzeże cię jakaś przepływająca w pobliżu łódź.

- Słuchaj - zaczął rozpaczliwie, gdy Benda rozcięła kokon z żagla. - Jestem ci bardzo

wdzięczny za uratowanie mi życia, ale proszę cię, powiedz o co tutaj chodzi?

- Mówię ci, że ta sprawa przerasta cię. Musisz się tym zadowolić.

- Benda, takie gadanie daje mi do zrozumienia, że to ja nie dorosłem do sprawy. To ma fatalny wpływ na moje kompleksy. Musisz powiedzieć mi co się dzieje. Czy informacja Murraya ma aż tak ogromne znaczenie, że wszyscy, którzy pragną ją zdobyć, są zdolni do popełnienia morderstwa?

Obawiając się, że Tyne po rozwiązaniu rąk rzuci się na nią, Benda zmusiła go do wejścia do wody, a następnie przecięła linę. Stał po pas w wodzie. Dziewczyna cisnęła nóż, a gdy Tyne pochylił się, aby pochwycić połyskujący niczym ryba przedmiot, zawołała:

- Ten twój Murray ma przy sobie coś, co nazywacie mikrofilmem. Jest na nim nagrany mający wkrótce nastąpić atak floty statków z Alfą na Ziemię. Nasz statek, który przybył na Ziemię pięć lat temu nie jest tym, za co go uważacie. Wasi ludzie zostali oszukani przez naszego Przywódcę. Ten statek to tylko rekonesans, broń zwiadowcza zaprojektowana w celu przeprowadzenia wstępnego rozeznania dla tych, którzy teraz przybywają, aby dokonać inwazji. Ty czy ja, niezależnie od tego co czujemy, nie możemy już nic poradzić. I tak jest za późno. Żegnaj!

Tyne stał bezradnie w morzu wpatrując się w sylwetkę dziewczyny, dopóki niewielka łódka nie zniknęła w złotej mgle.

4

System słoneczny zbliżył się do nieujarzmionej gwiazdy lata - Wegi. System Ziemia-Księżyc zatańczył wokół Słońca, pasożyt i żywiciel, wiecznie obok siebie. Planeta obróciła się wokół swojej niewyobrażalnej osi. Oceany zakolysały się niespokojnie w swoich płytkich nieckach. Przez kontynenty przewaliły się fale różnorodnego życia. Na pewnej niewielkiej wyspie siedział mężczyzna i tłukł w skorupę orzecha kokosowego.

Na zegarku była godzina 16:20 czasu miejscowego. Za trzy godziny zrobi się ciemno. Jeśli fala upału utrzyma się do zachodu słońca, tego dnia szansę rozbitka na ratunek sprwadzą się do zera.

Tyne wstał przeżuając ostatni kęs mięszu kokosowego i cisnął pustą skorupę do wody. Po kilku minutach prąd ponownie zniósł ją na brzeg. Tyne'a rozwścieczyła własna bezsilność. Po ciemku nie będzie nawet w stanie określić gdzie leży Sumatra. Tam, gdziekolwiek to było, przesądzał się los ludzkości. Gdyby Korporacja Ziemia zdobyła ten bezcenny mikrofilm, można by było przedsięwziąć skuteczne środki zaradcze. Stobart wspomniął niejako o „informacji”; czy znał prawdziwą wartość tego, co posiadał Murray? Możliwe, że Tyne jest jedynym człowiekiem na Ziemi, który ma świadomość o jak straszliwą stawkę toczy się gra.

A czy Murray wie?

Murray zamordował przyjaciela i zdradził swój gatunek. Kimże był?

- Niech go tylko dostanę w swoje ręce... - rzekł Tyne.

Czy przerażająca opowieść Bendi Ittai o nadchodzącej inwazji była prawdą?

Tyne zdecydowanie nie zamierzał być dłużej pionkiem w tej wielkiej grze. Teraz sam przejmie inicjatywę. Jak dotąd był marionetką w rękach nieznanymi sił, które miotają nim podobnie jak czynił to wirujący równik; od teraz Tyne będzie sam stawiał kroki.

Obszedł swoją bezludną wyspę. Nie miała więcej jak dziesięć akrów powierzchni, prawdopodobnie była jedną z odleglejszych wysepek atolu Mentawai. Po drugiej stronie, za

spiętrzoną masą odłamków skalnych, która sięgała daleko w morze, ciągnęły się zburzone bunkry. Prawdopodobnie pamiątka po jawajsko - sumatrzańskich niesnaskach w dwudziestym wieku.

Fortyfikacja składała się z dwóch izb. W wewnętrznej Tyne ujrzał przegniły stół i zardzewiałą żelazną skrzynię. W skrzyni leżała stłuczona latarnia, łopata i kilof. Na jednej ze ścian wisiły nadżarte przez pleśń, drewniane półki.

Przez następne cztery godziny Tyne był zajęty przygotowywaniem środków obronnych. Nic zamierzał ponownie dać się złapać jak dziecko.

Podczas pracy jego mózg gorączkowo analizował usłyszane od obcej informacji. Tyne'a przerażała i naiwność Ziemi, która święcie uwierzyła w historyjkę Rosków, i perfidia Alfya II, która tak nadużyła szczodrobliwego gestu ludzkości. Mimo wszystko trudno było wyobrazić sobie, że obie strony mogły zachować się inaczej. Ziemia nie miała żadnego powodu, aby nie wierzyć, że statek Rosków jest czymkolwiek innym, niż to przedstawili przybysze. Z drugiej strony, jeśli Roskowie naprawdę snują plany inwazji na Ziemię, to z wojskowego punktu widzenia ich wstępne rozpoznanie co do ziemskich warunków, było jak najbardziej na miejscu.

Tynem zawładnęło uczucie irytacji, tak jak to się częstokroć zdarzało w dawnych czasach, gdy siadywał za błyszczącymi stołami Rady Narodów Zjednoczonych. Z powodu tych przeklętych przeciwstawności, obarczanie winą wplątanych w wydarzenia ludzi nie miało sensu; należało raczej złorzeczyć siłom, które sprawiły, iż tacy się stali.

Tyne pracował przez godzinę, po czym powiała lekka bryza, mgła rozwiła się i zaświeciło słońce. Niskie chmury na horyzoncie wskazały gdzie leży Sumatra. Ubranie Tyne'a wyschło, jego zapalniczka znowu działała. Rozpalił ogień i pracował aż do zachodu słońca.

Po skończonej pracy rzucił się na piasek i wbił wzrok w plażę, na której pozostawiła go Benda Ittai. W oddali zamigotały światła jakiegoś ziemskiego frachtowca, który oddalił się nie zwróciwszy uwagi na ognisko sygnalizacyjne Tyne'a.

Piasek był ciepły. Tyne miał czas na rozmyślenia, leżał wsłuchując się w jednostajny rytm fal bijących o plażę.

Spróbował rozważyć co miałyby oznaczać inwazja Rosków i podbój planety. Od kiedy międzygalaktyczny statek Rosków osiadł na przydzielonym mu terytorium, pesymiści twierdzili, że jego masa, dodana do masy Ziemi, wpłynie na zmianę orbity Ziemi. Według astronomów na razie Ziemi nie groziła taka ewentualność. Ale, jak dowodzili pesymiści, mogłaby grozić, albowiem naukowcy Rosków odkryli coś w rodzaju ujemnej siły grawitacyjnej, dzięki której statek stał się lekki jak piórko.

Nie dysponowano żadnymi dowodami na istnienie tego rodzaju super mocy, jednakże na kanciastą bryłę statku z całą pewnością wpłynął miejscowy kapryśny mikroklimat - tego efektu Ziemianie obawiali się najbardziej.

Tak czy inaczej, Ziemia była wystawiona na atak obcych. Stare arsenały nuklearne powoli likwidowano. Specjalna ustawa będzie regulować wyprodukowanie większych ilości nowej broni. Był to proces stopniowy; inwazja następowała błyskawicznie. Przyszłość Ziemi nie przedstawiała się w różowym kolorze.

Nikt nie wiedział, jak Roskowie obejdą się z podbitymi mieszkańcami Ziemi, jednakże historia dostarczała wystarczającą liczbę przykładów tego, co działo się z pokonanymi, aby Tyne wyciągnął wcale roztropne wnioski.

Dziadek Tyne'a był rzeźnikiem. Nawet wtedy rzeźnictwo było wymierającym zajęciem, jako że ruch gajański stopniowo rósł w siłę. Dziś wegetarianizm był czymś powszechnym, a masowe zarzynanie zwierząt domowych należało już do przeszłości. Jedzono mięso dzika, jelenia, kozicy i antylopy, zwierzęta wybierano z ogromnych stacji rolniczych, które pokrywały przeważającą część powierzchni Ziemi.

Cywilizowane życie na Ziemi nareszcie zaczęło biec w dobrym kierunku - z korzyścią

nie tylko dla bogaczy, ale dla wszystkich. Utopijne wizje zastąpiła nowa harmonia i zrozumienie natury. Mężczyźni i kobiety zgodnie i wytrwale zmierzali do osiągnięcia tego celu. Cóż za ironia losu, że groźba inwazji pojawia się w tak pomyślnym okresie.

Wszystko, w imię czego warto żyć - jeśli nie samo życie, ulegnie zagładzie. Przyglądając się sobie Tyne spostrzegł, że sam ponownie stacza się na mniej cywilizowany poziom. Znowu jest prawie gotów zadawać ból i zabijać. Podczas kryzysu gajańskie przyrzeczenie stało się pustym frazesem. Sen o pokoju na Ziemi rozpułynał się niczym góra lodowa doholowana do portu równikowego. Ziemia wrzała.

Tyne przeraził się na myśl o tym, co może się wydarzyć.

Zasnął.

Ocknął się zziębnięty i odrętwiały. Od strony morza wiała chłodna bryza. Była mniej więcej dziesiąta wieczorem. Nisko nad rozkołysanym oceanem pojawił się sierp księżyca: odległy i wspaniały, starożytny symbol nadziei.

Do wyspy zbliżała się łódź rybacka. Tyne'a obudził przytłumiony warkot silnika.

Ocalenie! Na widok uspokajająco znajomego kształtu tubylczej łodzi, Tyne uświadomił sobie jak bardzo bał się ujrzenia zamiast niej keczu Budo Buddy. Rozpierała go radość.

- Tu! Tu jestem! Ratunku! - wrzeszczał po malajsku podskakując i dorzucając drewna do ogniska. Łódź rybacka skręciła gwałtownie i prawie było już słychać jak dziób łodzi z pluskiem rozbija fale.

Ciemności rozjaśniało przyćmione światło zawieszanej w połowie masztu latarni. Siedzieli w nim trzej mężczyźni. Jeden z mężczyzn odrzyknął coś w odpowiedzi zwiijając wraz z pozostałymi pojedynczy żagiel. Łódź zaryła dziobem w piasek.

Pędząc w dół Tyne nagle stanął jak wryty. Mężczyźni byli okutani jak Arabowie, a jeden z nich... trzymał w ręku broń! Zatrwożony, Tyne rzucił się do ucieczki.

- Nie ruszaj się, Tyne Leslie!

Niechętnie zatrzymał się i odwrócił. Z łódki wyskoczyli dwaj mężczyźni, jeden z nich odrzucił do tyłu kaptur. W świetle księżyca gęstwina siwych włosów wyglądała oszałamiająco niczym śnieżnobiała chmura wokół głowy. Był to Pułkownik Wojenny Budo Budda. Trzymał rewolwer wycelowany w Tyne'a.

Dzieliło ich około dziesięciu metrów, stopy Rosków obmywały fale morza. Tyne stał kawałek dalej na wąskiej plaży obok kępy drzew. Była cudowna noc, tak cicha i spokojna, że słychać było jak człowiekowi cierpieć skóra.

- To ładnie z twojej strony, że rozpalisz ognisko, aby dać sygnał - rzekł Budda. - Zmęczyliśmy się przeczesywaniem tych wysepek.

Słyszając to Tyne zrozumiał, że jego odnalezienie nie było kwestią przypadku. Serce ścisnęło lodowaty skurcz. Uświadomił sobie, że istnieje tylko jedno źródło, z którego mogli dowiedzieć się, że nadal żyje. Bez namysłu wybuchnął:

- Gdzie jest Benda Ittai?

Budda roześmiał się, zabrzmiało to jak kaszlnięcie.

- Mamy ją. Jest głupia, ale niebezpieczna. To zdrajczyni. Podejrzewaliśmy to od dawna i urządziliśmy na nią zasadzkę. Nie zostawiliśmy was samych, na łodzi ukrył się obserwator. Gdy wróciła sama zostawiwszy cię tutaj, nasz człowiek zmierzył się z nią i zwyciężył.

Cokolwiek jej zrobili, Benda najwyraźniej nie zdradziła gdzie zostawiła Tyne'a. Rosk, czy też nie, to dobra dziewczyna. Tyne pomyślał z żalem o jej powrocie na łódź, wróciła na własną zgubę. Przypomniał sobie jej niepokój; to wspomnienie powróciło do niego niczym powiew wiatru.

- Jesteś cholernie sprytny, Budda! - krzyknął. Kiedyś przez to zdechniesz!

- Ale nie dziś - odparł Budda. - Złaż tu, Tyne. Chcę dowiedzieć się, co ci powiedziała ta Ittai.

A więc dlatego z miejsca go nie zastrzelili! Chcą dowiedzieć się, czy Benda coś mu

wyjawiła.

Tyne bez słowa odwrócił się i pognął w stronę drzew. Natychmiast dobiegł go odgłos strzałów, łatwy do rozpoznania świst broni Rosków, wielkiej osiemdziesiątki ósemki z na wpół samonaprowadzającymi pociskami. Tyne był już w lesie, czarnym, niskim, bezpiecznym.

Natychmiast pobiegł w lewo, aby pod osłoną lasu dotrzeć do morza. Przemykając między drzewami bez przerwy zerkał przez ramię. Budda i jego towarzysz przez chwilę stali jak wryci – po wcześniejszym żalonym przedstawieniu najprawdopodobniej nie spodziewali się, że Tyne przejawii jakąkolwiek inicjatywę. Po krótkiej naradzie wzięli z łodzi latarkę i pokrzykując do siebie, potruczali plażą.

Tyne zdążył do tego czasu zejść ich od tyłu. Przycupnął na niskim występie skalnym omiatając wzrokiem łódź i plażę. Przeszukując po omacku trawę znalazł trzy ciężkie kamienie.

W tej chwili dwaj Roskowie biegli do końca niewielkiej plaży. Tyne wstrzymał oddech. Wrzasnęli jednocześnie, światło latarki zawirowało i prześladowcy runęli w przygotowaną wcześniej pułapkę. Aby ustrzec się przed wszelkimi ewentualnościami, Tyne wykopał głęboki dół w poprzek ścieżki, którą musiał przejść każdy, kto kierował się w głąb łądu. Przykryty przegniłymi półkami ze starego bunkra i przysypany cienką warstwą piasku, dół stanowił doskonałą pułapkę. Gdy Roskowie stanęli na zamaskowanych deskach, te zawały się i obcy wpadli do dołu. Jako, że w tym miejscu zbrocza wydm były bardzo strome, na Rosków błyskawicznie runęła lawina piachu.

Przewaga Tyne'a była tylko chwilowa, w najlepszym razie zyskał kilka sekund.

Gdy Rosk w łodzi wyprostował się, żeby sprawdzić co się dzieje, Tyne cisnął w niego pierwszy kamień. Sylwetka mężczyzny wyraźnie odbijała się w świetlistej wodzie; był tuż obok. Kamień uderzył w ramię. Rosk odwrócił się podnosząc broń. Kawałek skały wielkości ludzkiej stopy trafił go prosto w żołądek.

Prawie natychmiast gdy Rosk zwinął się z bólu, Tyne zbiegł po piaszczystym zboczu i rzucił się na wartownika. Skoczył jak lampart zwalając Roska z nóg. Potężne uderzenie w głowę pozbawiło wroga przytomności. Tyne rzucił go bezceremonialnie na mokry piasek, a sam z furią zepchnął łódź do wody. Podciągnął się, wskoczył do środka i postawił żagiel. Kula wystrzelona z plaży strzaskała lampę na maszcie. Tyne poczuł na ciele szkło i oliwę. Roześmiał się.

Odwróciwszy się spostrzegł jak, czarne na tle piasku, dwie postacie wydostają się z pułapki i biegną do wody. Ponownie wystrzelili. Tyne padł na pokład łodzi, wielkie pociski zagwizdały w powietrzu.

Roskowie pływali jak ryby. Pierwszego roku na Ziemi, jeszcze zanim zaczęły się kłopoty, wzięli udział w Igrzyskach Olimpijskich i wygrali wszystkie konkurencje wodne. Nie ulegało wątpliwości, że potrafią płynąć z prędkością łodzi rybackiej napędzanej lekką bryzą.

Grzebiąc po dnie łodzi stalowa dłoń Tyne'a natknęła się na rewolwer porzucony przez pobitego Roska. Schwycił broń szepcząc słowa podziękowań.

Budda i jego kumple brodzili w wodzie strzelając i świecąc latarką. Stanowili idealny cel. Oparłszy lufę o burtę łodzi, Tyne wziął na muszkę sylwetkę Pułkownika Wojennego. Wiatr zaczął dać w żagiel i łódź wypływając zza wyspy, przechyliła się lekko. Starając się zsynchronizować strzał z ruchami łodzi, Tyne zignorował furkoczący wściekle pocisk, który wbił się w bal tuż przy jego twarzy.

To zabawne - próbować zabić kogoś w tak cudowną noc... Teraz!

Broń Rosków była niesamowita. Nie nastąpił najmniejszy nawet odrzut. Budda skrzeknął jak żaba i runął w wodę razem z latarką.

- O Boże! - zdumiał się Tyne. Powtarzał to w kółko, a jego łódź nabierała szybkości unosząc się na falach, w których odbijała się karbowana tarcza księżyca.

Gdy szok po zabójstwie zmienił się w radość, Tyne był nieomal przerażony niesamowitą rozkoszą, którą wywołał nowy nastrój. Mógł teraz wszystko. Mógł ocalić świat.

Entuzjazm wyparował, gdy zamyślił się nad tym gdzie znajduje się w tej chwili Budo Budda. Czy oprócz ciała wpatrującego się martwymi oczyma w ciemną głębię, przetrwało coś z Pułkownika Wojennego Rosków? Po chwili Tyne w skupieniu zajął się bardziej przyziemnymi sprawami.

Od północy minęło półtorej godziny. Czas wymykał mu się i uciekał niczym spieniony ślad za rufą łodzi. Trzeba znaleźć Murraya zanim złapią go Roskowie, naturalnie zakładając, że nie złapali go do tej pory. Oczywiście było, że pierwszą rzeczą jaka czeka Tyne'a po dotarciu na stały ląd, jest złożenie pełnego raportu Stobartowi lub innej kompetentnej osobie. Zamiar kontynuowania samotnych łowów na Murraya był idiotyzmem; jednakże Tyne stwierdził, że ma ochotę właśnie na to, stawić czoła potworowi, zamor...

Tak, chciał zamordować wielkiego, małowórnego kapitana Służby Kosmicznej. Nawet - wzbraniał się przyznać do tego pragnienia - chciał poczuć przerażającą radość zabijania.

Jednakże druga połowa jego natury chciała jedynie rozwiązać zagadkę zniknięcia Murraya i wszystkiego co się z tym wiązało. Jedynie! Tyne zamartwiał się, że w trakcie kluczowych wydarzeń w Sektorze 101, z których Murray i Stobart zdali różne sprawozdania, on sam leżał nieprzytomny. Obaj mogą nie mieć racji, a prawda być może nigdy nie wyjdzie na jaw. Prawda jest potęgą pierwotną, nieomal jak grawitacja; podobnie jak grawitacja była tu zawsze, aczkolwiek niektórzy ludzie nigdy nie zdawali sobie sprawy z jej istnienia.

Tyne schował osiemdziesiątkę ósemkę i przytrzymał długi, sztywny drażek rumpla. Jednym z jego najwcześniejszych wspomnień, tuż nad krawędzią przepaści zapomnienia, był obraz niego samego w wieku trzech lat, siedzącego w dziecięcym wózek. Wyrzucił z wózka zabawkę. Upadła na ziemię. Za każdym razem gdy ją wyrzucał, głupia zabawka leciała w dół. Próbował z innymi zabawkami, z butami, czapeczką, kocykami. Wszystkie spadały na dół. Nadal pamiętał jak ogromnie czuł się rozczarowany. Nawet dziś nadal nienawidził tego braku wyboru.

Prawda miała w sobie coś nieuniknionego; Tyne musi po prostu przeć przed siebie, dać sobie spokój z faktami, a koniec końców prawda sama wyjdzie na jaw. Tym razem warto ją chronić: zależy od niej przyszłość Ziemi.

Wydało mu się to nieomal abstrakcyjnym problemem. Wiedział, że powinien nienawidzić Rosków, pięć tysięcy obcych tu na Ziemi i miliony kłębiące się na Alfie II. Jednakże nienawiść nie wzbierała; czyżby dlatego, że jeden z nich okazał się jednocześnie odważny i piękny?

Skoncentrował się na żeglowaniu. Przez nieporęczny żagiel łódka nie dawała się lekko sterować. Tyne pomyślał, że prawdopodobnie więcej czasu zajmie mu rejs z wyspy na Sumatrę, niż podróż statkiem kursującym między Sumatrą, a Księżycem. Postęp, jak przekonali się dobrzy Ziemianie, zawiera w sobie stabilizację; za tysiąc stuleci poletka ryżowe będą nadal uprawiane. Kolejna trudna lekcja: natura zawsze miała ostatnie słowo. Przeto Tyne płynął tam, gdzie wiał wiatr.

Ale miał szczęście. Dostał się w południowo-wschodni monsun i w pół godziny później ujrzał ląd. Kolejna godzina i wpływał pod ciemne klify rozglądając się gdzie mógłby przybić do brzegu. Na niewielkim, kamienistym cyplu przycupnęły dwie chaty uginając się pod ciężarem strzech. W jednej migotało złotawe światło. Wciągnąwszy łódkę na plażę na piach i kamienie, wdrapał się na klif i ruszył w stronę zabudowań.

Wśród drzew leżał niewielki kampong. Ładnie pachniało słodkawym dymem. Natknął się na starca ćmiącego w świetle księżyca ogryzek cygara. Stary poprowadził go do drogi. Tyne stwierdził z ulgą, iż znajduje się jakieś szesnaście kilometrów na południe od Padangu.

- Gdzieś z godzinę marszu stąd - rzekł starzec - jest telefon, z którego będzie pan mógł porozmawiać z pewnymi ludźmi w stolicy. Jeśli powie im pan, żeby przysłali szybki samo-

chód, to przyjedzie szybki samochód.

- Dzięki za dobrą radę. Oczywiście, że tak zrobię. A gdzie jest ten telefon? W jakimś domu czy sklepie?

- Nie, telefon jest w nowej fabryce, tam gdzie przerabia się wodę morską na żywność.

Tyne zrozumiał; starem chodziło o przetwórnę planktonu w Semapangu. Gdy dotarli do drogi, podziękował mu serdecznie prosząc o przyjęcie w darze łodzi. Zachwycony krajo-wiec nalegając dał mu w zamian nieco jedzenia zawiniętego w liść palmowy. Tyne podziękował i ruszył w dobrym nastroju. Zwinięty liść zawierał doskonale przyprawiony, gotowany ryż z kilkoma kawałkami aswabi. Po drodze Tyne pochłonał wszystko żarłocznie. Chociaż droga była zaledwie traktem, w jasnym świetle księżycy widać było dokładnie każdą koleinę. Po obu stronach drogi wznosiła się ściana, spokojnej niczym angielski las, nieprzebytej dżungli.

Minęło pięćdziesiąt minut zanim wyłoniły się zarysy przetwórnicy planktonu. Tyne poczuł się mniej dziarsko. Księżyc zamierzał skryć się za gromadzącymi się chmurami. Tyne zrobił sobie przerwę i oparł się o pień drzewa, aby odpocząć i zebrać myśli. Nad koronami drzew rozległ się pomruk nadchodzącego grzmotu.

Mina, którą Tyne wypytywał w „Roxy”, powiedziała że Murray wybiera się właśnie tu, do fabryki planktonu. Kapitan patrolu szpiegowskiego mógł mieć tylko jeden powód, aby przybyć w to miejsce. Fabryka była całkowicie zautomatyzowana, pracował tu jedynie samotny inżynier w dzień i strażnik w nocy. Murray musiał wybrać to miejsce na kryjówkę dopóki nie zdoła nawiązać kontaktu z agentem Rosków. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest to miejsce mało sensowne i nieprawdopodobne; jednakże z tego powodu mogło okazać się odpowiednie.

Tyne wiedział co robić. W kieszeni tkwiła broń Rosków, kaliber 88. Sam namierzy Murraya; jeśli tu jest, znajdzie go. Miał z nim do wyrównania prywatny rachunek. Potem będzie czas na telefon do Stobarta z Korporacji.

Zza połyskujących konturów drzew wyłonił się gmach fabryki. W bladym świetle księ-życa wyglądał jak góra lodowa. I podobnie jak w przypadku góry lodowej, część bryły gma-chu znajdowała się pod wodą. Jako że budynek stał tuż nad morzem, jego masywna fasada wychodziła prosto na Ocean Spokojny, a tył w stronę lądu.

Codziennie fabryka wsysała do swoich przepastnych zbiorników miliony ton wody morskiej, która następnie, ogołocona z planktonu, była wypływana na zewnątrz. Mikroskopij-ne organizmy wfiltrowywano w zbiorniki z pożywnym roztworem, tam pasły się i pęczniały, a następnie przechodziły proces syntetyzacji, który zamieniał je w sprasowaną, smaczną i wysokoenergetyczną żywność. Takie przetwórnice, wybudowane wzdłuż wybrzeży Oceanu Indyjskiego i Morza Chińskiego, poważnie przyczyniły się do zmniejszenia problemów żywnościowych panujących w bardziej przeludnionych obszarach tropików. Ich widok stał się tak znajomy, jak niegdyś elektrowni atomowych.

Tyne zbliżył się ostrożnie.

Chociaż nigdy nie był tu wcześniej, dzięki rozgłosowi miejsce było mu znajome. Wiedział, że włamanie się do fabryki jest praktycznie niemożliwe. Gdzież tedy mógł schować się ścigany? Najbardziej prawdopodobna wydawała się jedna odpowiedź: na fasadzie od stro-ny morza.

Niezliczone łuki i przypory nad otworem wylotowym z zakładów wystarczą jako ochro-na przed chemikaliami, lecz nie przed indywidualną wizją lokalną.

Teraz Tyne zamierzał przeprowadzić taką wizję.

Przemknął obok opuszczonego lądowiska śmigłowców. Tarczy księżycy przesłoniły chmury; uszczęśliwiony Tyne natychmiast wykorzystał okazję. Tłuczniowa nawierzchnia drogi kończyła się wysokim murem. Nad murem ciągnęło się wąskie przejście, skąd następnie wyrastała stroma ściana głównego budynku. Tyne wtaszczył pustą beczkę po oleju, stanął na

niej, przykucnął i skoczył do góry. Rozpaczliwie chwyciwszy się załomu, podciągnął się na szczyt muru. Skulił się i zaczął nasłuchiwać. Nic. Tylko szept morza, przenikliwy krzyk jakiegoś nocnego ptaka.

Teraz uświadomił sobie nieprawdopodobieństwo wdarcia się do budynku. Gładkie, białe ściany wznosiły się pięćdziesiąt metrów w górę, mur ciągnął się nieprzerwanie w obie strony i tylko kilka metrów dalej biel szpecił ciemny zygzak. Opuściwszy nisko głowę przeczołgał się wzdłuż szczytu muru; ciemny zygzak zamienił się w stalową drabinę, która rozpoczynała się około pięciu metrów nad ziemią i prowadziła prosto na dach.

Tyne stanął na murze na wprost drabiny i przeskoczył nad wąskim przejściem. Schwycił się szczebla obiema rękami i znalazł oparcie dla nóg. Nagły wysiłek nieomal wyrwał stalową dłoń Tyne'a; mężczyzna wisiał nieruchomo dopóki ból ramienia nie zelżał. Wokół gęstniała nieprzenikniona ciemność. Rozległ się grzmot. Wtedy Tyne zaczął wspinać się po drabinie.

Dokładnie w tej samej chwili zaczął padać deszcz. Tyne słyszał jak krople szeleszczą w koronach drzew. Po chwili ulewa runęła na Tyne'a, jakby próbowała rzucić go o ścianę. Starał sobie przypomnieć, kiedy był ostatnio przemoczony do suchej nitki, i wspinał się dalej.

Już na dachu przykucnął i rozejrzał się uważnie wokół siebie usiłując przebić wzrokiem mokre ciemności. Księżyc przesłoniły deszczowe chmury. Z prawej strony dostrzegł wysokie kominy wentylacyjne, dobiegł go odgłos dudniących o nie kropel deszczu. Przeklinał półgłosem. Przeklinał cały wszechświat, słońca i księżycy, ale najbardziej planety za to, że stwarzają warunki tak kapryśnym zjawiskom jak życie i pogoda.

Posuwając się przy pomocy rąk i nóg poczołgał się w stronę muru od morza. Jeszcze jeden występ w górę, jedna krawędź, śliski zjazd w dół i Tyne wylądował na szczycie fasady budynku. W dole znajdowały się luki i nisze, w których spodziewał się znaleźć Murraya. Jeszcze niżej leżało, wywołujące teraz irytację, ciemne morze.

Widział je - niewyraźnie, poszatkwane zacinającym deszczem, uderzające i rozbijające się o mur fabryki. Bezpośrednio pod sobą zauważył niewielki obszar stosunkowo spokojnej wody pośrodku sieci z planktonem wielkiego, perforowanego ekranu, który zapewniał to, iż żadna istota większa od krewetki nie zostanie wessana w trzewia fabryki i poddana procesowi przeróbki. Po drugiej stronie wystrzeliwał w górę opryskiwacz.

Hałas spowodował, iż Tyne zrezygnował z konspiracji. Wstał i osłoniwszy dłońmi usta, krzyknął:

- Murray!

Dźwięk zniknął natychmiast w rynsztokach ciszy. Tyne nie ponowił próby.

Na czworakach, w spływających po twarzy strumieniach deszczu, zaczął czołgać się po głównym pomoście komunikacyjnym rozglądając się jednocześnie za kolejną drabiną inspekcyjną, która pozwoliłaby mu zejść w dół.

Znalazł. Spuścił nogi uśmiechając się do siebie z radości. Stanął na pierwszym szczeblu, gdy w tej samej chwili rozległ się strzał.

Tyne zamarł. Skulił się i przywarł do mokrego betonu, mięśnie napięły się w oczekiwaniu na ból. Określenie skąd padł strzał, z góry czy z dołu, było niemożliwe. Przez dziesięć straszliwych, nieznośnych do wytrzymania sekund sztywno tkwił na szczeblu, a następnie - niepomny na ból w zdrowym ramieniu i dłoni, mocując się z targającym nim wichrem - zsunął się po drabinie tak szybko, jak tylko potrafił.

Nie dobiegł odgłos kolejnego strzału. Jednakże ktoś tam w ciemnościach jest na jego tropie.

Tyne zszedł z drabinki na wąski pomost komunikacyjny. Znalazł schronienie. Architekci, których dziełem była bijąca w oczy sztuczność tej skierowanej ku morzu fasady, zaprojektowali na tej kondygnacji sklepienie łukowe z szeregiem niewielkich, ślepych tuneli. Jeśli Murray znajdował się gdzieś w pobliżu, to być może właśnie tam. Gdy Tyne wszedł do

pierwszej niszy, rozległ się trzepot skrzydeł i pisk jakiegoś przestraszonego ptaka morskiego. Tyne postać chwilę dopóki nie uciszyło się rozszalałe bicie serca.

Po chwili zaczął myszkować po kolejnych niszach. Wykańczające zajęcie. Śliska, gęsta breja ptasich odchodów czyniła je podwójnie niebezpiecznym.

Dotarł do trzeciego łuku w sklepieniu, gdy na moment zza zasłony deszczu ukazała się tarcza księżycy. Zerknąwszy przez ramię spostrzegł, że po szczeblach drabinki schodzi jakaś postać. Człowiek czy Rosk? A jeśli człowiek, to czy Murray? Tyne pośpiesznie odwrócił się, by stanąć oko w oko ze swoim prześladowcą. Przerzucił nogę przez śliski, betonowy mur.

Nie zdążył zareagować, zsunął się z pomostu i poleciał w dół. Przez kilka sekund dziesięć palców Tyne'a - pięć stalowych i pięć boleśnie pokrwawionych - rozpaczliwie drapało mur; po chwili runął do morza.

Zamknęło się sklepienie ciemnej wody. Tyne przebił ramieniem taflę wody i poszedł na dno. Gdy - charcząc i łapiąc z trudem powietrze - wynurzył się na powierzchnię, spostrzegł iż znajduje się w sieci z planktonem.

Wydawało się, że ktoś woła z oddali. Deszcz zaczął z wściekłością, smagał wzburzone fale morskie, tak że trudno było sprecyzować odległość. Tyne zanurkował i popłynął w stronę ściany.

Nagle wśród wszystkich odgłosów dobiegł nowy - niski i równomierny, niczym ryk nieludzko wściekłego byka. Tyne poczuł jak jego nogi ogarnia niemoc, przestał płynąć jakby dostał się we władanie niesamowitego dźwięku. Coś go wciągało pod wodę. Szarpiąc się i wrzeszcząc rozumiał nagle co się dzieje: otworzyły się podwodne bramy wlotowe fabryki. Znalazł się wewnątrz ekranu. Zaraz zostanie przerobiony na planktonową miazgę.

Gdzieś w dole rozwarły się potężne wierzeje śluz. Bezradnego niczym liść na wietrze Tyne'a wciągała, wsysała gardziel gigantycznej fabryki. Ze świata Tyne'a zniknęły resztki światła, zniknęły resztki powietrza.

5

Bulgocząca, łomocząca ciecz dotarła do zszarganych zmysłów Tyne'a jako dźwięk: wściekły ryk śmierci.

We wszechwładnej czerni towarzyszące agonii obrazy skręcały się niczym robaki. Pojawiały się obrazy z przeszłości, bulgoczące jak piana na powierzchni tonącego umysłu Tyne'a. Powróciły i otuliły go, jakby chciały ochronić przed terażniejszym bólem. Potem zniknęły.

Pęcherz przeszłości wybuchnął. Głowa Tyne'a znalazła się ponownie nad wodą. Wyczerpany, zachłystując się boleśnie powietrzem, poruszał rękami i nogami, aby utrzymać się w szalejącej wodzie. Wokół kipieli rozbłyły nagle słabe światła. Znajdował się wewnątrz gigantycznej, zautomatyzowanej fabryki, którą oświetlały umieszczone tu i ówdzie, mdłe, różnokolorowe reflektory. Nadzór nad fabryką sprawowały roboty. Jeśli nie zdoła uratować się sam, to nic i nikt go nie uratuje.

Szczęśliwy, że znajduje się na powierzchni wody, przez chwilę nie zdawał sobie sprawy z grozy nowej sytuacji. Radował się po prostu faktem, iż oddychając i kaszląc z bólem, unosi się na wzbierającej fali. Za grubą taflą szkła dostrzegł wnętrze fabryki, gdzie przesuwające się skokowo ciemne piramidy beczek, powoli okrążały kadzie z galaretowatą breją; w oddali majaczyły przewody i prasy. Woda wynosiła go wciąż w górę i przed oczyma Tyne'a przemykały kolejne kondygnacje ogromnego gmachu.

Umysł Tyne'a powrócił do czegoś w rodzaju normalnego poziomu czujności. Mężczy-

zna rozejrzał się wokół siebie. Dotarł na samą górę i teraz tkwił uwięziony w sześciopiętrowej, gigantycznej szklanej tulei o średnicy mniej więcej sześciu metrów.

Tyne zauważył inne ogromne tuleje, które wyrastały wokół jego więzienia niczym jelita jakiegoś monstrualnego organizmu. Rury ciągnęły się od podłogi aż po sufit fabryki, poprzez wszystkie kondygnacje, i błyskawicznie wypełniały się napływającą morską wodą.

Tyne uniósł głowę. Sufit był coraz bliżej, rura wypełniała się wodą...

To nieuniknione. Błyskawicznie zorientował się gdzie się znajduje. Rury wlotowe za każdym razem zasysają wodę. Gdy są pełne, olbrzymie trzpienie filtrujące niczym leniwe tłoki przesuwają się w dół, filtrują wodę morską i ubijają plankton na dnie tulei. I nie tylko plankton, ale wszystko, co znajdzie się na ich drodze. Całe szczęście, że Tyne Lesie utopi się, zanim wielki tłok roztrzaska go na miazgę.

Między wzburzoną powierzchnią wody, a spodem tłoka pozostały jedynie jakieś trzy metry, odległość zmniejszała się w zastraszającym tempie.

Wrzeszcząc i odgarniając wściekle napływającą wodę, Tyne poczuł jakiś ucisk w kieszeni. Nadal tkwiła w niej zdobyczna osiemdziesiątka ósemka Rosków. Wyszarpał broń z kieszeni i uniósł ramię nad powierzchnię wody.

Pozostały jedynie dwa metry do tłoka.

Modlił się, żeby zasłyszana kiedyś informacja o odporności broni Rosków na wodę okazała się prawdą. Potrząsając pistoletem odwrócił się na plecy i unosząc się na wzbierającej fali, wycelował w szklaną taflę więzienia.

Półtora metra powietrza.

Pociągnął za spust. Niesamowita broń jak zwykle nie odrzuciła. Wielki pocisk strzaskał tuleję na niezliczoną ilość kawałków szkła, niektóre grubości nieomal pół metra i długości kilku kondygnacji. Tyne'a zmiotł straszliwy ciężar uwolnionej wody.

Woda wyniosła go na sam środek fabryki. Przez chwilę unosił się na wielkiej fali, która przewalała się przez gigantyczne trzewia zakładów. Potem zawisł na barierce galerijki kurczowo trzymając się prętów. Omdlałe ramiona trzeszczały w stawach, ale wytrzymał. Wisiał całe wieki, omiatany hektolitrami wody i milionami kawałków szkła. Wodospad śmierci. Ostatkiem sił podciągnął się i wdrapał na poręcz, prawie nieświadom faktu, że żyje.

Ożywił go inny dźwięk, łatwy do zidentyfikowania: wycie syreny. Dokładnie w momencie strzaskania szklanej luby automatycznie włączył się alarm.

Dać się tutaj złapać oznaczałoby koniec wszystkiego. Utrata wolności równałaby się przekreśleniu wszelkich szans na znalezienie Murraya, nawet szansy na przekazanie odpowiednim władzom kluczowej informacji Bandy Utai. Ociekając wodą, wstał i odsunął z oczu mokre włosy. Znajdował się na metalowym pomoście, pojemniki z przetworzonym planktonem - teraz w postaci steków, past i pasztetów - przesuwały się szybko na transporterze taśmowym. Gdzieś w pobliżu rozległ się odgłos pośpiesznych kroków.

Ciemność penetrowały intensywne światła, niektóre czerwone, inne pomarańczowe czy niebieskie. Tyne wbił wzrok w przecinaną światłami, ponurą czerń i dostrzegł czyjąś sylwetkę biegnącą po pomoście komunikacyjnym. Dwie sylwetki! Ktoś, kto go śledził na zewnątrz, zdołał dotrzeć aż tutaj. Ktoś, kto miał klucze od zakładów.

- Leslie! Tyne Leslie! - rozległ się czyjś głos.

Dzięki akustyce gmachu krzyk zwielokrotnił się, zniekształcił, nabrał metalicznej barwy. Tyne doszedł do wniosku, że nie rozpoznałby go nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach. Ogarnięty nagłą obawą, że jest śledzony przez Rosków, wskoczył na pas transmisyjny.

Stracił nogą pojemnik z planktonem; pas przesuwa! się szybciej niż sądził. Zdjęty przez rażeniem ukląkł i rozejrzał się w poszukiwaniu swojego prześladowcy. W tej samej chwili oślepiło go jaskrawe, pomarańczowe światło. Zmiał w ustach przekleństwo i odwrócił się, żeby sprawdzić dokąd podąża pas transmisyjny.

Na wprost wyłonił się niewielki otwór.

Tyne z trudem przecisnął się do środka. W mgnieniu oka pochłonęła go nieprzenikniona ciemność. Znajdował się w tunelu. Łokieć zaszurał w zetknięciu z przesuwającą się obok ścianą i Tyne pośpiesznie cofnął rękę. Nie odważył się unieść głowy. Nie było innego wyjścia - musiał skulony tkwić między pojemnikami.

Nagle taśma przenośnika wyłoniła się w komorze załadunkowej. Mechaniczne ramiona automatycznej ładowarki zamykały pełne pojemniki. To nic dla Tyne'a. Zsunął się z pasa transmisyjnego tuż przed metalowymi ramionami.

Nie było czasu na obmyślanie jak ma upaść. Zwalił się bezwładnie na podłogę, obolały podniósł się powoli i ostrożnie. Na zegarku była prawie pół do czwartej w nocy. Powinien teraz smacznie chrapać w łóżku. Bolały go wszystkie kości.

Gdy Tyne wstał i pozbierał się, na pasie transmisyjnym wyjechali jego dwaj prześladowcy. Najwyraźniej lepiej od Tyne'a wiedzieli czego się spodziewać, gdyż zgrabnie zeskoczyli z podajnika miękko lądując na podłodze. Tyne nic zdążył nawet drgnąć, gdy schwycili go za kołnierz.

- Chodź, Leslie, zabieramy cię stąd - rzeki jeden z mężczyzn mocno trzymając Tyne'a za ramię.

Byli zamaskowani.

Widać było jedynie czoła i oczy.

- Kim jesteście? - zapytał drżącym głosem. - Po co wam te szmaty?

- O tym później - rzekł jeden z mężczyzn. - Skupmy się na tym, jak wydostać cię z tego budynku zanim przyleci tu połowa Padangu.

Przy akompaniamencie wściekłego wycia syreny mężczyźni poprowadzili Tyne'a schodami w dół, otworzyli drzwi specjalnym kluczem, wypadli na zewnątrz i zbiegli lekkim truchtem. Drogę co jakiś czas oświetlały sporadyczne błyskawice. Chociaż nadal padało, jednakże nie tak intensywnie jak poprzednio; burza przeszła. Po obu stronach ścieżki bulgoczące strumyczki wody ściekały do kanalików burzowych.

Na końcu przejścia znajdowały się drzwi. Teższy z mężczyzn, niewątpliwie przywódca, wy dobył kolejny klucz i otworzył wrota.

Znaleźli się na tyłach nieomal całkowicie opustoszałego parkingu samochodowego, niezbyt daleko od miejsca, skąd Tyne po raz pierwszy przystąpił do ataku na budynek fabryki. Rozchlapując kałuże, popędzili do starego modelu moewega, napędzanego energią nuklearną, niemieckiego samochodu, którego produkcja została kilka lat wcześniej zakazana postanowieniem Korporacji Ziemia. Tęgi mężczyzna wślizgnął się na siedzenie kierowcy, pozostali wcisnęli się do tyłu. Kierowca szarpnął dźwignią i natychmiast ruszyli.

Gdy pośpiesznie oddalali się od fabryki, z naprzeciwka nadjechał pierwszy samochód zaalarmowany rykiem syreny. Miał zamontowane na dachu reflektory szperające; to policja. Gdy stary moeweg przemknął ze świstem, jakiś mężczyzna w mundurze wychylił się z samochodu policyjnego i wrzasnął, żeby stanęli. Gruby docisnął pedał gazu.

- Szlag by to trafił, spiszą nasze numery - rzucił przez ramię do mężczyzny siedzącego obok Tyne'a. - Będziemy mieć kłopoty jak amen w pacierzu. Zaraz zawracam, zanim dojeździemy do autostrady; nie mamy czasu na zabawę z całym tabunem miejscowych glin.

Tuż obok rozległ się dudniący ryk silnika. W górze zahuczały łopaty śmigłowca. Jasne światła przebijające się przez drzewa i zarośla wskazywały na strumień pędzących w stronę fabryki, zaalarmowanych hałasem samochodów. Tęgi mężczyzna szarpnął gwałtownie dźwignią, zawrócili i pomknęli wąską drogą prowadzącą do dżungli.

Drogę przewidziano dla co najwyżej wozu zaprzęzonego w woły. Karoserię i okna pędzącego samochodu smagały gęste gałęzie.

„To szaleństwo!”, pomyślał zdeorientowany Tyne, „absolutne szaleństwo!”. Miał czas na przemyślenie szacunku, jaki zwykł żywić dla ludzi czynu. Miał ich za ludzi lawirujących

na krawędzi niebezpiecznego równika życia, ludzi znajdujących się w najniebezpieczniejszych miejscach na Ziemi, gdzie codziennie ich losy wazą się na szali życia i śmierci. Teraz zrozumiał, że to jedynie półprawda. Ci ludzie po prostu kręcili się w kółko jak na karuzeli. Jednego dnia byli myśliwymi, następnego dnia zamieniali się w zwierzynę. Błyskawicznie podejmowali decyzje, jednakże decyzje te wydawały się opierać mniej na racjonalnym rozumieniu i interpretacji motywów jakimi kieruje się przeciwnik, a raczej na pragnieniu, aby nie wypaść z tej wspaniałej gry bez końca.

Gra! Oto cały sekret! Ci ludzie czynu potrafią wziąć udział w rywalizacji na życie i śmierć tylko dlatego, że gdy już raz podejmą ryzyko, stawka przestaje grać rolę. Oto szachy, w których intelekt zastępuje adrenalina. Ci ludzie znajdowali się poza marginesem powszechnych reguł zachowania.

Tyne uświadomił sobie z przerażeniem, że sam na ochotnika przystąpił do tej gry. Wydarzenia na Ziemi przybrały zbyt ponury obrót, aby traktować to wszystko poważnie. Człowiek mógł uciec od wszelkich ich następstw wkraczając w ten szalony światek czynu, którym rządziły krew i błaga. Jednocześnie Tyne ujrzał jak wahadło, które rządzi tym subświatem, przechyla się na jego korzyść. Ci mężczyźni pojмали zaskoczonego, nie przygotowanego Tyne'a, a teraz mieli go w swoich rękach. Tyne był spokojny, lecz czujny: to nie jego sprawa, kłopoty to ich zmartwienie. Gdy napięcie osiągnie odpowiedni poziom, z kolei oni będą nie przygotowani, i wtedy Tyne wyprowadzi ich w pole. To nieuniknione, po prostu zasada szalonej gry. Naturalnie potem ogromne wahadło znowu zakołysze się w drugą stronę.

- Wystarczy - rzekł krępy mężczyzna, gdy moeweg podskakując i kolebiąc się na boki, potoczył się jeszcze kilkaset metrów w głąb dżungli. Sąsiad Tyne'a nie odezwał się ani razu.

Samochód stanął i Tyne z trudem skoncentrował się na terażniejszości. Jego umysł pochłonięty był analizowaniem nowej teorii, do czego Tyne podszedł z taką samą pilnością, jak niegdyś do opracowywania wstępnych projektów przeróżnych memorandumów. Nawet nadał jej na wpół żartobliwe miano: „Zasada Odwrotnej Akcji Lesliego” albo też „Wyrównawcza Teoria Działania Nierozważnego (Elekt Lesliego)”.

Krępy wyłączył reflektory przednie i ciemności rozjaśniały jedynie światełka deski rozdzielczej. Deszcz ustał, jednakże z liści nadal skapywały krople na dach pojazdu. Była 4:15, drętwa, bezmyślna pora w samym środku nocy.

- W porządku - odezwał się Tyne. - Spodziewam się, że teraz powiecie mi kim jesteście, co wyczyniacie i co w ogóle sobie myślicie?

Krępy mężczyzna odsunął płachtę, która przykrywała dolną część jego twarzy, i odwrócił się, żeby spojrzeć na Tyne'a.

- Przede wszystkim - rzekł łagodnym, kulturalnym głosem. - powinniśmy przeprosić pana, panie Leslie, za to autentyczne porwanie. Gonił nas czas i nie mieliśmy wyboru. Powinienem być może dodać - proszę mi wybaczyć - że nie doszłoby do tego, gdyby dał nam pan szansę wytłumaczenia wszystkiego wtedy, gdy pochwyciliśmy pana na fasadzie przetwórnym planktonu. Pański skok w morskie głębiny był widowiskowy, ale niepotrzebny.

- Ja wcale nie skoczyłem - burknął ponuro Tyne. Ześlizgnąłem się.

Nagle krępy wybuchnął śmiechem. Tyne również roześmiał się głośno. Napięcie znacznie zelżało. Zamaskowany mężczyzna obok Tyne'a nawet nie drgnął.

- Sytuacja jest taka - oświadczył krępy. - A tak na marginesie - nazywam się Dickens, Charles Dickens. Oczywiście nie istnieje żadne pokrewieństwo. Pracuję z facetem, którego zna pan jako Stobarta, agenta Korporacji Ziemia; jestem jego zastępcą. Zniknął nam pan na parę godzin i zaczęliśmy się szczerze niepokoić. Bo widzi pan, pańska rola w tej sprawie jest niejasna, toteż naturalnie wolimy wiedzieć gdzie się pan znajduje.

- Naturalnie. Dlaczego szukaliście mnie w przetwórnym planktonu? - nalegał Tyne. - A może nie powinienem pytać?

- Nie szukaliśmy pana - odparł Dickens. - Po prostu tak się złożyło, że przeszukiwali-

śmy to miejsce, a pan się akurat napatoczył. Podobnie jak pan, mieliśmy nadzieję znaleźć tam Murraya Mumforda.

- Skąd wiedzieliście, że nadal szukam Murraya?

- Krzyknął pan jego nazwisko, pamięta pan? I jeszcze jedno: to Mina, dziewczyna Murraya, powiedziała panu, żeby tam pójść. To ona przekazała panu słowa Murraya, że będzie w fabryce planktonu.

Tyne zamilkł. Słowa Dickensa przywołały pewne wspomnienie, coś co Tyne przypomniał sobie podczas tych straszliwych chwil, gdy topił się w przetwórnii. Wspomnienie to było kluczem do odnalezienia miejsca pobytu Murraya; Tyne musi natychmiast - jak tylko zdobędzie potrzebne informacje - uwolnić się od Dickensa i jego milczącego towarzysza. Przywołując umysł do zajęcia się sprawami bieżącymi, spytał:

- Skąd dowiedzieliście się o Minie?

- To Stobart ją znalazł. Wypytał ją zaraz po twoim wyjściu. Nie siedzieliśmy z założonymi rękami.

- Nic mi nic mów o Stobarcie. Ten facet powinien nabrać nieco ogłady, zanim zacznie zadawać się z ludźmi.

- Stobart jest kimś w rodzaju psychologa - odrzekł Dickens. - Specjalnie doradził ci w tak niemiły sposób, abyś przestał szukać Murraya. Chciał, żebyś to zignorował.

Tyne uśmiechnął się do siebie. Tym chłopcom naprawdę zdawało się, że znają wszystkie odpowiedzi. Nie mieli pojęcia o jednym, że w momencie gdy Roskowie złapali go w taksówce, Tyne Leslie naprawdę przestał szukać Murraya. Stobart może wypchać się ze swoją psychologią.

- Tak więc Stobart potrzebował mnie jako współnika. Dlaczego?

- Byłeś po prostu jednym z tych jego pomysłów na poczekaniu, improwizacją. Roskowie zapędzili Stobarta do „Roxy”, gdy nagle pojawiłeś się ty. Twoim zadaniem było skierowanie uwagi Rosków na inne tory. W rzeczy samej okazałeś się niezwykle przydatny. Po tym jak Roskowie zabrali cię na swój kecz...

- Co takiego?! - wybuchnął Tyne. W mgnieniu oka rozgorzała w nim furia. Milczący mężczyzna położył mu rękę na ramieniu w powściągliwym geście, ale Tyne strącił ją swoją stalową dłonią. - Powiadacie chłopcy, że wiedzieliście o tamtej żaglówce? I daliście sobie spokój? Pozwoliliście, żeby mnie torturowali - no, nieomal torturowali. Pozwoliliście tej kanalii Budo Buddzie tak sobie odejść, gdy mu przysła fantazja? I przez cały czas wiedzieliście o keczu, mogliście zmieść go z powierzchni wody? Czyżby fakt, że Roskowie tam byli, nie równał się jawnemu pogwałceniu porozumienia międzygalaktycznego?

- Nie gorączkuj się, Leslie. Nie wiedzieliśmy, że zabrali cię na statek, zrobili to zbyt szybko, Leslie! Zasadziliśmy się na grubego zwierza; sam Ap II Dowl ma pojawić się na keczu dziś wczesnym rankiem. Powinniśmy zaskoczyć go tam. Gdybyśmy mieli go w garści, wiele problemów Ziemi przestałoby istnieć.

- Nie macie pojęcia, ile jeszcze ją czeka - rzucił ponuro Tyne. - Ma być zaatakowana przez flotę inwazyjną Alfya II. Takie to radosne nowiny skrywa nasz Murray.

- Wiemy.

- Wiecie?! Skąd wiecie?

- Mamy swoje sposoby, panie Leslie, musi to panu wystarczyć.

W słowa Dickensa wdarł się sygnał brzęczyka. Na desce rozdzielczej moewega rozjaśniała dioda radiotelefonu, Dickens podniósł słuchawkę, słuchał, a następnie zniżył głos i wyszeptał coś do mikrofonu. Tyne dosłyszał własne nazwisko.

- Czy tobie nigdy nic przyjdzie do głowy, żeby się odezwać? - zapytał siedzącego obok mężczyznę. Ten wzruszył ramionami bez słowa.

Nagle Dickens cisnął słuchawkę i rzucił wulgarnie przekleństwo. Z całej duszy przeklinał z fantazją i upodobaniem w najbardziej świński sposób, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Wstrząsające widowisko.

- Leslie, najprawdopodobniej wszystko spieprzyłeś - oświadczył odwracając się do tyłu.
- To był Stobart. Twierdzi, że około dziesiątej wieczorem, tak - wczoraj wieczorem, porzuciono cię na niewielkiej wysepce zwanej Achin Ilu. Znaleźli na plaży twoją zapalniczkę z monogramem. Czy to prawda?

- Chciałbym odzyskać tę zapalniczkę, kosztowała mnie pięć dych. Powiedz Stobartowi, dobra?

- Słuchaj, Leslie, zastrzeliłeś pułkownika Rosków, Buddę. Wiesz coś narobił? Spłoszyłeś Ap II Dowla! Na wieść o śmierci Buddy zabarykadował się w swojej bazie. Nasi ludzie dopędzili kecz godzinę temu, podczas gdy ty w tym czasie bawiłeś się w berka w fabryce planktonu, i nie zdobyli nic oprócz kupy bezwartościowych informacji.

- Nie wiń mnie za to, Dickens. Nazwij to jednym z moich pomysłów na poczekaniu, improwizacją, hmm? Dajcie mi znać gdy tylko jakiś plan Stobarta spali na panewce, dobra? Wysłucham z rozkoszą.

- Zaraz wracasz ze mną do Padangu, Leslie. Zamkniemy cię pod kluczem dopóki nie nauczysz się, jak nic sprawiać kłopotów.

- Och, nie! Nie! - krzyknął Tyne zrywając się z siedzenia. Poczul coś twardego między żebrami. Zerknął w dół. Milczący współtowarzysz dźgnął go kolbą rewolweru, zza zasłony pobłyskiwały nieruchome źrenice. Gdy Tyne opadł bezsilnie, Dickens ponownie włączył przednie reflektory.

- O, właśnie, zrelaksuj się - pochwalił Dickens. - Od dziś przechodzisz na utrzymanie państwa.

- Ale ja mam pomysł jak odnaleźć Murraya - rzucił spieszenie Tyne. - Przysięgam, Dickens, słowo. Zaprowadzę was prosto do Mumforda. Nadal chcecie go złapać, prawda?

- Jesteśmy gotowi dołożyć nawet gmach Korporacji Ziemia - rzekł cicho Dickens zapalając silnik. - To są dla ciebie zbyt powikłane sprawy, przyjacielu. Dziś nie ma miejsca dla amatorów, i tak narobiłeś niezłego bigosu. Oto kolejny szczegół, o którym nie miałeś pojęcia. Czy zastanowiłeś się dlaczego Roskowie nie mogli sami przesz muglować z Księżycyca na Ziemię rolki mikrofilmu mniejszej od twojego małego palca? Istnieje pewien powód, dla którego musieli użyć Murraya jako posłańca. Mikrofilm został skradziony Roskom.

- Masz na myśli, że Roskowie ukradli film Roskom?

- Tak, dokładnie jak powiedziałem i to właśnie mam na myśli. Słyszałeś kiedyś o Roskiańskiej Frakcji Wolnościowej RFW z Tawdellem Co Barrem na czele? Są niewielkim, na wpół nielegalnym ugrupowaniem Rosków nastawionych wrogo w stosunku do Ap II Dowla i pragnących pracować wspólnie z Ziemianami na rzecz pokoju. Są nieliczni, w Strefie Księżycowej 101 jest ich zaledwie garstka. Ale zdołali przejąć ten mikrofilm i oczywiście zamierzają dostarczyć go przywódcy RFW w bazie na Sumatrze. Mam wrażenie, że film zostanie użyty do celów propagandowych, aby pokazać Roskom jakim Dowl jest okrutnym, żądnym krwi maniakiem. Opowiedziałem ci to, więc teraz rozumiesz już chyba dlaczego cała sytuacja jest dla ciebie zbyt skomplikowana: podobnie jak w obieranej cebuli odsłaniają się kolejne warstwy.

Dickens nawet w trakcie mówienia mocował się z samochodem. Koła obracały się w błocie, ale pojazd nie drgnął. Podczas gdy czekali, aż uspokoi się wrzawa na autostradzie, ciężki samochód ugrzązł na błotnistej drodze. Tyne ledwo zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje - jego umysł trawił to, co powiedział Dickens. Informacje rzucały nowe światło przynajmniej na jednego Roska: obcą dziewczynę, Bendę Ittai, która uratowała mu życie.

- Słyszeliście kiedyś o Bendzie Ittai? - spytał Tyne. Wypowiedzenie na głos jej nazwiska sprawiło mu niespodziewaną radość.

- Utknęliśmy, cholera jasna! - oświadczył Dickens. - Och, jak ja kocham Sumatrę! Benda Ittai bez wątpienia należy do RFW. Ludzie Stobarta znaleźli ją na keczu. Roskowie

zamierzali zamordować Bendę. W tych okolicznościach nasi ludzie zdecydowali, że najlepiej będzie puścić ją wolno. Mówię ci, Stobart ma miękkie serce - ja tam bym ją zamknął. Do diabła z tym rozmokłym, ohydny krajem! Rozumiem teraz w jaki sposób zdobywają ochotników do służby kosmicznej. Tak, ja to bym zamknął ją w pudle, wszystkich bym was zamknął. Słuchajcie, wyłazę, muszę, podłożyć coś pod koła. Leslie, jeśli spróbujesz uciekać, mój przyjaciel przestrzeli ci nogę.. To boli. Spróbuj tylko, a przekonasz się.

Wyszedł nie zamykając drzwi. Buty zachlupotały w mokrej trawie i Dickens pochylał się nad maską moewega.

Tyne'owi waliło serce. Zastanawiał się, czy zdoła pokonać siedzącego obok mężczyznę. Widział Dickensa przez szybę przednią, skapanego w ostrym świetle, które tylko podkreślało ponurą czerń otaczającego ich tropikalnego lasu. Agent wyciągnął niewielki nóż myśliwski, ścinał ogromne, mięsiste liście i ciskał je pod przednie koła samochodu.

Wtem coś się poruszyło. Coś szeleściło nad baldachimem liści, dochodziło wibrujące buczenie. Krzaki i zarośla zafalowały i rozpląszczyły się na ziemi, wydawało się, że cała dżungla nagle ożyła.

Dickens wyprostował się i podniósł głowę. Doskonale opanowany, rzucił ścięte liście i błyskawicznie wyciągnął broń z kabury. Strzelił dwukrotnie, odwrócił się i wskoczył do moewega. Zatrzasnął za sobą drzwi. Jeszcze raz z furją spróbował wydobyć samochód z błota. Latający przedmiot zaatakował ich pikując z ciemności.

- Co to jest, do cholery? - krzyknął Tyne. - Mam nadzieję, że jest po naszej stronie.

Oblał go pot, uszy wypełnił przeraźliwy dźwięk wydawany przez maszynę.

- To szperacz Rosków - odrzekł Dickens nie odwracając głowy. - Coś w rodzaju latającego oka. Wszystko, co zarejestruje, przesyła do bazy Rosków. Widziałem coś takiego w naszej kwaterze głównej. Szperacze nie są uzbrojone, ale z całą pewnością nie są nieszkodliwe. Trzeba uważać, żeby nie... Ach!

Kiwnęli się do przodu i ponownie opadli na siedzenia - samochód nie ruszył. Szperacz kołował w górze, a następnie zniżył lot nieomal dotykając ziemi. Tyne ujrzał go teraz dokładnie. Był to obły dysk mający mniej więcej półtora metra średnicy i około pół metra grubości w najszerszym miejscu. Na obwodzie, a także na spodzie dysku, umieszczone były obiektywy przeróżnych rozmiarów. Wbudowany reflektor bił w oczy oślepiającym światłem.

Maszynę napędzały prawdopodobnie wirniki umieszczone na żyroskopie. Wydawały bucący dźwięk, który powodował, iż gęstwina dżungli poruszała się niespokojnie, jakby chciała uniknąć obserwacji. Wirniki znajdowały się wewnątrz dysku, który przed zniszczeniem chroniła specjalna siatka.

Maszyna nagle ruszyła do przodu. Dickens instynktownie pochylał głowę, gdy szarżujący szperacz uderzył w szybę samochodu roztrzaskując ją na tysiące odłamków. Dickens rzucił soczyste przekleństwo.

- Baza Rosków jest niedaleko stąd! - krzyknął. - Zaledwie parę kilometrów przez dżunglę. Jeśli to świństwo zidentyfikuje nas, być może będzie chciało zniszczyć nasz samochód i przetrzymać nas w środku, dopóki nie wpadniemy w ręce jakiegoś patrolu Rosków. Zasłoń twarz, Leslie! Nie pozwól, żeby to świństwo zobaczyło kim jesteś!

Szperacz wzbił się w powietrze i krążył gdzieś nad samochodem. Nie widzieli go, ale słyszeli wściekle, jadowite buczenie gigantycznego szerszenia. Liście wokół samochodu podrywały się i wirowały wysoko w górze. Tyne zakrywał twarz chusteczką, gdy Dickens wrzucił wsteczny bieg. Szarpnawszy dziko, stary moeweg wygramolił się z zapadliny. Szperacz błyskawicznie przystąpił do ataku. Płynnie zawrócił, zwolnił i uderzył w jedno z tylnych okien. Nie wycofał się, tylko napierał na szybę dopóki nie pękła. Wydawało się, że w soczewkach obiektywów pobłyskują wściekle iskiereki. Samochód przechylił się, zatrzeszczała i pogięła się blacha karoserii.

Milczący agent wdrapał się na siedzenie i zaczął strzelać na ślepo przez wybite okno.

Jego odsłonięte czoło było szare i pomarszczone.

- Celuj w wirniki przez siatkę! - ryknął Dickens. - To jedyny sposób, żeby to strącić!

Przypieszali lekkomyślnie jadąc przez dżunglę na wstecznym biegu. Dickens prowadził zerkając przez ramię do tyłu, z jedną ręką na drążku zmiany biegów. W drugiej dzierżył rewolwer.

- Jak człowiek biegnie, to to paskudztwo potrafi człowieka rozgnieść na miazgę - rzekł Dickens. - Wbić w ziemię.

- Wcale nie zamierzałem wyskakiwać - oświadczył Tyne. Właśnie zamierzał wyskoczyć.

W tym momencie milczący agent otworzył drzwiczki i wychylił się, żeby lepiej wycelować w obły brzuch maszyny. Dysk błyskawicznie uniósł się w górę, skrył w koronach drzew, a następnie zwałił się na jedno z tylnych kół samochodu. Moeweg odskoczył, rzuciło go na bok w zarośla, w końcu zatrzymał się z rykiem silnika.

Tyne z trudem zebrał myśli. Zrozumiał, że wpadli w pułapkę. Odpowiednio pokierowana, latająca maszyna mogła pogruchotać samochód.

Niemy agent leżał nieprzytomny na ziemi. Tyne precyzyjnie się przez drzwiczki, porwał jego rewolwer i zanurkował w zarośla. Nieczuły na zadrapania i otarcia, rozpaczliwie przedzierał na czworakach przez gęstą roślinność. Z oddali dochodziły strzały, nie wiadomo czy to strzelał Dickens, czy też szperacz.

Tyne poruszał się szybko. Wpadł do niewielkiego, zarośniętego strumyka i wyskoczył w mgnieniu oka. Przyszło mu z pomocą blade, pierwsze światelko nadchodzącego brzasku.

Wiedział już, co ma robić. Skierował się ku zagajnikowi grubych drzew o niskich konarach. Mimo swojej mocy, szperacze miały słabe strony. Gęsta roślinność powinna zatrzymać dysk.

Tyne podniósł się i ruszył biegiem. Stracił już rozeznanie dokąd biegnie. Z tyłu dochodziło intensywne, wściekle buczenie. Zabłysnął snop światła z reflektora, zatańczył w zaroślach. Liście zafalowały. Gdzie są te przekłete drzewa?

Dysząc ciężko Tyne przebijał się przez wysoką do pasa roślinność. Wydawała się nic mieć końca.

Popędził w dół porośniętego krzakami stoku i uwalniając się od kolców jeżyny, zanurkował w zagajnik drzew. Gdy w chwilę później usiłował iść dalej, nie był w stanie podnieść się z ziemi. Spoglądając znużonym wzrokiem w górę, spostrzegł na tle ciemnego nieba ochronną zasłonę gałęzi. Mniejsze gałęzie kołysały się pod wpływem sztucznego wiatru.

Z trudem łapiąc powietrze, leżał niczym schwyte w potrzask, dzikie zwierzę.

Zrobił wszystko, co było w jego mocy. Dysk najprawdopodobniej zatrzymał się przy samochodzie i dwóch agentach Korporacji Ziemia. Ale... jeśli szperacz przekaze raport do bazy, to Tyne zostanie zidentyfikowany jako Ziemianin, z którym rozmawiała Benda Ittai i wtedy rozpocznie się nagonka.

Liście i trawy zadrżały, uszy Tyne'a wypełniło donośne buczenie. Rzucił się jak spłoszony jeleni i podbiegł do jednego z drzew. Podciągnął się na konarze i wdrapał trzy, cztery metry w górę obejmując pień, z którego wyrastał wieniec grubych, mocnych gałęzi.

Teraz widział nieco lepiej. Słabe światło brzasku lawirowało między gałęziami i pniami drzew. Z jednej strony pochylało się zbocze góry, z drugiej pędziła rwąca rzeka. Za rzeką Tyne dostrzegł coś, co wyglądało jak droga.

Szperacz wytropił go. Szybował nisko nad ziemią przeszukując zarośla snopem światła z reflektorów. Nie mógł wzniesić się w górę, bo przeszkadzały gęste gałęzie; tak jak Tyne sądził, stanowiły dobrą osłonę. Maszyna zaczęła z lekka napierać na pień drzewa. Tyne zerknął w dół i po raz pierwszy zobaczył wielkie łopaty, obracające się za kratami osłonowymi. Wystrzelił w sam środek z rewolweru agenta. Broń odrzuciła, pocisk chybił.

Maszyna cofnęła się nieco i uderzyła w drzewo. Potem kołowała chwilę szukając inne-

go sposobu dotarcia do Tyne'a. Nieomal dokładnie w tej samej chwili Tyne spostrzegł jak Dickens pędzi w dół stoku. Idąc w ślad za buczeniem szperacza, agent tropił Tyne'a.

Konary zatrzeszczały. Maszyna przedzierała się przez rosnące na wysokości Tyne'a konary i gałęzie. Tyne przesunął się na drugą stronę pnia. Gdyby tylko zdołał wytrzymać do świtu, wtedy maszyna będzie zmuszona albo wrócić do bazy, albo zaryzykować uszkodzenie. Zerknął z ukosa na dół, ale Dickens zniknął.

Znowu zmienił pozycję, aby schować się za pniem drzewa. To oznaczało zsuniecie się na niższą gałąź. Musi uważać, aby maszyna nie zapędziła go na sam dół, na ziemi był bezbronny. Przepychając się uparcie przez gęstwinę gałęzi, dysk buczał wściekle niczym ogromny, wirujący bąk. Maszyna ruszyła w drugą stronę i Tyne ponownie zmienił gałąź.

Nagle rozległ się krzyk i odgłos butów uderzających o stal.

Tyne wychynął zza drzewa niczym wiewiórka.

Agent Dickens wdrapał się na sąsiednie drzewo i zeskoczył lub spadł na szperacza. Teraz leżał jak długi na maszynie usiłując chwycić się czegoś.

- Dickens! - ryknął Tyne.

Agent poślizgnął się na rozkołysanej powierzchni szperacza. Zamachał w powietrzu nogami, schwycił się siatki na podbrzuszu maszyny i znalazł bezpieczniejsze miejsce. Gdy szperacz miota! Się wśród gałęzi, Dickens wyciągnął rewolwer i wycelował w łopaty wirnika.

Wszystko to najwyraźniej całkowicie zaskoczyło kontrolujących maszynę Rosków. Dysk unosił się bezradnie w jednym miejscu. Potem, z przenikliwym, zmieniającym natężenie piskiem, maszyna wystrzeliła w górę pędząc niczym ekspresowa winda.

Dickens padł jak długi pod ciosem grubego konara. Częściowo ogłuszony, zsunął się na skraj dysku, a jego rewolwer poleciał wysoko w górę i obijając się o gałęzie, upadł na ziemię.

- Skacz, Dickens! Skacz, na Boga! - ryknął Tyne.

Wątpliwe czy agent usłyszał choćby jedno słowo. Unosił się w górę przebijając gęsty baldachim liści. Wisiał rozpaczliwie chowając głowę między ramionami. Zaszleściły ostatnie liście i szperacz powoli wydostał się na otwartą przestrzeń.

Nie zważając na nic, Tyne zeskoczył z drzewa i rymnął jak długi w kwitnący krzew. Pozbierał się i popędził za maszyną wykrzykując coś niezrozumiale. Nie odważył się strzelać w obawie, że może trafić Dickensa. W przejrzystym, rannym świetle dysk był doskonale widoczny - unosił się dziesięć metrów nad ziemią pędząc szybko najprawdopodobniej w kierunku bazy Rosków na Sumatrze. Dickens najwyraźniej myślał podobnie. Klęczał na maszynie mocując się z osłoną. Po chwili oderwał trójkątny fragment osłony i ukazały się nagie łopaty wirnika.

Agent ściągnął but i cisnął go między łopaty wirnika.

W jednej chwili dziarskie buczenie zamieniło się w gwałtowne dudnienie, które zakończyło się ponurym odgłosem pękającego metalu. Przy akompaniamencie łomoczącego staccato, szperacz zaczął ostro pikować w dół.

Tyne nadal biegł gdy szperacz runął do rzeki. Maszyna i człowiek spadli z potężnym pluśnięciem i nie wyłonili się ponownie.

6

9:15 rano.

Tyne Leslie siedział w chińskiej kawiarni zajadając owoce durian z plastikowego talerza. Jego policzki były gładkie, umysł jasny; Tyne odwiedził *nappi wallaha*, który ogolił go, a

potem wymasował mu głowę i ramiona. Gdy półtorej godziny temu, po bezowocnym poszukiwaniu Dickensa na skraju rzeki, w końcu z trudem dowlókł się do Padangu, czuł się jak na wpół martwy wrak człowieka. Teraz, po goleniu, masażu i śniadaniu odżył. Czujny i pełen pomysłów, bez obawy patrzył w przyszłość.

Napisał już list do Podsekretarza Giersona, u którego podsekretarza był niegdyś sekretarzem. Podkreślił groźbę inwazji na Ziemię. List ten dostarczono do budynku Brytyjskiej Misji Dyplomatycznej i znajdzie się na biurku samego Podsekretarza w ciągu najbliższej godziny. Ile czasu upłynie do chwili podjęcia działań? To był osobny problem.

Tymczasem zaczynało brakować czasu. Murray przebywał w Padangu od dwudziestu czterech godzin. Jeśli roskiński agent RFW nic zdołał dotrzeć do niego, to dlatego że został wytropiony przez swoich pobratymców, Rosków wiernych Ap II Dowłowi. Toteż nie ulegało wątpliwości, iż strony zainteresowane odnalezieniem Murraya tworzyły coraz ściślejszy krąg: RFW, ludzie Dowła, Korporacja Ziemia i prawdopodobnie przeróżne ziemskie ugrupowania narodowe. No i Tyne.

I Tyne. Powiedział Dickensowi, że zamierza iść prosto do Murraya. To prawda. Zadziwiająca, wczoraj przed rozmową ze Stobartem mógł zrobić tak wiele...

Prawda, jak to często bywa, kryła się w nim samym, czekając na stosowny moment, aby wyjść na jaw.

Gdy Tyne wypytywał Minę w hallu kina „Roxy”, dziewczyna powiedziała, że Murray oświadczył, iż wybiera się do fabryki planktonu. Założyła - a Tyne bezmyślnie zgodził się z tym że Murray miał na myśli fabrykę w Semapangu, tam gdzie Tyne nieomal utonął. Gdy Stobart później przesłuchiwał Minę, (a odpowiedziała to samo i dlatego Tyne i Dickens spotkali się w gmachu przetwórci.

Ale Murray mówiąc o fabryce planktonu miał na myśli coś zupełnie innego.

Podczas tych straszliwych sekund kiedy Tyne topił się wciągany przez podwodne śluzę przetwórci w Semapangu, przez jego umysł przewalały się sceny z przeszłości. Ujrzał Murraya, Allana Cunliffe'a i samego siebie, jedzących śniadanie w Hotelu Merdeka po którejś ciężkiej, hulaszce nocy. Podczas gdy Tyne i Allan siedzieli popijając kawę, Murray pałaszował olbrzymie śniadanie narzekając nieustannie na fatalną jakość jedzenia.

- W Merdece zawsze podają te syntetyczne breje - oświadczył. - Nieważne jak żarcie wygląda, i tak to plankton. Amerykanie powiadają, że to fabryka. Fabryka planktonu! Powiadam wam, wy ponure zdechlaki, żyjemy w fabryce planktonu. Ani się człowiek obejrzy, jak obsługa hotelowa zaproponuje nam planktonowe kobiety...

Komentarz utkwiał w pamięci. Od tamtej chwili, cała trójka od czasu do czasu nazywała Hotel Merdeka „fabryką planktonu”; był to ich prywatny żart, do czasu kiedy się znudził.

Wszystko to przebiegło przez umysł tonącego Tyne'a. Wiedział teraz, że aby znaleźć Murraya, musi ponownie iść do Merdeki; to o tym miejscu mówił Murray. Mina została wyprowadzona w pole, podobnie Stobart. To oczywiście, jako że obojgu nigdy nie oblił się o uszy ten stary, prywatny żart. Tyne był już raz w Merdece i nic nie działał. Teraz zamierzał zadać właściwe pytania właściwym osobom.

Uregulował rachunek i wyszedł z kawiarni. Wcześniej kupił zapasowy magazynek do skradzionego rewolweru, który miał w kieszeni. Wędrował bocznymi uliczkami, gotów natychmiast stawić czoła niebezpieczeństwu. Marsz protestacyjny Wydziedziczonych, hałaśliwy jazgot bębnow i trąbek oraz jaskrawe transparenty („ROSKOWIE PRECZ Z NASZEJ ZIEMI”, „WŁADZE ZIEMI OFIARAMI OSZUSTWA OBCYCH”, „POŚWIĘCILIŚCIE SUMATRĘ!”) okazał się doskonałym kamuflażem, dzięki któremu Tyne niepostrzeżenie wślizgnął się do foyer hotelu.

Atmosfera znajomego miejsca, zachęcająca a jednocześnie odpychająca, ogarnęła Tyne'a niczym wszechobecna, przenikliwa mgła. O tej porze, poprzedzającej codzienny tok życia politycznego Padangu z jego nie kończącymi się, niezliczonymi konferencjami i dysku-

sjami, w hotelu kręciło się mnóstwo mężczyzn przypominających dawnego Tyne'a: niespokojnych, zdruzgotanych i nieszczęśliwych (ale uśmiechniętych), którzy bezustannie kombinowali, ale nie dość bezczelnie. Tyne przeszedł obok, czując że jest im tak obcy jak Rosk.

Przeszedł przez budynek i znalazł się na dziedzińcu, gdzie dwie wiekowe Chinki czesały w słońcu długie włosy.

- Przepraszam, widzieliście Amira? - spytał Tyne.

- Jest w magazynie, sprawdza porcje.

„Magazyn” był obskurną rudera na tyłach dziedzińca, wciśniętą między pozostałe budynki. Prowadziła do niego boczna uliczka. Na zewnątrz stała niewielka furgonetka z napisami wymalowanymi po malajsku, chińsku i angielsku „Planktonowa żywność z Semapangu”. Hotel Merdeka otrzymywał swoją codzienną dawkę witamin.

Z magazynu wyszedł kierowca w mundurze, wdrapał się do furgonetki i odjechał. Tyne podkraść się po cichu pod drzwi magazynu. Amir był sam, miał lewą rękę na temblaku i opierając się o skrzynię sprawdzał dokumenty dostawy. Tyne wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Amir był prawie przyjacielem Allana i Tyne'a. Jednak teraz, gdy podniósł wzrok i rozpoznał gościa, na ciemnej, inteligentnej twarzy pojawił się tylko strach.

- Co sobie zrobiłeś w ramię, Amir?

- Myślałem, że pan nic żyje, panie Leslie.

- Kto ci powiedział?

- Nie powinien był pan przychodzić tutaj! Tu jest niebezpiecznie, panie Leslie! Merdeka jest bez przerwy pod lupą. Proszę natychmiast odejść. Dla dobra wszystkich, proszę odejść!

Przykro było słuchać jak nalega. Tyne ujął zdrowe ramię Amira i rzekł:

- Słuchaj, Amir, skoro wiesz że jest niebezpiecznie, to musisz wiedzieć, co się tu dzieje. Zagrożone jest życie wszystkich ludzi na Ziemi. Muszę natychmiast znaleźć Murraya Mumforda. Natychmiast! Wiesz gdzie jest?

Ku zaskoczeniu i zakłopotaniu Tyne'a, młody Sumatrzeńczyk zaczął szlochać. Nie wydał żadnego dźwięku, po smagłych policzkach potoczyły się wielkie krople i spadły na czystą podłogę. Zasłonił dłonią oczy.

- Mój kraj tak wiele ucierpiał z powodu innych krajów. Wkrótce przyłączę się do Wydziedziczonych. Okazało się, że Korporacja Ziemia to złudna mrzonka. Gdy będzie nas więcej, zmusimy wszystkich cudzoziemców, aby opuścili naszą ziemię.

- I Rosków - dodał Tyne.

- **Wszystkich cudzoziemców.** Czy wie pan, że dziś wieczorem jest pogrzeb na Bukit Besar? Wie pan czy? Tej półkrwi Holenderki, Miny.

- Mina! Mina nic żyje? - wykrzyknął Tyne.

- Taka jest zasadnicza przyczyna pogrzebu - rzucił uszczypliwie Amir. - Roskowie zamordowali ją, dlatego że sypiała z pańskim przyjacielem, Mumfordem. Może zainteresuje pana, że Roskowie przyszli po mnie wczoraj; torturowali mnie. Wczoraj zjawił się pan w Merdece i zdołałem się wymknąć, dziś się nic udało i prawdopodobnie czeka mnie śmierć.

- Bzdura. Amir, weź się w garść! Roskowie drugi raz nie przyjdą - odparł Tyne. - O co cię wczoraj pytali?

Amir przestał płakać równie nagle jak zaczął. Patrząc Tyne'owi prosto w oczy, zdjął rękę z temblaka i zaczął odwijać bandaż. Po chwili odsłonił rękę pokazując ją z przerażającą mieszaniną zgrozy i dumy.

- Roskowie pytali mnie gdzie ukrywa się Murray Mumford - odpowiedział Amir. - Nie powiedziałem im i oto, co mi zrobili.

Lewa dłoń Amira została amputowana w nadgarstku. Na jej miejsce przeszczepiono teraz zwisającą bezużytecznie, włochatą dłoń szympansa.

Sztuczna, lewa dłoń Tyne'a zacisnęła się konwulsyjnie.

- Przykro mi... Przykro mi, Amir - wydusił Tyne.

- Oto co myślą o człowieku.

Odwrócił się i niezdarnie poprawiając bandaż, dodał stłumionym głosem:

- Ale nic powiedziałem im, gdzie jest Murray. Panu mogę powiedzieć. Gdy przyszedł tu wczoraj rano, powiedział że zamierza ukryć się w starej świątyni Deli Jalat... tą ulicą w dół... Teraz proszę już iść. Niech pan idzie i o nic mnie więcej nie pyta.

- Naprawdę ogromnie mi przykro - powiedział Tyne zatrzymując się przy drzwiach. - To się kiedyś zmieni, Amir. Zostanie ci to kiedyś wynagrodzone.

Amir nie odwrócił się.

- Coś panu jeszcze powiem. Mina wiodła kiedyś wraz ze swoją rodziną szczęśliwe życie w kampongu, tam gdzie teraz mieści się baza Rosków. Stała się jedną z Wydziedziczonych, zrujnowano jej życie. No i została prostytutką. To źle, źle...

* * *

Wyszedłszy z magazynu Tyne natychmiast przycupnął pod niskim, kamiennym murem i wyjął rewolwer. Słowa Amira wstrząsnęły Tyne'm bardziej, niż sam śmiał się do tego przyznać. Powoli uniósł głowę i rozejrzał się.

W pobliżu kilku budynków wychodzących na niewielką, tylną uliczkę, krzątali się dwaj krajowcy. Wyglądało na to że żadnego z nich nie interesuje osoba Murraya. Z góry na okoliczne rudery rzucały cień lśniąca, stalowe drapacze chmur Nowego Padangu. Tyne zdał sobie sprawę z gorzkiej prawdy słów Amira. Zalewające całą Sumatrę tłumy gości sprawiały tubylcom tyle samo kłopotów, co Roskowie. Roskowie zawdzięczali swoją zdolność łatwego podróżowania poza wyobrażalne granice typowo wschodniej obojętności wobec dwóch form wyzysku. Mimo wszystkich pięknych słów Korporacji Ziemia i rekompensat wypłacanych przez Korporacyjny Rząd Sumatry, najniższe warstwy społeczeństwa ogromnie cierpiały.

W chwili gdy Tyne miał przeskoczyć przez mur, od strony Merdeki pojawił się jakiś mężczyzna. Szedł powoli, stosownie do swojej tuszy, jego oczy czujnie omiatały raz lewą, raz prawą stronę ulicy. Był to Stobart.

Zbliżał się od strony świątyni Deli Jalat. Zobaczył, że na ulicy nikogo nie ma i przyspieszył kroku. Gdy Tyne skulił się w swojej kryjówce, Stobart wydobył gwizdek, podniósł go do ust i dmuchnął. Nie wydobył się żaden dźwięk, gwizdek był ultradźwiękowy - bez wątpienia Stobart wzywał posiłki.

Natychmiast po odejściu agenta Korporacji, Tyne przeskoczył przez niski murek i pomaszerował w kierunku świątyni, gdzie według słów Amira ukrywał się Murray. Porachunek z Murrayem był coraz bliższy, w wypchanej kieszeni Tyne'a uspokajająco ciężył załadowany rewolwer.

Pomimo upału Tyne'a zmroziła pewność - wiedział dokładnie co ma zrobić. Zabić Murraya.

Martwiła go tylko jedna sprawa i nie zamierza! dopuścić do tego, by zniweczyła jego zamiary. Murray, czekając z mikrofilmem na spotkanie z agentem RFW, doskonale zacierał ślady. Pojawienie się Stobarta (który bez wątpienia wpadł na trop Tyne'a w hallu Hotelu Merdeka), wskazywało na to, że Murray, nadal znajduje się na wolności. Jednakże działający w pojedynkę Tyne jest coraz bliżej Murraya? Dlaczego?

Tyne wpadł na trop Murraya dzięki dwóm informacjom: Miny na temat „fabryki planktonu” oraz Amira o świątyni. Tak Korporacja, jak i Roskowie, wykorzystali prawdopodobnie wskazówkę Miny, jednakże nie wyciągnęli niczego od Amira. Informację Miny potrafił właściwie zinterpretować **jedynie Tyne**, a Amir zdradził tajemnicę **jedynie Tyne'owi**. Dlaczego?

Odpowiedź jest jedna: Murray spodziewał się, że Tyne będzie go śledzić. Przed ucie-

czką specjalnie zostawił wiadomości, jedną u Miny, a drugą u Amira, **wiedząc że Tyne podąży ich tropem**. Jednakże Murray zdawał sobie sprawę, że Tyne może mieć tylko jeden, jedyny powód, aby go śledzić: chce pomścić śmierć Allana Cunliffe'a. Toteż powody, jakimi Murray kierował się, aby po cichu naprowadzać na siebie mordercę, były całkowicie niejasne. Kusząco niejasne.

Trzeba będzie zmusić Murraya, aby wyjaśnił wszystko zanim skradziony pistolet i kupione kule spełnią swoje zadanie. Musi wyjaśnić - no i naturalnie oddać mikrofilm, a potem będzie mógł umrzeć. Tyne ponownie doświadczył tego mrozącego krew w żyłach uczucia pewności. Jeszcze raz znalazł się w gorącej strefie wydarzeń. Równik akcji wirował wokół niego szybko, coraz szybciej, jednakże Tyne absolutnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

* * *

- Proszę wejść, sir. Zapytam kapłanów o pańskiego przyjaciela - rzekł cierpko pomarszczony karzeł przy bramie z drzewa tekowego. Podreptał gorliwie klapiąc bosymi stopami. Szczególnie mile widziane były tu upadłe kobiety i biali tuanowie.

Podupadająca świątynia Deli Jalat stała na kilkunastu akrach gruntu, które zaśmiecały pozostałości po dawnych próbach założenia kurzej fermy oraz sterty złomu i odpadków. Budynek główny stanowił haniebną imitację bogato zdobionej świątyni w późnym stylu Hindu, jednakże wokół zgromadziło się - niczym wraki samochodów wokół karambolu na szosie mnóstwo późniejszych dobudówek - w większości kruchych konstrukcji z cienkich, drewnianych deszczulek i pofałdowanego żelaza. Od początku niezbyt imponujące, teraz przedstawiały koszmarny widok. Ani chybi najdalej w przyszłym tygodniu wszystko zostanie zrównane z ziemią, żeby zrobić miejsce dla nowoczesnych biurowców.

Tyne nie miał ochoty stać tam gdzie mu kazano, toteż przeszedł obok porośniętych trawą kamieni i podążył w ślad za odźwiernym. W powietrzu unosił się czarująco słodko-kwaśny zapach, aromat który wydawał się nieść nieokreślone uczucie. Był to dziki ogród wonnych korzeni i przypraw. Skręciwszy za rogiem, Tyne znalazł się na nierównej, rozwalającej się dróżce. Na końcu dróżki jakaś kobieta ubrana w chińską suknię i sandały na drewnianych podszwach odwróciła się, spojrzała na niego i zniknęła za drzwiami. Wyglądała jak... tak, była podobna do Bendy Ittai. Tyne podświadomie przyspieszył kroku, na jego ramionach zatańczyły promienie słońca.

Nagle wyobraził sobie, że idzie z kobiet; } do dzikiego ogródka, a następnie kocha się z nią. Nie, to nie na miejscu... Skupił myśli na osobie Murraya.

Przy ostatnich drzwiach podekscytowany odźwierny nerwowo wymachując rękoma niemal wpadł na Tyne'a.

- Nie, proszę pana, nie! Proszę stanąć przy wrotach. Proszę poczekać. Kapłani będą nie przygotowani...

- Nic przychodzę oglądać kapłanów - rzucił Tyne. Odepchnąwszy mężczyznę na bok, wszedł do zacienionej świątyni. W środku odnosiło się wrażenie, że słońce z szelestem wdarło się przez podniesione żaluzje. Wyłożony drewnem, chłodny pokój był pusty, jedynie na środku stały dwie duże, kamienne wazy. Natychmiast podeszli trzej kapłani, z tym zawziętym, mściwym wyrazem twarzy, który na starość zaszczepia religia.

- Proszę zaprowadzić mnie do Murraya Mumforda. Nie mogę czekać - oświadczył Tyne.

- To nie jest odpowiednia pora - odrzekł jeden z kapłanów wymachując bezradnie rękoma.

- Przykro mi, nie mogę czekać.

Kapłani zaczęli nerwowo rozmawiać w miejscowym dialekcie. Byli przerażeni i źli. Strach przeważał.

- Proszę lepiej iść za mną - powiedział zrzędliwie jeden z kapłanów skinąwszy na Tyne'a.

Weszli po szerokich, skrzypiących schodach, przesyconych smrodem kotów. Minęli korytarze o ścianach z drewna i kamienia, aż w końcu stanęli przed niepozornymi drzwiami pod kolejnymi schodami. Kapłan odryglował i otworzył drzwi. Ukazał się niewielki przedsionek, z którego wychodziło dwoje drzwi.

- Te na prawo - poradził kapłan.

Gdy Tyne wszedł do środka, kapłan zatrzasnął za nim drzwi. Znalazłszy się nagle w półmroku, Tyne podszedł ostrożnie do drzwi z prawej strony. Skoncentrował się, wycelował rewolwer i otworzył drzwi.

Ujrzał wąski, długi pokój z brudnym oknem. Większość miejsca obok drzwi zajmowało drewniane łóżko, teraz wykorzystywane jako stół i miejsce do siedzenia.

Na środku pokoju stała, ubrana w chiński strój, Banda Ittai. Jej usta rozchyliły się lekko w grymasie zdziwienia.

- Proszę wejść, panie Todpuddle - rzuciła zwracając się do Tyne'a po nazwisku, które podał podczas przesłuchania na keczu Budo Buddy.

Skinął głową, jakby składał milczący hołd jej urodzie.

Czuźnie dał krok do pokoju. Za drzwiami, z rękoma nad głową, stał Murray Mumford. Z przytroczonej do pasa Służby Kosmicznej, odpiętej kabury wystawał rewolwer.

Wyciągnąwszy błyskawicznie rewolwer i przystawiwszy go do piersi Murraya, Tyne zakotłosał się powoli na obcasach. Bał się wykrzywionej w uśmiechu, niewzruszonej twarzy zabójcy.

- Cieszę się, że w końcu ci się udało, Tyne - rzekł Murray próbując przywołać swój dawny styl. - Odłóż broń i rozgość się. Witam uniżenie...

- Przesuń się do dziewczyny - wysyczał Tyne przenikliwym szeptem. - Oddaj broń. Trzymaj ręce w górze. Jesteś bydlę, Mumford. Zdrajca, szubrawiec.

- Gdybyś nie trzymał tej zabawki, skreśliłbym ci za to kark - odrzekł spokojnie Murray. Jego policzki pociemniały.

- Akurat! Czyżbyś sugerował, że nie masz wiadomości dla Rosków, informacji o absolutnie fundamentalnym znaczeniu dla Ziemi?

Trzymając ręce w górze, Murray powlókł się w stronę Bandy i spojrzał Tyne'owi prosto w oczy. Z jego grubo ciosanej, przystojnej twarzy wycierało znużenie i niepokój.

- Jeśli chcesz o tym porozmawiać, odłóż oba rewolwery na tamtą półkę - rzekł Murray.

Półka, o której mówił, ciągnęła się pod sufitem wzdłuż całej ściany. Tyne do tej chwili nawet na nią nie zerknął. Miał ich teraz oboje, stojących z zakłopotaniem przy nogach łóżka.

- Nie mam ochoty rozmawiać z tobą o czymkolwiek - rzucił.

- W takim razie, dalej - zastrzel mnie. Ale prawdopodobnie równie dobrze jak ja zdajesz sobie sprawę, że jeden taki głupi ruch i wszystko stracone.

- Dawaj mikrofilm, Murray.

- Nie mam go!

Dłoń Tyne'a drgnęła konwulsyjnie. Tego się nie spodziewał.

- Przestańcie!

Benda Ittai rzuciła się nerwowo naprzód. Mimo łachmanów w jej wyglądzie nadal uderzał spokój i piękno.

- Nie ma czasu na kłótnie, w przeciwnym razie wpadniemy. Panie Leslie, proszę odłożyć oba rewolwery na półkę i wtedy wszystko wyjaśnimy. To naprawdę konieczne.

Tyne zawahał się. Znalazł się w niezręcznej sytuacji i wiedział o tym. Nadrzędną sprawą była nie jego zemsta, ale konieczność odzyskania filmu. Kobieta dała mu przynajmniej szansę, aby wycofał się zachowując twarz. Obcesowo wyszarpnął z kabury rewolwer Murraya i wraz ze swoim cisnął na półkę.

- Tak lepiej - odparł Murray opuszczając ręce i myszkując w poszukiwaniu trawki. Tyne zauważył z satysfakcją, że dłonie zapalające skręta drżą. Jego własne - również dłoń ze stali - drżały tak samo.

Przejmując inicjatywę, odezwał się do Bendy:

- Pani obecność tutaj każe mi przypuszczać, że to pani jest agentem Rosków, z którym Murray miał się spotkać.

- Zgadza się, jak panu wiadomo, złapali mnie - uśmiechnęła się skromnie Benda.

Murray oświadczył:

- Doskonale zgadujesz, a teraz przestań zgadywać i posłuchaj mnie. Mamy bardzo mało czasu i potrzebujemy twojej pomocy.

- Mojej pomocy! - wybuchnął Tyne. - Na Boga! Przyszedłem tutaj, żeby cię zabić, Murray, a ty teraz mówisz mi...

Benda Ittai położyła dłoń na ramieniu Tyne'a. Miękką i ciepłą. Oczywiście 40,6°C.

Nagle wyobraził sobie jakie to uczucie kochać się z taką kobietą.

- Proszę dać mu szansę wytłumaczyć! - błagała. - Niech pan tyle nie mówi, a słucha! Po prostu słucha!

- Tak, rozsądna rada dla byłego polityka! - rzucił Murray. Zaczynał się szybko uspokajać. Również Tyne desperacko, z pasją - zapanował nad sobą, usiadł na skraju drewnianego łóżka i wziął od Murraya skręta.

- Postaraj się - rzucił. - Bardzo się postaraj.

- Mikrofilm musi być dostarczony panie Ittai - powiedział Murray - a ona musi zanieść go do bazy na Sumatrze do RFW. Przypominasz sobie Tawdella Co Barra, pierwszego Roska, który przemówił do Ziemi? Jest liderem Roskiańskiej Frakcji Wolnościowej RFW, przeciwstawiającej się Ap II Dowlowi. Partia jest słaba, a to jedyna, ostatnia szansa, żeby wzmocnić ją na tyle, by zdołała obalić Dowła. Gdyby udało im się pokazać ten mikrofilm - świadectwo niegodziwych, pozbawionych skrupułów metod - większości Rosków, wtedy społeczeństwo powstanie i zbuntuje się przeciwko dyktatorowi.

- Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy - wtrąciła się Benda. - Proszę, niech pan spojrzy na tę straszliwą sprawę jako raczej na moralną walkę, a nie zagadkę detektywistyczną. Kiedy ludziom otworzą się oczy i zobaczą co się dzieje za ich plecami, wszyscy z pewnością powstaną przeciwko Dowlowi.

- Usiłuje pani powiedzieć, że nie zdają sobie sprawy, iż stanowią jedynie oddział zwiadowczy floty inwazyjnej?

- Oczywiście. Nie rozumie pan... - rzekła z rozpaczą - wszyscy przyszliśmy na świat na statku uważając się za kolonistów. Musiały istnieć zapieczętowane rozkazy przekazywane z jednego pokolenia kasty oficerów na drugie.

- Rozumiem - potwierdził Tyne. Rzeczywiście rozumiał: oto sposób, w jaki przeprowadza się polityczne machinacje w galaktyce. Przywódcy knują, a pozostali idą jak barany, dopóki nie wstrząśnie się nimi i nie ujrzą, że ich przeznaczeniem jest rożen.

- Masz już dowód, że nie jestem po stronie Dowła i jego zbirów - rzekła spokojnie Benda, prawdopodobnie świadoma jakie wywiera wrażenie na Tyne. - A zatem zaufaj mi. Pozwól mi przewieźć mikrofilm do moich ludzi, do RFW. Tam zostanie lepiej wykorzystany, niż gdyby dostała go Korporacja Ziemia. Rozumiesz?

„Tak, to całkiem jasne”, pomyślał gorzko Tyne wiedząc, że dwoje pozostałych wpatruje się w niego usiłując odgadnąć co zamierza powiedzieć. Nie miał pojęcia, co zamierza powiedzieć. Cel: zdobyć mikrofilm lub zginać! - rozpląnął się gdy się do niego zbliżył. Teraz stanął przed tak drażliwym problemem, z jakim nie zetknął się nigdy za wypolerowanymi stołami Korporacji Ziemia.

Jeśli nie zrobi nic - powiedzmy, jeśli zginie Podsekretarz Gierson puści całą maszynię w ruch. Niewielkie siły zbrojne Rosków na Ziemi zostaną rozgromione przed przybyciem

posiłków. A gdy te przybędą? Cóż, najprawdopodobniej okażą się bezlitosne, nie warto nawet myśleć o atomowym bombardowaniu z przestrzeni kosmicznej.

Jeśli przybędzie tu Stobart wraz ze swoimi ludźmi, na pewno natychmiast zabiorą mikrofilm, wydobędą go spod ziemi. Roskowie nigdy go już nie dostaną. Takie posunięcie pociągnie za sobą natychmiastowy atak na perfidnych obcych.

Jeśli pierwsi przybędą ludzie Ap II Dowla - cóż, to najgorsza ewentualność ze wszystkich.

Jednakże teraz inicjatywę przejął nie Gierson, Stobart czy Dowl, lecz Tyne. Przelotnie pomyślał o sformułowanej przez siebie Teorii Działania Nierozważnego; chyba miał jakieś urojenia. Teraz stanął przed problemem najtrudniejszym ze wszystkich; jak go najlepiej rozwiązać?

Odwróciwszy się w stronę okna, zirytowany wyjrzał przez brudną szybę skrywając swoje niezdecydowanie przed Murrayem i dziewczyną. W słonecznym krajobrazie coś drgnęło. Jakiś człowiek - lub Rosk - przemykał od jednej kępy krzaków do drugiej. Czas naglił.

Tyne odwrócił się nagle. Tak jak sugerowała Benda, RFW powinno wiedzieć o planach inwazji; im więcej posieje się niezgody w bazie na Sumatrze, tym lepiej. Podobnie Ziemia musi znać wszystkie szczegóły; wtedy będą przygotowani na wszelkie ewentualności.

- Trzeba zrobić kopię tego mikrofilmu, panno Ittai - rzekł Tyne. - Jedną kopię zatrzyma Korporacja do przeanalizowania, a wtedy będzie pani mogła bezpiecznie wślizgnąć się do bazy z oryginałem i przekazać go Tawdellowi Co Barrowi.

Odwrócił się do Murraya, siedzącego na skraju łóżka i palącego skręta.

- Jak widzisz, czas nagli - rzucił. - Daj mi szybko ten mikrofilm.

- Najwyraźniej nie załapałeś o co chodzi - oświadczył Murray.

Przetarł oczy, wyglądał na zmęczonego i poirytowanego, jakby nagle uświadomił sobie, że czy odniesie zwycięstwo, czy też nie, ostatecznie zwycięży los naturalnie nie osobiście nad nim, ale Murray miał lekkie wyrzuty sumienia, jako że chodziło o osobistą sprawę.

- Boże wszechmocny, Tyne! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jaki z ciebie bałwan? Powiedziałem ci, że nie mam mikrofilmu.

Między zaroślami śmigały przygarbione sylwetki - teraz wyprostowują się, prawdopodobnie szykując się do ostatniego skoku w stronę świątyni. Był też Allan Cunliffe, sztywny na wieki, martwy jak kamień. Dwa obrazy, dwa bodźce - pośpiech i wściekłość - przeszyły umysł Tyne'a niczym strzały. Błyskawicznie rzucił się na Murraya.

Murray zwałił się pod ciężarem napastnika. Runęli razem na łóżko, które zarwało się i obaj spadli na podłogę. Tyne przetoczył się na Murraya. Skulony Murray wbił kolano w splot słoneczny przeciwnika. Tyne stalową dłonią wymierzył Murrayowi potężny cios w kark. Mężczyzna pobladł i osunął się na podłogę.

- To cię uspokoi... - wysapał Tyne. Z trudem oddychał, przed oczyma niczym flagi, wirowały różnokolorowe plamy. Potrząsnął głową, by pozbyć się dudniącego dźwięku rozrywającego czaszkę, po czym zorientował się, że to ktoś łomocze w drzwi.

Spojrząwszy na pozostałości po wielkim łóżku, jak przez mgłę zobaczył, że Benda Ittai otwiera drzwi, po czym wpada jeden z kapłanów i zaczyna coś pośpiesznie mówić. Po chwili Benda podbiegła do Tyne'a.

- Nieprzyjaciel otacza świątynię! - krzyknęła. - Kapłani widzieli. Szybko, musimy uciekać! Mam na zewnątrz ukryty helikopter. Dalej, chodźcie!

Ująwszy zdrową rękę Tyne'a w swą gorącą dłoń, pomogła mu wstać. Murray jęknął uwolniwszy się od ciężaru. Kapłani wskazali drogę; półprzytomny Tyne pozwolił, aby wleczone go z pokoju. Puścili się biegiem przez labirynt budowli i Tyne stopniowo zaczął odzyskiwać siły. Gdy opuścili świątynię, przypomniał sobie, że zostawił rewolwer, ale było już za późno.

Wyłonili się na zamkniętym dziedzińcu, wokół którego ciągnął się szpaler niewielkich

komnat. Mieszkali w nich niegdyś nowicjusze. Wszystko wokół powoli kruszyło się, jakby zostało ulepione z czerstwego chleba. Z omszałych budynków lał się żar dławiący niczym wyrzut sumienia. Pod rozpostartą płachtą maskującą stał niewielki, czystutki helikopter. Benda podbiegła do niego, szarpnęła za róg baldachimu i płachta zwinęła się jak żaluzja. Dziewczyna cisnęła do helikoptera złożoną starannie plandekę i po chwili wskoczyła do środka.

„Ma ładne nogi”, pomyślał Tyne. Powrócił zmysł obserwacji i dedukcji. Zelżało nawet paskudne uczucie w żołądku.

Podczas gdy kapłani gnąc się w ukłonach wycofywali się do świątyni, Tyne usiadł w fotelu obok dziewczyny. Benda natychmiast zapaliła silnik. Zawirowały wzburzone fale rozgranego powietrza; wielkie, zielone jaszczurki uciekły w głąb dziedzińca.

- Patrz! - wrzasnął Tyne wysuwając palec.

Nad rzędem komnat pojawiła się czyjaś głowa, a potem ramiona. Następnie lufa strzełby, która opuszczając się, wymierzyła w helikopter. Rosk czy człowiek? Czy Benda to wie? Wszystko, co powiedziała w świątyni, to „Otocza nas nieprzyjaciel”. Mogła przez to mieć na myśli zarówno zbirów Ap II Dowła, jak też Stobarta, co wskazywało na jej niejasną rolę w całej sytuacji.

Prawie wbijając łokieć pod zebra Tyne'a, Benda włożyła rękę do przepastnej kieszeni. Wydobyła jedną z morderczych osiemdziesiątek ósemek Rosków. Odwróciwszy się błyskawicznie, wychyliła się do połowy z kabiny i na ślepo strzeliła do snajpera na dachu.

Chybiła.

Tyne ujrzał, jak skraj dachu rozlatuje się na kawałki, które odpryskują w twarz strzelca. Snajper odrzucił gwałtownie broń i przytknął dłoń do rozkrwawionych ust. Helikopter pode-rwał się z ziemi.

Gdy maszyna wznosiła się coraz wyżej, na oświetlony dziedziniec wybiegł ze świątyni jakiś człowiek. Był to Stobart; jego twarz lśniła od potu, ciężkie ciało dygotało z wysiłku. Pomimo, że trzymał rewolwer, nie próbował strzelać, tylko wrzeszczał coś do Tyne'a wymachując dziko rękami. Przez ryk wirujących łopat nie przedostało się ani jedno słowo.

- Uciekliśmy w samą porę! - krzyknęła Benda.

Unosząc się szybko nad labiryntem zrujnowanych budynków świątyni, helikopter łukiem skierował się na wschód. Zobaczyli, jak ze świątyni wybiega kilka postaci wielkości mrówek. Na mrówki padł cień śmigłowca; strzelały w górę... bez rezultatu.

7

Przesunąwszy dłonią po twarzy, Tyne zamyślił się głęboko. Oczywiście było, że urocza panna Ittai - daleka od, jak początkowo sądził, ponownego uratowania mu życia nabrała go i zwabiła do helikoptera. Miała jakiś cel w tym, żeby odciągnąć od jego pobratymców. Tyne'owi nadal kręciło się w głowie po kopniaku w żołądek. Potrzęsnał desperacko głową. Być może był oszołomiony, ale co do niektórych kwestii był pewien. A jedną z nich było to, że ta drobna piękność kieruje się co koń wyskoczy w stronę bazy Rosków na Sumatrze.

Na wprost pojawiła się niewielka, okrągła chmurka, a za nią następna. Wpadli w turbulencję i śmigłowcem rzuciło ciężko. Ktoś tam na ziemi wprawiał się na nich w strzelaniu z działka przeciwlotniczego.

Tyne zerknął w dół, ale dostrzegł jedynie drogi i plantacje, niegdyś prosperujące fermy Korporacji Ziemia. Na peryferiach Padangu armia Korporacji miała ufortyfikowane punkty

obrony. Żeby do nich dotrzeć, Stobart musi działać bardzo szybko. Tyne pomyślał, że za minutę namierzą ich interceptory. Nie uśmiechało mu się to.

To samo przyszło do głowy dziewczynie. Z ponurą miną wyciskała z maszyny ostatnią iskierkę mocy. Kolejna eksplozja na zewnątrz rzuciła śmigłowiec na bok. Ustaliwszy kurs wznoszący i zablokowawszy układ sterujący, Benda odwróciła się do Tyne'a. Nagle w jej dłoni ponownie pojawił się rewolwer.

- Nienawidzę tego, ale musisz uświadomić sobie, że zrobię wszystko, żeby mi się udało... wszystko - rzekła. - Ta misja musi się powieść za wszelką cenę. Poza tym, i tak żadne z nas się nie liczy. Jeden podejrzaný ruch i zabiję cię. Będę musiała cię zabić.

- Zastanawiasz mnie, Benda - stwierdził Tyne. - Dlaczego nie zgodziłaś się na skopowanie mikrofilmu, jak proponowałem w świątyni?

Uśmiechnęła się blado.

- Naprawdę uważasz, że gdy twoi ludzie raz nas dostaną, wypuszczą z rąk ciebie, mnie lub mikrofilm? Ależ z ciebie amator, Tyne.

- Dzięki, już to kiedyś słyszałem. Czego chcesz ode mnie?

Śmigłowiec przyspieszył gwałtownie. Mierząc do Tyne'a z rewolweru, Benda odrzekła:

- Robi się gorąco. Prawdopodobnie jesteśmy ścigani, toteż musisz spływać. Za tobą leży jeden z naszych kompletów miniwirynek, który jest odpowiednikiem waszych spadochronów. Wkładaj go i skacz! To odwróci uwagę żołnierzy. Gdy zobaczą jak spadasz, być może dadzą mi spokój, a poza tym helikopter będzie bez ciebie szybciej lecieć.

- Wszystko sobie przemyślałaś - stwierdził z podziwem Tyne. - Chcesz czegoś jeszcze ode mnie zanim wyskoczę?

Lufa rewolweru przechyliła się lekko.

- Tak - oświadczyła Benda. - Oddaj mi swoją sztuczną dłoń.

Przez Tyne'a przebiegł dreszcz triumfu. A więc w końcu odgadł, Benda „uratowała” go z tego samego powodu, dla którego Murray z rozmysłem zostawił mu wskazówkę: dlatego, że Tyne jest niezbędnym ogniwem ich planu. Do tej pory tkwił na skraju wydarzeń, teraz znalazł się w ich centrum.

Murray potrzebował bezpiecznego miejsca do ukrycia mikrofilmu, gdzieś, gdzie jego łącznik mógł nadal mieć z nimi kontakt, nawet gdyby został namierzony. Tak więc gdy nieprzytomny Tyne wracał ze Strefy Księżycowej 101, Murray z łatwością umieścił niewielką rolkę w jego sztucznym palcu. Potem odpowiednio okrutnie zagrał na uczuciach Tyne'a, tak by ten ostatni zaczął go śledzić, a następnie dał się swobodnie podejść! Przez cały ten czas kiedy Tyne wyobrażał sobie, że działa powodowany własną wolną wolą, że ryzykuje w imię sprawy, jego posunięcia zostały obliczone daleko naprzód przez kogoś innego. Marionetka tańczyła, nieświadoma obecności sznurków.

Ujrawszy na twarzy Tyne'a mieszaninę gniewu i urazy, Benda uniosła ostrzegawczo lufę rewolweru.

- Strzelaj! - rzucił. - Na Boga, strzelajże, dziewczyno! Nie jestem aż takim amatorem, jak ci się wydaje. Kiedy się nad tym zastanowiłem, oczywiście okazało się dlaczego to Murra-ya pozostawiłaś w świątyni, a nie mnie. Zanim pojawiłem się wśród was Murray powiedział ci gdzie schował film, prawda?

- Przykro mi - powiedziała. - Byłaś dość miły.

Zamknawszy oczy wystrzeliła na ślepo. Tyne przyglądał się, jak niewielka piąstka zaciśka się po zwolnieniu spustu.

Tyne otworzył zdrową dłoń, na której leżał stosik na wpół samonaprowadzających pocisków.

- Opróżniłem magazynek, gdy byłaś zajęta pulpitem sterowniczym. Pomyślałem, że możesz okazać się niebezpieczna i miałem rację, może nie?

Niespodziewanie wybuchnęła łzami, wyglądały jak łzy normalnej dziewczyny. Tyne nie

zdawał sobie wtedy sprawy, że łyzy wyrażają ulgę. Ulgę, że dziewczyna spełniła obowiązek, a jednocześnie wykręciła się od konieczności odebrania Tyne'owi życia. Zabrał jej rewolwer, załadował i schował do kieszeni. Zajął się helikopterem.

Tuż obok rozerwał się pocisk przeciwlotniczy. Helikopter unosił się nad dżunglą i cały czas nabierał wysokości. Mrużąc oczy przed blaskiem słońca, Tyne odwrócił się i wbił wzrok w błękit. Znad pstryj powierzchni ziemi poderwał się obły przedmiot w kształcie litery V. Mknął w górę, coraz wyżej. Był to przechwytyjący myśliwiec załogowy.

Wyglądało na to, że albo wylądują, albo zostaną zestrzeleni. Tyne chwycił drążki sterownicze zmieniając kąt pochylenia łopat, śmigłowiec zaczął schodzić w dół. Czuł w tej chwili jedynie radość.

Z zamglonej, błękitnej dali wyłoniła się bryła olbrzymiego, wielorakietowego obiektu. Był to statek z Alfya II. Znajdują się w pobliżu bazy Rosków! Przynajmniej oszczędził sobie wizyty w tym miejscu. Co więcej - po jedenastu godzinach, ale zapanował nad sytuacją; Benda siedziała obok bezradnie, nagle pozbawiona woli. Teraz on przejął stery.

Tyne poczuł raczej, niż usłyszał zbliżający się myśliwiec. Szarpnął śmigłowcem pozwalając mu przejść w dość niebezpieczny ślizg boczny. Nad kabiną rozerwał się pocisk. Natychmiast przestał działać układ sterowniczy, przepaliły się najważniejsze elementy.

Tyne zaklął, gdy śmigłowiec odwrócił się na wznak, co spowodowało, że w twarz Tyne'a wbiły się klamry pasów. Na moment wyizolował się obserwując wszystko jakby z oddali, podczas gdy dziewczyna miotła się bezradnie za panelem sterowniczym. Wtedy wokół zawirowała dżungla, a Tyne całkowicie odzyskał zmysły. Zaraz zwał się na ziemię!

- Trzymaj się! - zawył.

Tak więc panował nad sytuacją, czyż nie? A jego całe panowanie nad sytuacją to: trzymajcie się!

Runęli!

Straszliwy wstrząs sprawił, iż strzępy zielonego mięszu rozprysnęły na wszystkie strony. Helikopter złamał się jak zapalka. I tak mieli szczęście. Rozbili się w gęstwinie gigantycznych kaktusów, niektóre mierzyły ponad siedem metrów. Rośliny zadziały jak wielka, mięsista poduszka, która złagodziła upadek.

Jęcząc, Tyne przekręcił się na plecy. Na nim leżała jak długa Benda Ittai. Wlokąc ją za sobą i nadal pojękując z powodu szoku i ulgi, Tyne wygramolił się spod szczątków helikoptera boleśnie torując sobie drogę pomiędzy zmiażdżonymi kaktusami, po czym wyprostował się i stojąc na chwiejnych nogach, rozejrzał wokoło.

Zarośla kaktusowe rosły w starym korycie wydrążonym przez lawę. Pobrużdżone i zryte koleinami, koryto nie było gościnne dla roślinności, nie licząc kolczastych zarośli i kaktusów, które nieustępliwie porastały brzegi uskoków. Był to najbardziej odpychający krajobraz, jaki tylko można sobie wyobrazić. W odległości około pięciuset metrów rozciągał się niski wał obronny, fortyfikacja opasująca Bazę Sumatrzańską. Ujrzawszy wał, Tyne natychmiast padł na kolana. Nie należało zbliżać się do tamtego miejsca.

Gdy Tyne usiłował odciągnąć nieprzytomną dziewczynę z porośniętego kaktusami zbocza, nagle spowił go ogromny cień. Myśliwiec podchodził do lądowania. Tyne nie mógł się nadziwić, że Roskowie w bazie nadal nie reagują; znani byli z ostrzeliwania każdego samolotu Ziemi jak pojawia się w takiej bliskości wału. Usadziwszy Bendę najwygodniej jak tylko potrafił, ruszył biegiem ku swemu prześladowcy.

Interceptor wylądował pionowo. Pilot właśnie przedzierał się w kierunku Tyne'a pokonując nierówności terenu i chociaż trzymał nisko głowę uważając na koleiny lawy, Tyne poznał go. Zaczaił się za zielonym słupem kaktusa i wydobył rewolwer Bendi.

- Ręce do góry! - wykrzyknął na widok mężczyzny.

Zaskoczony, Allan Cunliffe zastosował się do polecenia.

- Nie musisz mierzyć tym we mnie, Tyne - oświadczył cicho. Zagryzał wargi i rozglądał

się wokół niecierpliwie.

- Jednak chyba muszę - odparł Tyne. - Jeszcze dziesięć minut temu myślałem, że nie żyjesz. Teraz chcę usłyszeć co masz do powiedzenia.

- Murray nie powiedział ci, że żyję?

- Nie. Murray nie miał czasu, żeby mi wiele powiedzieć. Wierz lub nie, ale sam na to wpadłem. Jak tylko zorientowałem się, że Murray zrobił mnie w konia z tym śledzeniem, domyśliłem się, że jego bajeczka o zastrzeleniu cię na Lunie to kłamstwo - marchewka dla osła. Wydała mi się nieprawdopodobna. Czyli oznacza to, że ty również jesteś w to zamieszany. Zdejmuj pas.

- Spadną mi spodnie.

- To uważaj na kaktusy!

- Nie cieszy cię mój widok, Tyne. Jesteś bardzo zakłopotany.

- Tak, tak zakłopotany, że nikomu nie ufam. Jesteś dla mnie wrogiem, Allan.

Tyne wziął pas i zaczął krępować Allanowi ręce na plecach. Gdy Tyne pracował, Allan protestował gwałtownie.

- Słuchaj, Tyne, mnie możesz zaufać, tak jak zawsze. Myślisz, że służyłbym w jakiś sposób Roskom? Powiem ci: byłem agentem Korporacji na długo zanim cię poznałem - nawet przed wstąpieniem do Służby Kosmicznej. I potrafię tego dowieść. Pamiętasz tamtych dwóch facetów, którzy złapali cię w przetwórni planktonu i siedzieli w samochodzie, gdy nadleciał szperacz...

- Dickens i niemowa? - spytał Tyne. - Co z nimi?

- To ja byłem tym niemową, Tyne! Musiałem siedzieć cicho, bo w przeciwnym wypadku rozpoznałbyś mnie.

Allan stał bezradnie ze spuszczoneymi spodniami. W nagłym ataku wściekłości, Tyne zwałił go na ziemię, klęknął obok i schwycił za koszulę.

- Allan, ty skurwysynu! **Dlaczego** się nie odezwałeś? Dlaczego musiałem zupełnie sam miotać się po omacku, bez niczyjej pomocy?

Allan usiłował przetoczyć się na bok, jego twarz pociemniała.

- Musiałeś myśleć, że jestem martwy, na wypadek gdybyś zaniechał tropienia Murraya - odparł. - Nie było czasu, chcieliśmy, abyś nadal szedł naprzód. Czy nie rozumiesz, że gdy Dickens podsunął ci fragment niezbędnej informacji, zamierzaliśmy pozwolić ci zbiec?

- Może i teraz kłamiesz!

- Dlaczego miałbym kłamać? Ty musisz mieć ten mikrofilm - dotarłeś do Murraya. Teraz trzeba tylko dostać się do Korporacji tak szybko jak to tylko będzie możliwe. Daj mi go i bierzmy nogi za pas.

* * *

Tyne'owi waliło serce. A więc Allan - niegdyś jego przyjaciel, teraz (uwięziony w niezłym królestwie intrygi) nie miał pojęcia o tym, że Murray zataił plany inwazji. Chwyciwszy Allana za koszulę, Tyne pociągnął go za sobą, dopóki nie znaleźli się za kępą kaktusów, z dala od - nadal zaskakująco cichej i groźnej - bazy Rosków.

- Powiedz mi, co wydarzyło się w Strefie 101 kiedy leżałem nieprzytomny - zażądał. - Kiedy niby to zostałeś zastrzelony.

- To żadna tajemnica - odrzekł Allan. - Gdy dostałeś w ramię, padłeś jak ścięty. Murray i ja usiłowaliśmy zanieść cię z powrotem na statek i naturalnie Roskowie pojмали nas i rozbroili. Było ich tylko trzech - wiedziałeś o tym? - ale w swoich o niebo lepszych kombinacjach natychmiast nas otoczyli. Powiedzieli nam, że wraz z tym facetem od reflektora, są jedynymi na Księżycu członkami frakcji pokojowej RFW, popierającymi Tawdella Co Barra. Ale zdołali wykraść te plany, to było całkiem proste. Problem tkwił w dostarczeniu ich na Ziemię

- cała trójka była od dawna pod lupą. Gdy to usłyszeliśmy, Murray zaoferował, że zabierze mikrofilm i przekaże go łącznikowi w Padangu. Roskowie powiedzieli, że dla pewności zatrzymają mnie jako zakładnika. Przyglądałem się, jak Murray taszczy cię na statek i jak odlatujecie.

- Jak od nich uciekłeś? - zapytał podejrzliwie Tyne.

- Wcale nie uciekłem. Po pewnym czasie sami pozwolili mi odejść. Początkowo myślałem, że z jakiegoś powodu nie mogą ukryć mnie przed tajną policją Ap II Dowla, ale tak nie było. Chcieli, żebym był na wolności po to, abym nasłał Korporację Ziemia na Murraya. Roskowie podarowali mi skradziony łaźnik księżycowy i popędziłem nim do Kwatery Głównej Korporacji Ziemia na Księżycu; dotarłem do KK Cztery - agenta, którego znasz pod nazwiskiem Stobart. Wtedy już namierzył cię w barze w „Roxy”, dowiedział się wszystkiego ode mnie i mniej więcej orientował się, co jest grane. Potem tak szybko jak tylko możliwe, wróciłem do Padangu i spotkałem się ze Stobartem i Dickensem. Wtedy...

- Poczekaj - przerwał Tyne.

Z nieba dochodziło coraz głośniejsze buczenie. Tyne zaczął nasłuchiwać. Nadlatywały następne myśliwce. Allan z nadzieją spojrział w górę. Tyne'owi pozostało zaledwie pięć minut.

- Nie rozumiem, co ty gadasz - rzucił szorstko do Allana. - Powiadasz, że ci roskiańscy pacyfiści puścili cię wolno, żebyś naprowadził naszych ludzi na Murraya, wtedy gdy wszystko zależało od tego, czy Murray zdoła się przedostać? Gdzie w tym jakikolwiek sens?

- Wszystko zostało zainscenizowane tak, by wyglądało, jakby zależało od tego, czy Murray zdoła się przebić. W rzeczywistości ci goście z RFW byli cwani, chcieli by Murraya złapano z filmem. Nigdy nie zmierzali do niczego innego, jak do tego, by plany dostały się w ręce Ziemian. Skoro Murray zdołał ich przechytrzyć, to tym lepiej. Oczywiście agent Tawdella, ta dziewczyna Ittai, o niczym nie miała pojęcia. Poszła na spotkanie z Murrayem w dobrej wierze.

- Czemu tak pokrętnie? Czemu, skoro już ukradli film, po prostu nie wysłali go pocztą bezpośrednio do Korporacji?

Allan roześmiał się krótko.

- A któż by w to uwierzył? Wiesz jak wygląda sytuacja polityczna. Gdyby film został wysłany prosto do nas, prawdopodobnie odrzucilibyśmy go jako po prostu kolejną groźbę Ap II Dowla. To RFW umieścił na wabia w Strefie 101 ten dziwny obiekt, który mieliśmy za zadanie zbadać na zewnątrz kopuły obcych. Tak się złożyło, że odegraliśmy rolę myszy, które wywęszyły ser.

Tyne wstał. Dostrzegł lecące nisko trzy myśliwce. Za chwilę zauważą rozbity śmigłowiec i zaczną się zniżać.

- Postawiłeś sprawę jasno - rzekł do Allana. - Wszystko było od początku do końca jednym wielkim kręactwem, a ja musiałem wziąć na siebie najgorsze. Jednego tylko nie rozumiem.

Allan z nadzieją wsparł się na łokciu i spytał o co chodzi.

- Nie wiem komu mogę zaufać prócz samego siebie. Wszyscy inni biorą udział w subtelnej, podwójnej grze.

- Możesz zaufać Stobartowi, skoro nie chcesz mnie. Powinien być w jednym z tych trzech samolotów.

- Nikomu nie ufam, a zwłaszcza temu tłustemu prostakowi Stobartowi!

Pochyliwszy się, zdarł z Allana spodnie i mocno obwiązał mu kostki.

- Spróbuj się teraz uwolnić, przyjacielu! - poradził. - Twoi kumple będą tu za parę minut i założą ci portki. I nie zapomnij zająć się Bendą Ittai. Leży przy wraku. Póki co, zabieram twoją maszynę.

Nie zwracając uwagi na wrzaski Allana, pobiegł do myśliwca przez koryto wydrążone

przez lawę. Pozostałe maszyny kołowały w górze. Gdy usadowił się w obrotowym fotelu, odezwało się radio.

...czemu nie odpowiadasz? Co tam się dzieje na dole? - był to głos Stobarta, chrapliwy ale dający się rozpoznać.

Zdyszany Tyne wcisnął przycisk i starając się jak najlepiej naśladować głos Allana, rzekł:

- Przepraszam za zwłokę... walczyłem z Leslieem... musiałem go związać... Lądujcie.

- Masz mikrofilm? Murray Mumford informuje, że rolka jest w sztucznej dłoni Tyne'a.

- Nie mam. Schodźcie do lądowania - rzekł Tyne i przerwał połączenie. Włączywszy zasilanie, skupił się i otworzył przepustnice. Maszyna wzbiła się ku niebu. Myśliwiec reagował idealnie, Tyne latał kiedyś takimi samolotami podczas treningów.

Z uciechą pomyślał co teraz kotłuje się w głowie Stobarta. Tak, Stobart będzie podejrzliwy. Ale żeby przekonać się co jest grane, będzie musiał wylądować. Tyne miał nadzieję, że działa w bazie Rosków przemówią. Tylko po to, aby napędzić agentowi stracha.

Sprawdził paliwo, zbiorniki były prawie pełne. Wspaniale, jednym skokiem dotrze do Singapuru, stolicy Korporacji. Tyne nie zamierzał odkręcać swojej stalowej dłoni dla nikogo poza Hjandersonem - Generał-Gubernatorem Korporacji Ziemia.

* * *

Była to - i musi się z tym zgodzić nawet największy pedant - prześliczna cela. Wygodna - z toaletą i łazienką (plus prysznic, basenik oraz zestaw do masażu), umeblowana bez zarzutu, o ile nie banalnie, wyposażona w książki, sześcian wizyjny i filmy, klimatyzację i zamaskowane oświetlenie - jednakże cela pozostawała cela.

Jedzenie było znakomite i Tyne najadł się porządnie. Łóżko wygodne i Tyne porządnie się wyspał. Teraz chodził bezustannie tam i z powrotem po puszystym dywanie.

Zniknęła jego lewa dłoń.

Od dwudziestu godzin był uwięziony. Po przylocie do Singapuru parę minut po drugiej poprzedniego popołudnia, został natychmiast aresztowany, dokładnie przesłuchany i zamknięty. Przesłuchiwali go cywile, po czym przepaszając uprzejmie, odkręcili stalową dłoń. Od chwili kiedy wszystkie życzenia zostały spełnione, cierpliwość Tyne'a uległa wyczerpaniu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pukali! To już szczyt ironii. Wszedł ubrany w nieskazitelną garnitur, szczupły mężczyzna o twarzy koloru starej kieszeni i spróbował uśmiechnąć się do Tyne'a.

- Czy będzie pan tak uprzejmy udać się tędy do naczelnika Purdoo? - zapytał.

Tyne okiełznał gniew aż do momentu, gdy został wprowadzony do wielkiego, pustego pokoju. Zza biurka podniósł się umundurowany osiemdziesięciolatek. Był to naczelnik więzienia - czujny starzec z baczny uśmiechem na gładkiej jak jabłko twarzy.

- Jak długo jeszcze mam tu tkwić? - zapytał energicznie Tyne podchodząc do biurka. - Kiedy zobaczę się z Hjandersonem? O czym do cholery chce pan ze mną rozmawiać?

- Jestem naczelnikiem tej instytucji - starzec zganił Tyne'a nie przestając się uśmiechać.

- Dajmy sobie spokój z tytułaturą. Wszystko co chcę wiedzieć, to jestem czy nie jestem tym pieprzonym bohaterem? Jeśli tak, to czy sądzi pan, że jestem zadowolony z takiego traktowania?

- Ależ jest pan bohaterem, panie Leslie - odrzekł pojednawczo naczelnik. - Nikt nie zaprzecza. Proszę, niech pan usiądzie, zapali, ochłonie.

Naczelnik Purdoo wyszedł z za biurka. Stał przed Tynem wpatrując się w niego dopóki ten nie usiadł, a następnie oświadczył:

- Być może pocieszy pana wiadomość, że pańscy dwaj koledzy zamieszani w tę sprawę,

Murray Mumford i Allan Cunliffe, również zostali tutaj zatrzymani. Nie siedzimy z założonymi rękami. Porównujemy wasze zeznania.

- Chcę jedynie powiedzieć, że nie ma potrzeby trzymać mnie pod kluczem. Przybyłem tu dobrowolnie, może nie?

Naczelnik skinął siwą głową.

- Gdy pan przyleciał, Korporacja prowadziła na pana powszechną nagonkę - żywego lub umarłego. Miał pan szczęście, panie Leslie, że zdołaliśmy dotrzeć do pana przed innymi, słabiej poinformowanymi oddziałami i ukryć w bezpiecznym miejscu. Pewien agent, którego jak sądzę zna pan pod nazwiskiem Stobart i którego wczoraj wywiódł pan w pole, miał powód do obaw, że mógł pan okazać się zdrajcą. Po prostu przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności.

- Niech mi pan nie przypomina o Stobarcie, panie naczelniku! Dostaję wysypki. Proszę mi tylko powiedzieć do czego jestem panu potrzebny. Czy mogę dostać z powrotem moją pięść?

Naczelnik Purdow uśmiechnął się blade. Z bliska uśmiech nie wyglądał ponętnie.

- Mówiąc krótko - rzekł. - Wezwałem pana tutaj, gdyż tak w ogóle chciałbym powiedzieć panu, że znajduje się pan w najlepszym miejscu - nikt pana nie lekceważy, gra pan pierwsze skrzypce w tej wielkiej akcji, która w większości pozostaje tajemnicą, nawet dla pana - a w szczególności pragnę powiedzieć, że Generał-Gubernator Hjanderson przyjedzie tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, aby osobiście panu podziękować. Jesteśmy przekonani, iż działał pan w najlepszej wierze, rozumie pan.

Parsknąwszy, Tyne cisnął skręta na lśniące biurko i zerwał się z krzesła. Przewyższał Purdow o głowę, lecz naczelnik nawet nie drgnął.

- Władze! - warknął. - Wszyscy jesteście tacy sami! Nic tylko dyplomacja i podejrzliwość! Nikt nikomu nie ufa! Nigdy nie bierze pan niczego za dobrą monetę? Nie składał pan przysięgi gajańskiej?

- Przez tę wiarę wpadł pan w niezgorsze tarapaty - odpowiedział naczelnik. Odwrócił się, przeszedł za biurko i usiadł dając do zrozumienia, że jest zmęczony. Jego wypiełgnowana prawa dłoń wykonała pogardliwy gest.

- Nikt nikomu nie ufa, Leslie. Ubolewam nad tym podobnie jak pan, jednakże liczę się z tym faktem. Wy, młodzi, nie jesteście realistami. Co do planów inwazji z Alfą Centauri II - ani słowo nie może przedostać się do społeczeństwa. Oto doskonały powód, aby pan z nami pozostał. Proszę, niech pan spróbuje mniej myśleć o sobie, a zastanowić się raczej nad doniosłymi kwestiami, które wynikają z tych planów. Sithers, proszę odprowadzić naszego gościa do jego... pokoju.

Zbliżył się mężczyzna o twarzy koloru brudnej bielizny. Tyne wzruszył rozpaczliwie ramionami kierując się w stronę drzwi; wiedział, że niczego nie wydusi z Purdow, nawet gdyby wycisnął go jak gąbkę. Stykał się już wcześniej z takim typem formalisty.

Przystanął w progu.

- Panie naczelniku, proszę zdradzić mi tylko jedną małą, maluteńką tajemniczkę państwową - poprosił. - Czy ta cała bajeczka Allana Cunliffe'a, że niby Roskowie naprawdę tak kombinowali, żeby mikrofilm wpadł w nasze ręce - była prawdą czy kłamstwem?

Na moment twarz naczelnika przybrała dziwny wyraz, jakby uśmiech.

- Cunliffe był znakomitym agentem przez szereg lat powiedział. - I chociaż przyznaję, że choć niekoniecznie wszystko co panu powiedział trzyma się kupy, jest to szczerą prawdą. RFW chciało, żebyśmy dostali plany inwazji. Jednakże Cunliffe pominął pewien szczegół, o którym nie mógł wiedzieć. Plany inwazji są najprawdopodobniej fałszywe.

* * *

Reszta dnia minęła Tyne'owi nieznośnie wolno.

Zgodnie z radą naczelnika zastanowił się nad doniosłymi kwestiami kryjącymi się za planami inwazyjnymi Rosków. Przynajmniej jedna sprawa rzuciła się w oczy na kilometr. Do tej pory nie przedstawiono żadnego dowodu na to, że technologia Alfę II daleko wyprzedza poziom Ziemi w ostatniej dekadzie dwudziestego drugiego stulecia. Nawet konstrukcja gigantycznego statku międzygalaktycznego nie leżała, przynajmniej w teorii, poza zasięgiem możliwości Ziemi. Jednakże inwazja międzygalaktyczna wiązała się z wieloma rzeczami. Oznaczała naturalnie jakąś formę ponadświatłej komunikacji między siłami zbrojnymi Ap II Dowla i Alfą II. Oznaczała również o niebo lepszy napęd od napędu zastosowanego jawnie w pierwszym statku, jako że żadna inwazja nie jest możliwa do przeprowadzenia pomiędzy planetami, które dzieli odległość dwóch pokoleń. Oznaczała bez wątpienia integrację zasobów planety, do czego mozolnie wciąż dążyła Korporacja Ziemia. I oznaczała przede wszystkim arogancką wiarę w powodzenie; tak gigantyczne przedsięwzięcie, jak inwazja z kosmosu nigdy by się nie rozpoczęło, gdyby stojące za nią potęgi nie uważały go za stuprocentowy sukces.

Tyne przyznał, że sytuacja przedstawia się ponuro. Rola, jaką w niej odegrał, skurczyła się zaledwie do prologu całej księgi katastrofy.

Ale jeśli plany są oszustwem?

Co to oznacza? Czyżby Rosków z RFW wystrychnięto na dudka, aby byli przekonani, że zwaśnione strony zrobią jedno, podczas gdy tak naprawdę zamierzały zrobić coś innego? Tyne, siedząc całymi godzinami w swojej wygodnej, przestronnej celi, mógł wymyślać wiele takich niepotrzebnych pytań.

O ile nie lubił nie znać odpowiedzi, to jeszcze bardziej zniecierpliwiał go pytań.

Miał czas, aby martwić się o Bendę Ittai i zastanawiać się, czy ujrzy ją ponownie w bardziej sprzyjających okolicznościach. Drażniła go lubieżna myśl: kto okaże się pierwszym Ziemiąninem, który będzie się kochać z kobietą Rosków? To byłoby wspaniałe przeżycie. 40,6°C...

Trzeciego dnia niewoli Tyne został ponownie zaprowadzony przed oblicze naczelnika. Nicco zmitygował się przed starcem.

- Nie miałem żadnych wieści - oświadczył. - Jak wygląda ogólna sytuacja? Czy Roskowie wykonali jakiś ruch?

- Od naszego ostatniego spotkania sytuacja uległa radykalnej zmianie - odparł Purdoe uśmiechając się, jego twarz pofałdowały niezliczone bruzdy zmarszczek. - I niechaj wolno mi będzie wyrazić, panie Leslie, moje ogromne zadowolenie, iż już nie przychodzi pan tutaj domagając się uwolnienia. Rozmyślał pan, jak sądzę?

Tyne westchnął.

- Naprawdę nie jestem człowiekiem czynu, panie naczelniku, ale nie oznacza to, że ma być pan moim dobrym wujkiem. Po co kazał mi pan przyjść tym razem?

- Zapal sobie, młody człowieku. I radzę ci, pohamuj język. Przepraszam na moment.

Wyszedł tylnymi drzwiami dziarskim, starczym krokiem. By zabić czas, Tyne wbił wzrok w strażnika, który go przyprowadził. Strażnik poprawił krawat i odkaslnął.

Praca w dyplomacji przyzwyczaiła Tyne'a do czekania. Pokoje podobne do tego, w jakim się teraz znajdował, zaprojektowano bardziej do oczekiwania, aniżeli do pracy. Oczywiście, przyjdzie taka chwila, kiedy zlikwiduje się więzienia, a potem pokoje, w których ludzkie istoty marnotrawią swoje życie. Wymagało to cierpliwości, całego następnego pokolenia i intensywnej gajańskiej reedukacji. Plus, oczywiście, szczęśliwego zakończenia kryzysu z Roskami.

Naczelnik Purdoe powrócił z funkcjonariuszem, który przyniósł na tacy sztuczną dłoń. Tyne bez słowa przykręcił protezę. Doskonały instrument natychmiast zareagował na nerwy nadgarstka. Tyne spojrzał badawczo na Purdoe.

- Tak jak pan sobie życzył, zobaczy się pan z Generał-Gubernatorem Korporacji - rzekł Purdoe. - To godzina lotu stąd. Potem będzie pan wolny. Ten człowiek poleci z panem do Hjandersona.

- Jestem pilotem. Sam mogę polecieć.

- Poleci pan jednym z naszych odrzutowców. Zawiezie pana ten człowiek.

Odwrociwszy się, Tyne spytał:

- Co miał pan na myśli mówiąc, że roskiańskie plany inwazji są nieprawdziwe?

- Jestem tylko naczelnikiem więzienia. Myślę, że lepszą odpowiedź uzyska pan od Generał-Gubernatora Korporacji. Żegnam, panie Leslie.

Samolot okazał się sześciuosobowym, amerykańskim Soslukiem. Wzniósł się w powietrze i natychmiast w dole pojawiła się cała wyspa Singapur na tle błękitnego nieba, niczym coda * na końcu długiego ogona Malezji. Jeszcze raz Tyne ujrzał oszałamiające piękno świata, wyczulony na nie po trzech dniach spędzonych w celi.

Aby osiągnąć wyróżniającą się osobowość, aby stać się jedynymi istotami na planecie zdolnymi do obserwowania tak siebie, jak i innych stworzeń, ludzie zmuszeni byli odsunąć się od Natury. Począwszy od pierwszego krzemiennego grotu strzały, pomocą służyły im technologia i nauka. Dzięki nauce ludzkość osiągnęła w końcu jedność ze wszystkimi żyjącymi istotami, całą biomasą, całym tym ogromnym i skomplikowanym mechanizmem współzależności, co oznaczało, że na powierzchni planety jedynie życie podtrzymuje życie. Bez życia Ziemia byłaby jałowa jak Mars czy Wenus. Coraz więcej ludzi doznawało olśnienia o sile objawienia religijnego. Rozum ma służyć Ziemi. Gajanim nie był religią, a tylko nadrzędnym, zdrowym rozsądkiem.

Od tego czasu ludzkość zaprzestała szkodzić środowisku i samej sobie. Gdy tylko zniknie groźba inwazji, pomyślał Tyne, ta z technologicznego punktu widzenia cudowna dłoń zacznie przekuwać miecze na lemiesz. Koniec z przemocą. Przysięgam. Pomyślał o swoim dziadku - rzeźniku opuszczającym topór na leżący na pniaku kawał surowego mięsa, i przeszedł go dreszcz. Biedny dziadek... ofiara złego snu, z którego przy odrobinie szczęścia, nastąpi przebudzenie. Ludzkość, nieomal wbrew sobie, zamierzała zmienić się na lepsze.

Może była to fałszywa otucha. Tutaj, w rozrzedzonej atmosferze i z tropikalnym światem hen w dole, wszystko wydawało się możliwe.

Zeszli w dół nad Górami Sumatrzeńskimi w pobliżu jeziora Toba, niezbyt daleko od Padangu i terytorium Rosków.

Generał-Gubernator Hjanderson przeprowadzał inspekcję nowej farmy antylop eland. Tyne czekał w cieniu kilku drzew catalpa, dopóki starszy mężczyzna nie będzie gotów. Rozpoznał Hjandersona z fotografii - wysoki, z wydatnym nosem i mocną szczęką, po pięćdziesiątce, o ostrym lecz uprzejmym spojrzeniu.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Ma pan za sobą złe chwile - rzekł Hjanderson. - Tak jak my wszyscy. Naprawdę nie powinienem być tutaj w czasie gdy mamy kryzys, ale od dawna miałem to w planie. Może pan pojechać ze mną do stacji, porozmawiamy po drodze.

Tam, gdzie niegdyś uprawiano ziemię, założono ogromny, zalesiony rezerwat, w którym żyły wyhodowane w niewoli samce i samice antylop eland. Rokrocznie odławiane, zwierzęta będą wykorzystywane jako zapasy żywności.

Gdy wchodzili do samochodu Korporacji, Hjanderson odezwał się wskazując na odległy szpaler drzew.

- Musimy się ich pozbyć. To eukaliptusy. W pobliżu nie może nic wyrosnąć, bo eukaliptusy wydzielają do gleby fitotoksyny. To kolejny towar - drewno - którego musimy się pozbyć, aby mądrzej korzystać z zasobów ziemi.

* coda (wł. dosł. koniec) zakończenie kompozycji muzycznych, zwłaszcza poszczególnych części sonaty, symfonii, zawierająca zwężone powtórzenie tematów (przyp. tłum.)

- Czy pozbędziemy się Rosków?

- Być może są kolejną, opatrnościową nauczką, abyśmy szanowali nasz świat.

Tyne nic z tego nie kapował.

- Mógłby pan powiedzieć mi czy te plany inwazji są prawdziwe czy nie?

- No tak, oczywiście pan nigdy nie miał pełnego obrazu sytuacji, czyż nie? Ale doskonale zdaje pan sobie sprawę, że wielka polityka to gra blefu i sprytu - wojna prowadzona pokojowymi środkami. Gracze z najsłabszymi kartami ryzykują najwięcej. Na przykład ta organizacja Rosków, RFW, to oszukańcza frakcja założona na statku przez Ap II Dowla i jego juntę. Och, mnóstwo Rosków naprawdę pragnęło pokoju z Ziemią i nadal pragnie. Ale sam Tawdell Co Barr był po prostu mającą najlepsze intencje, marionetką Dowla.

- Skąd pan to wie, sir? - spytał podejrzliwie Tyne.

Samochód toczył się po wąskiej drodze między gęstwiną drzew, wśród których przemykały od czasu do czasu antylopy. Na wprost wyłonił się okrągły, szklany budynek stacji agromonomicznej.

- Korporacji Ziemia ogromnie pomogła - rzekł Generał-Gubernator - roskańska kobieta Benda Ittai, którą jak sądzę, porzucił pan, żeby skończyła przy roztrzaskanym helikopterze.

- Na pewno nie zostawiłem jej, aby skończyła.

Hjanderson mrugnął do Tyne'a z rozbawieniem, ale nie wyrzekł ani słowa.

- Gdzie jest teraz Benda Ittai? - spytał Tyne.

Samochód zwolnił i zatrzymał się przed szklaną rotundą.

- Tutaj - oświadczył Hjanderson wskazując palcem.

Tyne wrzasnął z radości, wyskoczył z samochodu i popędził przed siebie.

Przecisnął się przez obrotowe drzwi i znalazł się w ogromnym, klimatyzowanym pomieszczeniu. Było tam mnóstwo skrzynek z bambusami, tabliczek informacyjnych i nisza, gdzie mieścił się barek. Benda akurat zbliżała się do drzwi, miała na sobie lekkie nylonowe futerko narzucone na sarong. Podbiegł do niej, pocałował i ujął jej dłonie. Były gorące, o 40,6°C. Obce. Ale była piękna i uśmiechała się czule, uroczo.

- Nie widziałem cię od kiedy próbowałaś mnie zastrzelić.

- Jestem taka szczęśliwa, że sytuacja uległa zmianie - odrzekła.

Nadchodził Generał-Gubernator, wyglądał na poirytowanego. Pewnie zazdrosny, pomyślał Tyne, albo urażony, że Tyne do tego stopnia zapomniał o protokole, iż wszedł do stacji przed nim.

- Widzę, że przestał się pan interesować sytuacją polityczną - oświadczył dość oziębło Hjanderson próbując obrócić przytyk w żart.

- Nie całkiem, sir. Myślę, że okazałem wystarczające zainteresowanie. Czy mogę ponownie spytać o grożącą Ziemi inwazję, czy też znów zmieni pan temat?

Z drugiej strony pomieszczenia dobiegło jakieś poruszenie i krzątanie. Hjandersona otoczyło pięć osób, które pospieszyły z oficjalnym powitaniem. Mnóstwo uśmiechów, którym towarzyszyły nic nie znaczące ogólności.

Stwierdziwszy, iż znajdują się poza tym zaczarowanym kręgiem, Tyne trzymając ramię dziewczyny odezwał się do niej:

- Wolałbym raczej zapytać cię o to przy stoliku w restauracji, ale co się wydarzyło, o czym powinienem wiedzieć?

- O stoliku może pomyślimy później. Ale chcę ci powiedzieć, że teraz jestem... jak to się mówi?... po twojej stronie. Tak musi być. Nie mogę wrócić do swoich, bo mnie zamordują. To dlatego opowiedziałam wszystko co wiem ludziom z Korporacji. Temu Hjandersonowi i reszcie.

- Inwazja?

- Groźba inwazji była fałszem. Być może dowiedziałeś się, że Roskańska Frakcja Wołnościowa była kolejnym podstępem Ap II Dowla, zostaliśmy w to wciągnięci i nie ma cienia

wątpliwości, że po wypełnieniu swojej roli zostalibyśmy zlikwidowani. Pewnego dnia opowiem ci o tej straszliwej sytuacji, tkwiącej w potrzasku naszej obłąkańczej technologii.

- Budo Budda miał cię zabić.

Skinęła głową.

- Byłam niczym. Na straty. Ale nawet Budo Budda nie wiedział, że RFW to fałszywy odłam organizacji, zasadzka na opozycjonistów. W przeciwnym razie nie ścigałby Murraya, twojego przyjaciela.

Głowiąc się nad tym, Tyne zaprowadził Bendę do baru, z dala od Generała i jego niewielkiej koterii. W dioramycznym kloszu miniaturowe stada antylop eland przesuwają się pomiędzy roślinnością. Oto jutro Sumatry.

- Mój trening dyplomatyczny zmusza mnie, abym w to uwierzył, ale skąd ty się o tym dowiedziałas?

Wzruszyła ramionami pod futrem.

- Moje podejrzenia wywołało wiele drobnych zdarzeń na naszym terytorium. Zamiar wyduśnienia z Korporacji Ziemia ile tylko się da, był całkiem jasny. Ale Ap II Dowl był równie szczęśliwy, gdy mógł wykorzystywać również nas. Naprawdę zorientowałam się co jest grane wtedy, gdy roztrzaskaliśmy się w pobliżu bazy, a oni nie otworzyli do nas ognia, ani nie przysłali po nas oddziału. Pamiętasz, Tyne?

Oczywiście, że pamiętał.

- To było dziwne.

- No jasne. Ich milczenie oznaczało tylko jedno. Tamte super ważne plany, które wpędziły cię w takie tarapaty, musiały pozostać poza obszarem bazy. Innymi słowy, były przeznaczone dla Korporacji, Korporacji miało się wydawać, że przechwyliła coś, czego nie powinna, no nie?

- Dlatego, że były nieprawdziwe?

- Dlatego, że miały na celu po prostu nastraszenie Ziemi w celu wywalczenia ustępstw.

- Jeśli o mnie chodzi, to doskonale spełniły swoją rolę. I, fałszywe czy nie, nadal spełniają. Napijmy się czegoś.

Przywołał kelnera. Jego myśli wybiegły w przyszłość. A więc nie ma żadnych kolejnych statków kosmicznych, nadlatujących z Alfy Centauri? Mimo wszystko nadal nie był w stanie pozbyć się lęku przed podbojem Ziemi. A przypuścimy, że Benda Ittai kłamie nawet teraz? Nagle dopasował kolejny fragment łamigłówki.

- To wyjaśnia coś, czego nie rozumiałem. Teraz to jasne. Co ten mikrofilm robił na Księżycu? To od początku było mocno podejrzane. Po prostu musiał być tam podrzucony, z dala od bazy, jego podróż z Luny musiała wywołać maksymalne zainteresowanie.

Nie odpowiedziała. Siedzieli przy bambusowym stoliku, Benda trzymała łokcie na blacie osłoniwszy dłońmi oczy. Tyne uświadomił sobie, że dziewczyna łka w milczeniu.

Gdy pojawiły się drinki, osuszyła oczy chusteczką. Bez słowa wyjęła mikrokasety z torebki i położyła ją na stole. Włączyła ją, podregulowała, a następnie spojrzała na Tyne'a badawczo swoimi ciemnymi oczyma.

- Pokażę ci coś. To jest po tym, jak opowiedziałam o wszystkim Radzie. Usłyszysz głos Hjandersona.

Rozległ się głos Hjandersona, przemawiającego najwyraźniej do swoich współpracowników:

- Świadomość wystąpienia przeciwko własnej rasie, musi być przykra dla tej młodej kobiety. Nie wolno nam dopuścić, by czuła się wygnańcem. Plan inwazji był ostatnim wielkim blefem Dowla. Wszyscy zdychają na tym przeklętym statku kosmicznym. Gdybyśmy wiedząc o planie, przeciwstawili się Dowlowi, ten prawdopodobnie oświadczyłby, że odwoła flotę inwazyjną pod warunkiem, że odstąpimy im całą Sumatrę. Może również chciałby całą Afrykę... Kto wie, czego by zażądał? Nie, jaką by nie wysunął groźbę, nie może jej niczym po-

przeć. To pech, że Leslie i tamci pozostali wplątali się w ten podstęp... Czekamy na wiadomość od naszej Jednostki Astronomicznej, która pomoże nam...

Benda wyłączyła niewielkie urządzenie.

- To było dwa dni temu. Widzisz jaka ze mnie zdrajczynie.

- Nie, nie... Widzę twoją odwagę. Widzę, ile się nacierpiałas. I zrobię wszystko co będę mógł, przysięgam.

Pochylił się ku niej, a w tym czasie do ich stolika zbliżył się Generał-Gubernator Korporacji Ziemia wraz ze swoją koterią. Hjanderson dzierżył w dłoni cienką kartkę. Tyne zmierzył go wściekłym spojrzeniem, lecz Hjanderson zignorował to i gestem nakazał mu wstać.

- Leslie, lepiej niech pan rzuci na to okiem. Muszę wyznać, że do tej chwili oboje z dziewczyną byliście obserwowani. Teraz odwołam agentów. Musieliśmy być absolutnie pewni, że Ittai nie jest kolejnym podstępem Dowla. Z zadowoleniem stwierdzam, iż ten komunikat wyjaśnia sprawę.

Tyne wziął kartkę i zaczął czytać, początkowo ostrożnie, a potem z rosnącym podnieceniem.

Wiadomość brzmiała:

„Rozpowszechnianie po dwakroć zastrzeżone. Wyłącznie sfery rządowe A, lista 566. Początek tekstu: Obserwatorium Sagana, Luna. Potwierdzamy niepewne odczyty Alfy Centauri. Według nowej analizy spektralnej, Alfa bliska zamiany w nową. Widoczne krótkotrwałe ruchy powierzchni. Według obliczeń życie na planetach Alfy niemożliwe do końca stulecia. Potwierdzamy, trzy pokolenia temu miejscowi obserwatorzy na Alfie odkryli niezwykłą aktywność słoneczną. Statek Rosków jest więc najprawdopodobniej statkiem ratunkowym. Możliwość inwazji wysoce nieprawdopodobna, powtarzam: wysoce nieprawdopodobna. Zalecane postępowanie: przedstawić treść tej wiadomości wraz z ostrzeżeniem Ap II Dowlowi, by zrezygnował z przywództwa albo w przeciwnym wypadku jego ludzie zostaną wygnani z Sumatry i Ziemi. Koniec tekstu”.

Podeksycytowanie Tyne'a zniknęło, tak jak się pojawiło. Jego instynktowną reakcją było otoczyć Bendę ramieniem. Doskonale wiedział, co ta informacja znaczy dla niej i dla tych Rosków, którzy przeżyli.

Tyne'a oświecił przebłysk wspomnienia. Jako pięciolatek bawił się w sklepie mięsnym dziadka. Dziadek wyszedł do chłodni. Tyne chwycił tasak do mięsa i uderzając w kłoc drewna, zaczął naśladować ruchy dziadka. Ale zabawa... wbijał ostrze w drewno. A potem przez sekundy trwające wieczność, z bolesnym przerażeniem wpatrywał się w odciętą dłoń.

Przez całe życie do tej pory nie spotkał się z większą stratą.

Okrutne osobiste wspomnienie zamieniło się w wizję parujących oceanów Alfy, wybuchających wulkanów, dzieci piekących się powoli w podziemnych schronach, całych planet zamieniających się w popiół. Skrył twarz w ramieniu Bendy Ittai, jakby to on, a nie ona, potrzebował wsparcia. Jako gajanim reagował na każdą wiadomość o zagładzie spadkiem własnej energii życiowej.

Reakcja Hjandersona była znacznie mniej złożona. Poderwał się wołając do sumatrzańskiego kierownika rotundy, by podał wszystkim drinki. Tyne podniósł wzrok, żeby przekonać się czemu Generał robi taki hałas. Za masywną sylwetką Generał-Gubernatora, pomiędzy bambusowymi stolikami uwijały się niewielkie, kolorowe zięby. Czy wpuszczono je tutaj, czy też dostały się przez otwarte okno, dość że szeleszcząc wśród liści czuły się jak u siebie w domu, obojętne na ludzkie sprawy. Objął Bendę Ittai, a ona jego.

Hjanderson zatrzymał się przed Tynem patrząc gniewnie w dół.

- Leslie, mam cię za zuchwałego, beczelnego młodzika. Jakie to typowe dla ciebie i twojego pokolenia, że w ogóle nie interesują cię te wspaniałe nowiny. Wszystko, o czym myślisz, to obściskiwanie tej obcej. I..

- Jezu, sir, po prostu myślałem jak...
Twarz Generał-Gubernatora poczerwieniała.
- Nie życzę sobie wiedzieć, o czym myślisz. Wiem o czym. Czytam z twojej twarzy jak z otwartej księgi. Domyślam się, że nie obchodzi cię to, że możemy teraz bez obawy rozprawić się z Roskami i...
Tyne wstał.
- Jeszcze jedno pokolenie i pozbędziemy się takich jak pan, sir.
- Wynoś się. I zabieraj tę kobietę. Nie chcemy was tutaj, psujecie nam uroczystość.
Tak wiele chciał powiedzieć Hjandersonowi, ale gniew poplątał mu myśli. Chciał powiedzieć, że nikt nie zrozumie Roska tak długo, jak długo nie będzie rozumiał człowieka. Aby narodziło się wewnętrzne zrozumienie, potrzebne są stulecia pokoju. Muszą wymrzeć tacy brutale i rzeźnicy. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa. Nie potrafił zrozumieć Hjandersona bardziej, niż Hjanderson jego.
Wziął Bendę Ittai za ramię.
- Chodźmy.
Oto ktoś, teraz zagubiony, kogo warto spróbować zrozumieć.
- Chodźmy i znajźmy tę restaurację, o której mówiłeś rzekła.
Uśmiechnęła się do niego. Był to bardzo rozumiały uśmiech. 40,6°C.

SYMFONIA MANNERHEIMOWSKA (III)

Skończywszy tę sympatyczną książeczkę zasnąłem w mojej celi. Tak wiele zawdzięczałem Jaelowi Crackenowi... tak, byłem przekonany, że jest również autorem „Równika”. Z pewnością ta ostatnia linijka o uśmiechu była odwrotnym nawiązaniem do poprzedniej powieści, być może - ponad głowami ogółu czytelników - sygnałem dla prywatnego fan klubu. Ależ Sinnikka potępiłaby taką żartobliwość. I dobrze.

Obie powieści traktowały o światach alternatywnych, które nigdy nie istniały. Sumatra dawała schronienie wielu obcym, ale nie Roskom. Uległa twardemu, skorumpowanemu reżimowi, który utrzymywał się przy władzy tylko z powodu zewnętrznego zagrożenia: wszechogarniającego wpływu Japońskiej Sfery Ogólnoświatowego Wspólnego Dobrobytu. Nie ma wątpliwości, że Cracken napisał wiele takich książek. Odkrył prostą formułę, która miała wiele zastosowań; zmieniasz w przeszłości jakiś kluczowy czynnik o fundamentalnym znaczeniu i już masz zaskakująco nowy świat, o którym możesz pisać.

Zastanowiłem się nad fundamentalnymi czynnikami, które można by było zmienić w naszym rzeczywistym świecie. Tylko jedno na pozór trywialne wydarzenie, zakładając że jego zakończenie byłoby odmienne - mogłoby zmienić bieg historii. Nadałem temu złośliwą nazwę „Syndrom Crackena”.

Przyszedł mi na myśl pewien przykład. Przypomniałem sobie jak niegdyś nasz despotyczny, odważny przywódca Mannerheim poszukiwał międzynarodowego uznania. Jak już wspominałem, w 1935 roku zaprosił do Helsinek pięciu angielskich polityków. Trzech zamordowali obcy agenci. Wielu było zdania, z Winstonem Churchillem włącznie, że to robota NKWD. Churchill przed śmiercią mówił na temat groźby komunizmu.

Ówczesne media donoszące pobieżnie o śmierci Churchilla, wypowiadały się o nim jako o wicherzycielu. Szczególnie miało to miejsce w izolujących się Stanach Zjednoczonych Ameryki. Ja myślałem inaczej. Mnie oraz wielu innym Churchill wydawał się człowiekiem odważnym i dalekowzrocznym. Przypuścimy, że nie odwiedził Finlandii, a żył dalej w Anglii i

stał się, za sprawą jakiegoś kaprysu polityki, premierem Wielkiej Brytanii. Przypuśćmy, że zaszczerpił wystarczającą ilość swego niespokojnego ducha ludom anglojęzycznym, by powstały przeciw tyranii Hitlera. Przypuśćmy, że za jego przykładem poszły Stany Zjednoczone, zjednoczyły się przeciwko nazistom i te dwa narody całkowicie rozgromiły faszyzm...

To była przyjemna myśl. Ale zbyt nieprawdopodobna, by nie licząc twórców Niby-Mitów takich jak Cracken, można było nad nią medytować.

Przerażony błyskawicznie usiadłem prosto. Przez zbrojoną szybę drzwi celi patrzył renifer, jego smutne spojrzenie stanowiło parodię ludzkiej twarzy.

Łeb renifera zamienił się w oblicze kapitana Hakkennona.

Tak się zdekoncentrowałem, iż nieomal zapominałem o Hakkennonie oraz moim aktualnym położeniu. Częściowo winę ponosił Cracken. Ale był też i drugi czynnik. Podczas snu podjąłem decyzję, kto odpowie za morderstwo. Podjąłem decyzję czy na krzesło elektryczne powinienem posłać moją biedną, zmaltretowaną żonę, czy też biednego, niesłusznie oskarżonego, samego siebie.

Hakkennon otworzył drzwi i spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Powoli wyjął z kabury swój służbowy rewolwer.

W naszym kraju nawet ci, którzy przebywają w więzieniu krótko, tak bardzo się boją, iż byłem przekonany, iż kapitan zamierza zastrzelić mnie z zimną krwią.

- Wychodź - rzucił dając znak siwą głową.

Zostawiłem książkę na pryczy i wyszedłem za nim na rozjaśniony świetlówkami korytarz. Ani żywej duszy. Hakkennon otworzył kolejne drzwi i wepchnął mnie do środka.

Wszedłem do skąpo umeblowanego, nieskazitelnie czystego pokoju przesłuchań. W przeciwieństwie do mojej celi, było tu okno, umieszczone w prowadzących na zewnątrz, wzmocnionych drzwiach. Za oknem rozpościerała się noc. Zdumiony, zerknąłem na zegarek i stwierdziłem, że jest prawie pierwsza. Pierwsza nad ranem, nie pierwsza po południu, jak podejrzewałem wcześniej. Całkowicie straciłem poczucie czasu.

Zbliżył się do mnie i przyłożył mi rewolwer do skroni. Łomotanie nasiliło się, gdy zaczął naciskać spust.

- Czy jest pan przygotowany na śmierć?

- Mój stary przyjaciel pułkownik H! - wykrzyknąłem zaskoczony - literacka aluzja, która naturalnie nie dotyczyła Hakkennona. Renifery nie czytają książek.

- Przyznaje się pan do winy?

Do winy? Wina to wszystko co miałem do zaoferowania. Dysponowałem taką nadwyżką winy, że uwolnić od niej mogła mnie jedynie kula. Dlaczego zatem próbowałem w tamtej chwili wezwać na pomoc telepatię, jakbym był Conradem Wyvernem? Nic. W takich chwilach człowiek stwierdza, że woli popularną fikcję od życia. Wyteżyłem siły, ale nie zadziałało.

Nacisnął spust. Klik. Na szczęście mechanizm także nie działał.

- Musiałem zapomnieć naładować. Cholera! My renifery czasem miewamy problemy z bronią ręczną, jak możesz sobie wyobrazić.

- Domyślam się, że kopyta przeszkadzają.

Niespecjalnie zakłopotany, trzymał rewolwer, jakby w tej małej szaradzie kryło się coś, czego nie pojąłem.

- Musi pan zrozumieć, że praca policjanta to wykonywanie rozkazów. Moim priorytetem jest nie wykrywanie zbrodni, ale wykonywanie rozkazów. Generalnie, rozkazy te polegają naturalnie na wykrywaniu zbrodni. Ale nie zawsze. Pański przypadek jest szczególny.

Rzucił mi spod siwej grzywy jedno ze swoich spojrzeń z ukosa.

- W nocy odebrałem kilka telefonów. Nie mogę powiedzieć od kogo. Zastanawiam się, czy zgodzi się pan z tym, że podobnie jak istnieją wyższe poziomy władzy, istnieją również wyższe poziomy zbrodni? Hierarchie winy?

- Zamierza pan dać mi wykład na temat niewierności?
- Zbrodnia Carol-Ann Crutchley Cracken mogłaby, na przykład, zostać wymazana - oczyszczona - dzięki wyższej zbrodni. Powiedzmy, zdrady stanu. Dociera do pana?

- Moment.

Słowa te obudziły w moim sercu straszną nadzieję. Ogromna ostrożność, z jaką podchodził do tematu, wskazywała że na moją korzyść działa jakieś okropne, większe zło.

- Chce mi pan powiedzieć, że czarne i czarne przynajmniej tego roku pańskiego - razem dają białe, tak?

Wyszczrzył na moment w uśmiechu żółte zęby. Były to szerokie zęby trzonowe roślinożercy, z długimi koronami i krótkimi korzeniami.

- Przypuśćmy, że pan i pańska goła żona wracacie do domu i odgrywacie sobie mały, prywatny dramat, który - tak się składa - przemawia tylko do pana. Myśli pan, że to prywatny dramat, nieprawdaż? Tylko między panem, a nią, plus te klawe babki, które pan podrywa, i ci klawi faceci, których ona podrywa.

- Sinnikka nie podrywa facetów. Nie ciągnie ją do płci odmienniej. Poza tym bardzo dośkwiera jej artretyzm. Gimnastyka w łóżku sprawia jej ból.

Pomacał kieszeń i wydobył z niej wycięty artykuł z „Tanaana”. Podał mi go. Nie wziąłem. Zobaczyłem co to takiego. Tytuł brzmiał:

PISKLIWA SYMFONIA WSZECH-RZESZY ROZCZAROWUJE.

- Recenzja napisana przez Aliusa Jalkiroukę - rzekł Hakkennon wkładając wycinek z powrotem do kieszeni. - Kochanka pańskiej żony. Ma prywatny interes w zszarganiu pańskiej reputacji.

- Nie wierzę. Nie Sinnikka. Jeszcze wczoraj... przedwczoraj nazwała Jalkiroukę małym, tłustym zarozumiałcem. Nie zrobiłaby mi tego.

Przekrzywił głowę. Sceptycznie przyglądając się posadzce, oświadczył:

- Być może nie robi tego panu. Może robić to sobie.

- Niech pan nie miesza w to psychologii, Hakkennon. Przyda się, żeby wyleczyć pańskiego fioła.

- Sens tego co mówię jest taki, że wydaje się panu, iż toczy przez całe życie jakąś prywatną grę. Nieprawda. W nowoczesnym państwie prywatne życie nie istnieje. Jako luksus zostało zlikwidowane.

Poszedłem wyjrzeć przez okno. Na tle skąpanego w świetle księżycy niskiego, pofałdowanego zbocza rysowały się niezgrabne sylwetki budynków. Nie dobiegł mnie żaden dźwięk z tego świata wolności.

Hakkennon powiedział:

- Jestem teraz sam w komisariacie i mam inne sprawy na głowie, toteż od razu przejdę do rzeczy. Przypuśćmy, że moje rozmowy telefoniczne pozwoliły ustalić, iż Carol-Ann Crutchley Cracken nie była niewinną amerykańską młodą damą, jak to wynika z jej paszportu. Przypuśćmy, że w rzeczywistości była nieślubną córką prezydenta Mannerheima znanego ze swoich miłostek - i dobrze ustawionej, to nie zamierzony kalambur, dobrze ustawionej rosyjskiej damy mającej przyjaciół na Kremlu. Tak więc lojalność Carol-Ann wobec kraju była podzielona, nawet kiedy jej rodzice uciekli do Stanów Zjednoczonych.

- Podobnie jak moi wiele lat temu.

- To nie ma związku.

Przeszył mnie jednym ze swoich badawczych spojrzeń. Chociaż jego twarz została stworzona, by skrywać uczucia, ujrzałem w oczach najprawdziwszą nienawiść i wiedziałem częściowo za sprawą jego języka ciała - że zamierzał radować się opowiadaniem mi czegoś, na co szczerze nie miałem ochoty.

- Niełatwo panu coś wyjaśnić, nieprawdaż? Tak więc powiem po prostu, że dowiedzia-

łem się, iż początkowy kontakt Carol-Ann z panem był zamierzony. Nie przypadkowe spotkanie, jak podsuwała panu duma. Kiedy opuścił pan tamtą próbę symfonii, to dziewczyna podrywała **pana**, a nie odwrotnie.

Wolałem nie myśleć o tamtym przyjemnym interludium, które tak drogo mnie kosztowało, spojrzałem na niego groźnie spode łba i rzekłem:

- Nie wierzy pan w wolność seksualną, prawda?

- Człowieku, słuchaj co ci mówię. Ona była agentką wroga. Wiemy teraz dla kogo pracowała. Miała za zadanie złapać pana w sidła i namówić do zdrady. Do czego byłby pan bardziej skłonny, gdyby pańska kariera legła w gruzach. I legła.

Gdy nie odezwałem się ani słowem, dodał:

- Wygląda na to, że z łatwością złapała pana na haczyk.

Musiałem w końcu wyrzucić z siebie złość i zakłopotanie. Zdołałem wyrzec tylko:

- Nawet renifery nie łączą się na całe życie.

- Większość reniferów kończy pod toporem rzeźnika. Oto co panu zgotowano. Pański upadek i zdrada byłyby kolejną plamą na dobrym imieniu naszego kraju, i o to się troszczymy, a nie o pana.

- To stek kłamstw, które opowiada mi pan, żebym się przyznał. Proszę zaprowadzić mnie z powrotem do mojej celi, do moich Niby-Mitów.

Potrząsnął głową, jak gdyby ciążyły mu rogi. Jeszcze jedno znużone spojrzenie przepelnione nienawiścią; wyobraziłem sobie, że ją czuję... pradawną, arktyczną.

- Każdy wybitny człowiek, który ucieka z Finlandii, ułatwia naszym przyjaciom na Wschodzie całkowitą aneksję naszego kraju bez najmniejszego protestu Ameryki czy Wollnych Narodów. Nasz wywiad po prostu wytropił Carol-Ann zbyt późno. Poleciała na lotnisko w Kuusamo, żeby spotkać się z panem, kiedy wracał pan z koncertu. Pomysł polegał na pocieszeniu pana po tym, jak w prasie ukazała się niepoehlebna recenzja Jalkirouki.

- Skąd wiedziała, że recenzja będzie niepoehlebna?

- Och, krytycy zawsze mają swoją cenę.

- Nie Jalkirouka!

Nie mogłem w to uwierzyć, pomimo że szczerze go nie znośłem.

- Czemu nie Jalkirouka? Był kiedyś kochankiem pańskiej żony.

Nie byłem w stanie wyrzec ani słowa.

- To zepsuty świat. Czyż nie jest to pański ulubiony temat? - pozwolił sobie na szyderstwo w głosie. - Tak czy inaczej, jeden z naszych agentów dotarł do niej, zanim ona dotarła do pana. Tamten agent spotkał się z nią, zaproponował podwiezienie do pańskiego domu, i **unieszkodliwił** ją tuż przy drodze - tam gdzie znalazł pan ciało.

Ogarnęła mnie fala nudności. Poczułem, że błędę.

- Czy mógłbym dostać nieco kawy? Zaszło mi w ustach. Jestem pewien, że to wszystko łągarstwa, co?

Zakłopotany usiłowałem znaleźć jakikolwiek dowód, który potwierdzałby lub demaskował jego tezę. Pozostawał jedynie fakt, że Hakkennon poinformował mnie wcześniej, iż charakterystyczna rana kłuta, która spowodowała śmierć dziewczyny, została zadana nożem służb specjalnych. To zdarzyło się zanim Hakkennon zdecydował się opowiedzieć mi swoją koszmarną historię. Jego niepokój oraz wszystkie groźne półtony przekonywały, iż jest to mniej lub więcej, ale prawda.

- Czekaj! - miałem już. - List. List dziewczyny. Powiedział pan, że nigdy nie była u mnie w domu. A jednak zostawiła tam list.

Westchnąwszy, przesunął dłonią po rzadkich włosach.

- Ten liścik to oszustwo. Carol-Ann nie napisała ani jednego słowa. Miał za zadanie uspić pańskie podejrzenia dotyczące zniknięcia Carol-Ann, na wypadek gdyby był pan dość bystry, aby je mieć. Zgodził się pan na kolejną randkę, prawda? Tak więc list informował, że

dziewczyna wyjeżdża do Szwecji. Przyniosę panu kawę. Może będzie panu potrzebna przed podróżą. Drzwi na zewnątrz są zamknięte, toteż nie ucieknie pan.

- Jej list był sfalszowany?

- Nic ją pan nie obchodził.

To gorsze niż czytanie Crackena. Nie wierzyłem, że to dzieje się naprawdę. Podniosłem ręce do wysuszonych warg. Trzęsły się niepomahowanie. Gdzież zniknęło moje zamiłowanie do rozrywki?

- Kto go sfalszował?

Z niezdrowym uśmiechem Hakkennon odparł:

- Agent, który ją zlikwidował. Podrabianie pisma to robota dla agenta.

Po czym zostawił mnie samego. Po minucie wrócił z dwoma parującymi, papierowymi kubkami kawy. A ja nawet nie sprawdziłem zewnętrznych drzwi. Miałem w głowie kompletną pustkę.

Płyn przywrócił mi niektóre zmysły.

- Założmy, że to wszystko prawda.

- Nie twierdzę, że to prawda czy nieprawda.

- W takim razie ten agent. Zabrał Carol-Ann z lotniska w Kuusamo, zabił ją na drodze, podrzucił sfalszowany list do mojego domu. Jak zdołał tego dokonać, żeby Sinnikka nie dowiedziała się o niczym?

- Sinnikka jest tym agentem.

Zdanie zabrzmiało jak koniec świata. Podszedł do zewnętrznych drzwi. Nie były zamknięte. Wyszedł na dwór. Słyszałem jak oddycha głęboko chłodnym, nocnym powietrzem, wciąga je w nozdrza niczym zwierzę. Usiadłem ciężko na krześle. Coś się we mnie wypaliło.

- Brała odwet, a jednocześnie spełniała obowiązek wobec państwa - krzyknął. - Cóż, nie jest to dla pana zbyt przyjemne... Dlaczego nie wyjdzie pan i nie zaczerpnie świeżego powietrza? Lepiej się pan poczuje. Proszę mi wierzyć, gdyby ludzie przez całe życie odpowiednio oddychali, biegali i oddychali tak głęboko jak my, zniknęłoby wiele ich problemów psychicznych. Zmieniłoby się, tak jak ja.

Podszedłem na sztywnych nogach i stanąłem w drzwiach.

- Sinnikka agentką służb bezpieczeństwa... Trudno mi w to uwierzyć.

- Trudno mi uwierzyć - rzucił szorstko - że kontaktował się pan z naszym wrogiem na Wschodzie, ale wiemy, że tak było - w trakcie pańskich podróży zagranicznych.

- Zamierza pan zrobić mnie w morderstwo, Hakkennon?

- Zmierzałem do tego. Niniejszym oficjalnie oskarżam pana o zamordowanie Carol-Ann Mannerheim, alias Crutchley Cracken. Jutro poleci pan do więzienia w Helsinkach, oczywiście pod warunkiem, że wcześniej pan nie ucieknie. Ostatecznie, pański proces będzie kłopotem dla państwa i skompromituje rząd.

Dopiero wtedy pojąłem, czego Hakkennon chce ode mnie, w jaki sposób jego przełożeni rozkazali mu działać. To dlatego zatroszczył się wcześniej o to, by zademonstrować mi, iż rewolwer nie jest naładowany.

- Proszę pos... - ale naraz nie byłem w stanie powiedzieć niczego sensownego.

Stanął obok mnie całkiem spokojnie opierając się o zewnętrzną ścianę budynku, jego łagodne oczy zwróciły się w stronę księżycy. Księżyc był niemal w pełni, żeglował po czystej, granatowej toni nieba.

Hakkennon przemówił zniżonym głosem.

- My ludzie-renifery wiemy, dlaczego księżyc jest srebrnoszary. Niegdyś był cały zielony, dawno temu, zanim pojawili się ludzie i Lapończycy. Stada reniferów przez wiele pokoleń pasły się na księżycu, zawsze szczęśliwe i wesołe, co leży w naszej prawdziwej naturze.

Niestety, nie panowaliśmy nad sobą. Bóg - który jest także reniferem - ofiarował nam o jeden dar za dużo. Tym darem była rozkosz. My renifery oddawaliśmy się jej zbyt zachłannie.

Nie potrafiliśmy jej się oprzeć. Tak więc na księżycu rodziło się coraz więcej reniferów i ostatecznie bujne pastwiska zniknęły. W końcu nie pozostało nic prócz błota, udeptanego tysiącami kopyt. Potem wszystkie renifery na księżycu wyginęły.

Aby nas ukarać, Bóg odebrał dar seksualnej rozkoszy reniferom na Ziemi. Nadal spełniamy akt, lecz rozkosz zniknęła. To dlatego zawsze wyglądamy nieco melancholijnie. W zamian Bóg ofiarował ten radosny dar mężczyznom i kobietom. Teraz widzimy, że wy nadużywacie go podobnie jak my. Czekamy na nieuchronny wynik. A tymczasem, tak jak sugerowałem, lekarstwem na twoje problemy jest BIEG.

Mając nad głową księżyc, a przed sobą szeroką drogę, która wijąc się prowadziła przez wzgórza na wschód, nie oglądając się za siebie pogałem przez wysoką trawę.

Oddychałem głęboko, tak jak Hakkennon.

Znowu byłem wygnańcem.

Było to częścią mojej natury.

KONIEC